

Biblioteka pisarzy polskich



F.

~~200~~

1044
~~4334~~



Antoni Książek

1044

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXII.



2-14

RECEIVED 1947 FEB 14

1947

200

POEZYE

LUCYANA SIEMIENSKIEGO.



1044

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE.

7334



JULIUSZ DĘBICKI

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.



884-1

I 69642 L

69642

1334.

SPIS RZECZY.

	Stron.
TRZY WIESZCZBY.....	1
Pierwsza wieszczba. O zgonie Zygmunta Augusta	5
Horoskop. Opowiadanie starego dworzanina	7
Druga wieszczba. Rok 1767.....	13
Kazanie. Ustęp dramatyczny	15
Trzecia wieszczba	33
Dumka Ukraińca	35
Epilog do naszych wieszczów	54
Objaśnienia.	
Do pierwszej wieszczby	56
Do drugiej wieszczby.	57
Do trzeciej wieszczby	61
Do Epilogu	64
ŚWITEZIANKA. Fantazyja dramatyczna	67
Prolog	69
WACHMISTRZ JASZCZÓŁD. Opowiadanie starego wiarusa.	
Z kampanii 1809 roku	115
MIMOZA. Powieść sentymentalna	129
Przesyłając Mimozę. Do hr. J. P.	150
RAPSODY I POWIEŚCI.	153
Trąby w Dnieprze	155
Potrzeba warneńska	159
Samuel Zborowski.	
I. Burza Czarnomorska	167
II. Więzienie na zamku Krakowskim	170
Sen Pasterza. Legenda	178

	Stron.
Tajemnica	181
Księga Czarnoksiężka	184
Książ Dymitr Wiśniowiecki	186
Obraz Panagii w burzy	188
Opryszek	191
Ronanie Kozaka	192
Wyprawa Chmielnickiego na Multany	194
Zaprzędana	196
Branka Tatarska	197
Odjazd na wojnę	199
Cyganka	200
Przyjazd	201
Trzy kukulki	202
Śpiący Milton	203
Duch Napoleona	205
Objaśnienia.	
Do trąb w Dnieprze	207
Do potrzeby Warneńskiej	208
Do Samuela Zbrorowskiego	210
PIESNI, ELEGIE, SONETY	211
Moja gęśl	213
Wiara w przyszłość	214
Żegluga	215
Jutro	216
Podróż	217
Skarga wieszczka	219
Pamięć serca	220
Za czasem wzdychasz	222
Pociecha	223
Zaklęte koło	223
Czas do Boga	225
Do Renu	226
Czy już wiosna?	227
Italiam! Italiam!	230
Przysługa	232
Zima i lato	233
Wiejski kościółek	235

	Stron.
Nie słuchaj piosnek	236
Dziecięce lata	237
Sonety	238
Nad Renem	242
Na liść z wieńca Tassa przysłany z Rzymu	243
Do Teofila Lenartowicza bawiącego w Rzymie	244
Do **	244
Do odjeżdżającej nad Ren	245
Do P. R. mówiącej swoje poezye	247
Pamiętce zgasłego przyjaciela Józefa Dunin-Bor-	
kowskiego	248
Do Ks. M. C. odjeżdżającej z Krakowa	249
Życzenie	250
Zagadka	251
Ostatnia prośba	252
Odjazd	252
Złota chwila życia	253
Precz z marzeniami!	255
Westchnienie za Polską. Z powodu artykułów dzien-	
nika Times w r. 1856.	256
Pieśń do Najśw. Panny	257
Kto wspomni?	258
OKRUSZYNY	261
BAJKI	283
Beduin i wąż	285
Bajka Króla Jana	287
Chorzy i bogini zdrowia	289
Godność w niewoli	290
Mądry kruczek	292
Kotki i myszy	293
Satyr i sztuka grecka	295
Król lew i drapieżne zwierzęta	296
Kura na śmieciu	298
Drażliwa kwestya	298
Badacz natury i żaby	299
Menażerya	300

TRZY WIESZCZBY.

Nie pieczętuj słów proroctwa ksiąg tych,
gdyż czas blisko jest. —

Ob. ś. Jana w Roz. XXII.

Wszystkich światów klęski i gorycze
Zagniewane niebo na nas zwali,
Jeśli ludzkość nie postąpi dalej.

Córa-sławy Kollara.



Zdarza to się narodem równie jak pojedynczym ludziom, że w chwilach wielkich swoich nieszczęść, pogwałconego bytu, prześladowań za prawdę i wiarę, pod uciskiem przewrotnej władzy, utrzymującej się niemoralnym systematem — zgoła, kiedy wiara, dążenia, potrzeby większości, są w ustawnej walce z władzą — i kiedy wśród ciągłych usiłowań do wyjścia z tego ciasnego koła, wyczerpią się sposoby, prace w skrytości poczęte na jaw wyjdą, najlepsi pójdą do więzień lub na rusztowania, zbawienie ogółu roztrzaska się o słabość środków ludzkich — że wtenczas przy zachwianej woli, ludzkie środki zdają się za słabe, najmężniejsi opuszczają ręce i wzniosą oczy ku niebu, pytając: co z tego będzie? jaki nas koniec czeka? — W takich to chwilach, lud, kochający się zawsze w cudowności, wygrzebuje stare proroctwa, tworzy nowe, umacnia niemi wiarę w przyszłą lepszość — i naraz, nie wiedzieć zkąd i jakim sposobem, wszystkich ogarnia

Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radośne.

U nas, nieszczęściami głośnych, ileż to nie krążyło tradycyjnych przepowiedni! Jedne przechowały się w księgach i starych rękopismach, drugie w ustach gminu: jak pieśń, lub powiastka. Trzy takie przepowiednie z różnych czasów, przez różnych ludzi, dostały się do mnie; w nich widziałem zamknięte losy naszego narodu, we wszystkich przejściach, od wielkości do upadku, aż do odrodzenia się w nowej postaci. Kto wie? może pod wpływem owego dziwnego przeczucia, daleko — na ziemi tułactwa, zebrane te głosy prorocze w jedną pieśń, staną się zwiastunami nowej wiosny oczekiwanej w ucisku. —



PIERWSZA WIESZCZBA.

O ZGONIE ZYGMUNTA AUGUSTA.

Niniejsze opowiadanie starego dworzanina Zygmunta Augusta, wystawia ostatnie chwile zgonu tego monarchy. Górnicki w księdze swojej: *Dzieje w Koronie Polskiej*, taki podaje opis: «Przed śmiercią (królewską) dzień w niedzielę 6. Julii, gdym przyjechał do Knyszyna, przyszedłem przed króla do łożnicy; spytał mię jeżlim z sobą przywiózł wizerunki: odpowiedziałem, że ich nie wziął, rozumiejąc, iż Wasza K. M. tego czasu tem bawić się nie miałeś. Król zatem: Jedźże do Tykocina, a bądź jutro u mnie z niemi. Odszedłem zaraz z oczyma zapłakanemi, a widząc pana zbytnie schorzałego, i rozumiejąc że ledwie jutra doczekać miał, jechałem zaraz na zamek — bo przedtem mieszkanie było moje w mieście w dworcu — i tam przeniosłem się z wszystkiem.» Górnicki zatem nie wrócił do króla z wizerunkami. Osnuwszy na tem zdarzeniu ustęp mój, dołożyłem ten szczegół, iż inny stary dworzanin przywiózł je w nocy nazajutrz, to jest 7. Julii, właśnie kiedy król przyjął był Najświętszy sakrament i olej święty. August czując zbliżający się zgon swój, czegoż mógł

goręcej pragnąć, jak oglądać wizerunki nieboszczyka ojca swego i ukochanej Barbary. Acz tego historyk nam nie dołożył, jam pozwolił sobie rozwikłać zagadkę, mieszając w nią przepowiednię opata Jędrzejowskiego, obudzającą w umierającym królu całą troskliwość o los korony, którą zostawiał bez dziedzica.



HOROSKOP.

OPOWIADANIE STAREGO DWORZANINA.

Infandum jubes renovare dolorem.
Virg.

Właśnie godzinnik którąś, nie pomnę, uderzał;
Lecz już dobrze w noc było, gdym na zamek wbieżał.
Zdyszany, z lekka ugnę oponę komnaty,
A chociaż w cieniu siedłem, wydał szelest szaty
I ciąg, co pofalował damaszkciem kotary.
— Kto tam?

— Ja, miłościwy panie!

— Ty, mój stary!

Masz z sobą wizerunki? — rzekł słabo.

— Mam panie!

Ino co z Tykocina — — Wielkie radowanie,
Gdy z lampy jaspisowej padł odblask bladawy,
Dostrzegłem w licu króla na wieść mojej sprawy.
Dał znak: myśmy schorzałe podjęli mu ciało
Oparłszy o wezgłowie. Potem, gdy się zdało
Duszno w komnacie, ręką biskupa odprawił
Krakowskiego, toż Mniszczów — mnie tylko zostawił.

— Pokaż waść! — Jam skrzyneczkę misternej roboty,
Kłęknąwszy, podał; kluczyk otworzył ją złoty:
I król wyjmował. — Co zaś malarz tam nakreślił
Nie wiem, iż patrząc w pana srodzem się zamyślił

I zdumiał, zkądby zmiana? bo ono oblicze
 Tak zwiędłe, przybrało się w kolory dziewicze,
 A oczy, by dwa szkiełka nie z siebie świecące,
 Zagrały gwiazd żywością, i ręce mniej drżące
 Zdały się, gdy po długi nad łożem je trzymał
 Z wizerunkiem, co pańską pierś szeroco wzdymał
 I łzę dobywał. Dziw to! istne babie lato
 Ono wspomnienie, co nam bramuje bogato
 Jeszcze zgło nasze; jakby do wiecznej pościeli
 Kwiaty co najkrańsze rzucali anieli —
 To też go odmłodziło lepiej bezoarów,
 I praktyk onych nocnych i z Zuzanną czarów;
 Bo zrywając się z łoża siłą nadzwyczajną,
 Wołał: Komorny, szaty! słyszysz, szaty dajno!
 Płaszczyk hiszpański z krezą, łańcuch z karbunkulem,
 Jako na gody. Słyszysz! — muzykę poczułem;
 Bekwarka lutnię — o nie! dźwięczniejszy nad lutnię
 Głos-to mej Basi — słyszysz! jak woła okrutnie —
 Trzymajcie — mdleje — Matko! czego chcesz królowo?! —
 I niby odpychając, zrywał się na nowo
 Z wezgłowia, chcąc za onem już lecieć widzeniem;
 Lecz go w pół ciała wzięwszy, z pańskim przeproszeniem,
 Wtłoczyłem w łożę, kędy na polu omdlały,
 Opuścił głowę, istic pod kosą kwiat biały.
 Mnie strach zdjął — nie wiedziałem, wołać-li lekarzy
 Lub księdza z wijatykiem, panów dygnitarzy?
 Tylkom nie puszczał z ręku, słuchał czy puls bije —
 Długo, długo — aż westchnął, pot oblał go — żyje! —
 Chciał mówić, usta ruszał, by pragnął ochłody;
 Podałem kordyał, wypił — znów zdał się jak wprzód
 Jedną myślą trapiiony; raz wraz ku oponie
 Wzrok rzucając, to znowu wyciągając dłonie
 Zagabał: Czyśmy sami?

— Sami.

— Niech nie waży

Nikt wchodzić.

— Komornego stawilem na straży.

— Dobrze! — wskazał na skrzynkę: — Porusz te sprężyny. —
Jam ruszył i otworzył. — Co tam?

— Pargaminy

Zwinięte jakieś.

— Wyjmij, i czytaj co stoi. —

Rozwijam, hiorę czytać, a w oczach się dwoi;
Tak dziwne konterfekty i z wejrzeniem takim
Żem mimowolnie krzyża przekreślił je znakiem,
I czedł¹ z ciężkością, pomnę mniej więcej te słowa:

«Cichy sługa sług pańskich, opat z Jędrzejowa
Berejus, prophetico spiritu natchniony,
Wiedzion chwałą Kościoła, i zdrowiem Korony,
Takowe vaticinium, z gwiazd i książek wiele
Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela:»

— Ostatniemu! — król krzyknął — a już lat trzydzieści
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści.
Ostatniemu! więc onej pustułki prorocstwo
Jak raz odgadło domu mojego sieroctwo! —
Tak marnie, wielki Boże! — tu oko posępne
Łzą kapnęło — po chwili, jam czytał następne:

«Stan rycerski viritim na elekcyi pole
Wyjdzie konno i zbrojno objawić swą wolę
W wyborze pana — głosy padną na Liliję;
Wzdy od słońca swobody miękki kwiat się skryje.
Naród radzi i z za gór sprowadza Ząb smoczy
Co butę panków, hardość moskiewskiego stoczy;
Od pohańca mur grodzi, i w swych prac połowie
Skruszy się — — Zżęty Snopek w zamorskim ostrowie
Z twego ziarna, na naszym posadzon Wawelu,
Daje pasożytnemu rozpostrzeć się zielu:
Zbędzie dwóch koron, rzuci ziarno przyszłych swarów;
Hetmani powiązanych przywiodą mu carów;

¹ Czytał. Zastarzała forma: tryb bezokoliczny ma: cześć.

A on, mały śród wielkich, do chóru nie szańca,
 Narazi na cios mściwy głowę pomazańca,
 I spuści z laty berło Władnācemu-sławą.
 Cny sternik! wzdry bez steru ciężko będzie z nawą;
 Rozhukanemi falmi szturmuję swawola;
 Z Niżu krwawą chorągwią powieje niewola,
 I krzywdy zrównoważy miecz kozaczey czerni —
 Sługa miru bożego po koronę cierni
 Sięga po nim, i jakby każąc mir na zawsze,
 Biję się przez pożogi i mordy najkrwawsze;
 Aż dwakroć exul kończy na dalekim brzegu —
 Kość z kości naszych, Księżyc wzbija się do biegu,
 Lecz rychle go zaciemią pohańskie księżyce!
 Michał archanioł z niebios tarcz znosi, stolice
 Wskaże jej chrześciańską, zkąd zabrzmi wołanie:
 Od jassyru, koranu, ratuj nas hetmanie!
 By Constantinus w krzyża zwycięży on znaku,
 I wjedzie po łbach Turków w on gród na rumaku.
 Cóż, gdy w końcu Tarcz świetna przez sidła, fortele,
 Chytrōścią baby w brzydkim ugrzęźnie popiele!
 Dwa Miecze znów powstaną z rdzy błędu otarte,
 W krwi swoich zbrodzą, szponmi dwugłowego wsparte,
 Co odtąd by kruk wisząc nad cielskiem nieżywym,
 Będzie mu darł jelita dzióbem swoim krzywym;
 Bo choć Miecze dobyte, cisza jakby we śnie,
 Surmy głuchną, li same brzmią godowe pieśnie.
 Aże naród zabrzęczy wrzkomo pszczelna wrzawa,
 Gdy mu caryca gacha wytrząśnie z rękawa,
 Co pieszcząc włoskim gorgiem szorstkie jeszcze dusze,
 Fiok rzuci na łby gołe, podetnie kontusze;
 Dając prym, jak mierzonym kortezana chodem
 Czołgać się po wzgląd obcy, frymarczyć narodem;
 Jak wreszcie, kość rzuciwszy o męczeńską szatę,
 Pójść w zamtuż marmurowy po dzieł swych zapłatę — —
 Amen — skończyłem — gwiazdy nie więcej nie piszą — »

— Cóż dalej? Król zapyta; a piersi mu dyszą
 Od wzruszenia. Cóż dalej?! —

— Już wszystko, co było.

Odeprę.

— Wszystko? jakże marnie się skończyło!
Sprzedany naród, Piastów berło zbękarciło!
Chyba świata skończenie, aby w dni tak mało
Upadł tron, żelaznemi słupy Chrobrych wsparty,
Uniami Jagiełłów związany. — Chyba czarty! —
I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu zstępował,
A może z sokołami przegamracił losy
Korony. Strach pomyśleć! mnie aż wstały włosy,
Gdym widział jak zgryzota siadła mu nad brwiami,
I co cierpiał. Westchnąłem: zmiłuj się nad nami
Boże i nad nim! gdy w tem oko padło z trafu
Znów na pargamin. — Panie! małym paragrafu
Jednego nie prześlepił; dopisan jest z boku,
I dopełniać się zdaje tajemnic wyroku. —

— Więc to nie koniec? widzisz, nie koniec, mówiłem;
Czytaj —

«Przez mgłę trzy gwiazdy szpetne dopatrzyłem,
Co blasku pożyczwszy, Polsko! z twojej gwiazdy,
Dopełnią na niej w czasie trzy srogie najazdy,
I w ćwierci ją rozbiwszy, jak więźnia przykują —
W ukradzionych koronach, purpurach — panują —
Upiory! krew narodu ssą, kości mu kruszą,
Chcą duszę zdusić — w piersiach jak wiercą! — nie zduszą —
Chyba —»

— Przestań! na rany Zbawiciela cicho! —
Zwinął pięści i groził. Myślę, czy mi lichy
Nadało czytać. A on: — kłamie prorok, kłamie!
Kłamią gwiazdy! — i silnie schwycił mnie za ramię,
Że znak będzie do śmierci. Lecz zaraz osłabiał,
I bledszy upadł na wznak. — —

Jam panów pozwabiał
Do komnaty; toż wbiegli — szmer stał się: Król kona!
Sam ksiądz biskup krakowski dłoń przytknął do łona,

Jeszcze biło i wargi drgały, lecz bez dźwięku,
 I błogosławieństwo niby, w podniesionem ręku
 Zdało się spływać na nas. — Pokłękliśmy wszyscy;
 W tej ciszy coś bełkotał; ci co byli bliscy
 Słyszeli: kłamię prorok! — nie pojęli treści,
 Jam jeden pojął, milczał. — Gdy w-tem krok niewieści,
 Lekko z bocznych drzwi sunąc, mignie się przedemną;
 Poznałem: to jej postać — choć pod szatą ciemną
 Ruch żywy, a na ustach uśmieszka tak wdzięczna,
 By z pod białawej chmurki obrączka miesięczna.
 Byłbym wstrzymał, zgorszony zjawiskiem nie w porę;
 Lecz oto już u łoża oparła się — w chore
 Ciało królewskie patrzy, czaruje i zda się
 Mówić: pójdź w me objęcia, przypomnę ci Basię! —
 Na to, jakby w odpowiedź wstrzęsła się kotara:
 Oto masz, przy skonaniu jeszcze trapi mara!
 — Precz Syreno! wnet przytnę; dość twojej praktyki,
 Precz ztąd musisz! — chcę wywieść, aż tu głośnie krzyki:
 Król ducha oddał! wstrzęsną komnaty ścianami;
 Aż tu ryk wielki z głosem kapłanów, z dzwonami,
 Cały zamek ogarnia, wylega na błonie,
 Głośnie, donośnie, rzekłbyś, po wszystkiej Koronie —

Żal mną rzucił o ziemię — po czasie, żrenice
 Gdym podniósł i ku łożu toczył — blask gromnice
 Z jednej strony twarz żółkłą oświecał, a z drugiej
 Przez okno otworzone wpadał promień długi
 Słońca, co już wschodziło nad knyszyńskim borem,
 I szkarłatnym pół-lica oblało kolorem —
 Patrząc w to — iściem widział jak anielskie skrzydło
 Odganiało od duszy doczesność obrzydłą,
 A z bram raję głos spływał: święty, święty, święty! —
 W żalu i pokajaniu, rzekłem skroś przejęty:
 Owo tak ziemskie wieszczby wszystkie się kończyce!
 Niebieskim przepowiedniom wieczne wschodzi życie. —

DRUGA WIESZCZBA.

Rok 1767.

Zdarzenie zawarte w niniejszym ustępie, odnosi się do czasu sejmu ordynaryjnego, złożonego w Warszawie pod konfederacją Radomską. Wiadomo iż w onej konfederacyi Sołtyk, biskup krakowski, pisał się szczególniej za dyssydentami, chcąc przez ten polityczny krok zrobić sobie większe stronnictwo dla zepchnięcia z tronu Poniatowskiego; również Mniszech partyzant saski i wielu innych nieprzyjaciół króla i rodziny (Czartoryskich) działało pod wpływem tej myśli. Z tem wszystkiem byli oni tylko, jak się pokazało, igraszką podstępnej plotki puszczonej przez Repnina: jakoby imperatorowa nie była z Stanisława Augusta kontentą; jako on, z łaski jej dostąpiwszy tronu, pokazuje się niewdzięcznym, że nie przywodzi do skutku interesu dyssydentów i Greków; że przewrotnym rozumem poniszczywszy dawne prawa kardynalne, władzy hetmanów i liberum veto, zakrawa na samowładztwo. Gdy zaś podstęp wydał się konfederacyi Radomskiej, ci sami, dawnych swobód popieracze, widząc się oszukani w nadziei pozbycia się króla, wystąpili na sejmie jako żarliwi obrońcy wiary rzymsko-katolickiej; w tej walce wiedli rej: Sołtyk krakowski, Załuski kijowski biskup, Rzewuski hetman polny koronny, syn jego starosta doliński i poseł kaliski cześnik Koźuchowski. — Czterech tych

pierwszych porwano z własnych pałaców i wywieziono do Kaługi. Po tym gwałcie, szlachta, co w długim pokoju zależawszy pole, znosiła tyle obelg z nikczemną cierpliwością, udała się, tknięta do żywego, z papierowej Radomskiej konfederacyi do zbrojnej Barskiej, która zawiązała się w lutym, a dała się widzieć działającą w marcu 1768, pod marszałkiem Michałem Krasieńskim podkomorzym rożańskim, i Puławskim starostą wareckim.



KAZANIE.

USTĘP DRAMATYCZNY.

Daj mu lzy Magdaleny, objawienie Jana.
MAGNUSZEWSKI.

I.

Cela w klasztorze OO. Karmelitów berdyczowskich. W jednym kącie tapczan nakryty rogożą. Na ścianie, przed wizerunkiem NP. Częstochowskiej lampa goreje. — Po drugiej stronie celi stół dębowy, na nim kilka ksiąg, krucyfiks. Ksiądz Marek siedzi przy otwartym brewiarzu oparty na lokciach — sen go zmorzył — budzi się.

W imię Ojca i Syna — coś głowa snem cięży;
Klasztor śpi, nigdzie światła po celach u księży.
Noc nie aurora, tobie muzy też nie trzeba,
Ale siły natchnienia z ksiąg świętych i nieba.
Do pracy więc! dziś święto: masz prawić kazanie;
Prawże o czem nie wiedzą wierni chrześciance.
To sztuka! ale większa, zmusić ród człowieczy,
Ród krzywy, do czynienia pocziwie i k'rzeczy —
Od czegoż argumenta? wiąż nimi grzeszniki,
I jak pięcią drutami smagaj schyzmatyki;
Od czegoż piekło, wiara, treść pisma i prawdy?
Otwórzmy one księgę: w niej jak w źródle zawdy,
Pilem moc.

(Otwiera księgę i czyta.)

«Ewangelia świętego Łukasza.

Rozdział dwudziesty pierwszy, te słowa ogłasza:

«A kiedy Jeruzalem wojskiem niezliczonym

«Otoczoną ujrzycie, płaczcie nad jej zgonem!» —

Srogie słowa! i któż jest ona Jeruzalem? —

(Myśli.)

Jużci biedna Ojczyzna, zalana Moskaleni!

Cóż więcej pisze?

«Bowiem dni to pomsty, ano

«By się spełniło wszystko, co jest napisano.»

I spełni się, i spełni! winą ojców spada

Na syny co nielepsze — Czytajmy:

«A biada!

«Brzemienным i piersiami karmiącym, albowiem

«Będzie ścisk wielki i gniew nad ludzkim pogłowiem —»

Jak raz do nas.

«I legną od ostrza, i między

«Wsze ludy ich wygonią ku jarzmu i nędzy — —

«A Jeruzalem będą deptali poganie,

«Aże się nie wypełni pogan panowanie —»

To schizma! schizma! — Chryste Panie! ześlij zbroję

(Zamyka książkę i powstaje w zapale.)

Księcia aniołów, biodra opaszę nią moje —

Podobien wojującej Judyt, szablę w rękę,

Lub drugi Mojżesz oślą pochwycę paszczę! —

I wskoczę na łeb smoka co się tam przewala,

Psując jedność kościoła twego, czcią Baala,

Niecąc pożar, co nie dość że trawy stepowe

Pożegł, ba i winnice objął Chrystusowe! —

Oneć biskupy, szczepy najśłodsze, cóż robią?

Schizmie swobody, krzesła w senacie sposobią;

Rzekłbyś, w bród wywietrzały w nich przykłady święte

Józefata, co krwią swą Rusiny zawzięte

Umiał hamować: albo z zygmuntofskich wieków

Solikowskiego, który pisać się na Greków

Nie chcąc, a zewsząd ciśnion do aktu za niemi,
Zrzucił inucet, piersiami stawiał się nagiemi,
I wołał: Tu zabijcie, a nie dam podpisu!

(Wstrząsając głowę z żalem.)

Dzisiaj! lelum polelum — wszystko od kaprysu —
Święta wiara na włosku, z nią Rzeczpospolita,
Istny dom przy gościncu; nie prosi, nie pyta,
A zawsze goście nowi w cztery ściany jadą:
Libertyzm z farmazonią, peruki z pomadą,
Wraz z gwarancją moskiewską, francuzkim faworem,
Poszustno i buńczuczno z całym sobie dworem.
To też jezdny i pieszy pacholek struchlały
Czai się za piec, kiedy ruskie jenerały
Wodzą rej na obradach, jako gęsi szare —
Toż pany, co klejnoty dzierżą jak świat stare,
Co siła senatorskich stołków, buław liczą,
Płaszczą się kreaturom za podłą zdobyczą;
Albo zatkawszy uszy na swoich zamczyskach,
Kochają się w koniach, winie, metresach i pisiskach! —

Biedna korono! czyżby ostatnia godzina
Miała wybić dla ciebie? —

(Kłęk przed obrazem.)

Ucieczko jedyna!

Patronko Polski, Litwy, coś przed najściem szwedzkim
Ratowała nas grzesznych Czarnieckim, Kordeckim;
Dziś-że dasz na potęgę bez skruchy, poprawy?
By łotra, co ma umrzeć na krzyżu niesławy,
Od którego Zbawiciel odwróci swe skronie,
I nie rzeknie: Dziś ze mną będziesz w raju —

(Powstaje z energią.)

O nie!

Na tak ciężki upadek, to rychło! to rychło!
Chyba samo krwi bicie w żyłach by ucichło,
Szable poprzyrastały do pochew; mogiły,
Te twierdze nasze, kości swych nie wyrzuciły,
Jako w dniu ostatecznym; chybaby już twarze
Przestały goreć wstydem —

(Z smutkiem.)

A przecież tak karze
 Pan Bóg, jeżeli lud ojców odstąpi zakona —
 Czemże upadł Rzym, wielka Babilonja ona?
 Cudze miłował bogi, wziął służbę u brzucha;
 A tu pod nim, pod ziemią, rosło państwo ducha
 Silne, że barbarzyńców co krwią okipieli,
 Ugięło pod palmowe berło ewangelii —
 Ducha! bożego ducha w ognistych językach,
 Mieć nam w konfederacyach, sejmach i sejmikach,
 By mówił przez marszałki, posły i kapłany
 Głośniej niż ów książę Repnin, głośniej niżli ściany
 Więzień, niż mróz sybirski — głośno jak trzask groma,
 Jak deszcz siarczysty którym spłonęła Sodom —
 A wtedy że się ruszą, Marek gardło stawi:
 Będzie leń do niewczasu, lenistwo swe zdławi;
 Będzie pijak, kostera — z flaszą ciśnie tuzy;
 Rozkochany przed panną wynajdzie exkuzy;
 Który myśliwy — gończym dobrą da odprawę;
 A który dworak — krzyżem przeżegna Warszawę.
 Sknera nawet w okupie odda garść dukatów —
 I wszyscy, jako jeden, skoczą do bachmatów,
 Przymierzać siodła, z skarbców dobywać potrosze
 Moderunki i zbroje, co jeszcze kokoszę
 Zapamiętają wojnę. — A kiedy raz w strzemie
 Wstąpią grody, powiaty, województwa, ziemie,
 Nie oprą się, zagony rozpuściwszy liczne,
 Aż o Dnieper, o Dźwinę —

O śliczne! o śliczne
 Niebo, nad naszą Polską wtenczas się otworzy:
 Jako druga Chanaan zakwitnie kraj boży!
 Szlachecka złota wolność, by ziarna różańca,
 Skupi się koło tronu swojego wybrańca,
 Z dobytymi w pół kordy, z okiem na granice,
 Czy pohaniec nie wkracza? — z okiem na świątnice,
 Czy znowu, kąkol w zbożu, nie naszli bluźnierce
 Ósmym mieczem boleści przebić Maryi serce? —
 Daj to! daj to, o Panie! — Jam mnich, chuda fara,
 Brewiarz przyjaciel, cela świat wszystkim — lecz wiara

Mocna jest we mnie; nie wiem przez jakie sposoby,
 Mógłbym nią martwych wskrzeszać, wypędzać choroby,
 Z tym oto jednym krzyżem bić Amalecyty
 Mógłbym —

(Kładzie dłoń na piersiach.)

O! tutaj siedzi jakiś duch ukryty —

Nieraz gdy się zamodłę urasta w olbrzymia,
 Cztery ściany mej celi rozdyma, rozdyma —
 I ja z nim gdzieś wysoko wyłażę, że słyszę,
 Że widzę, co się dzieje po świecie, co pisze
 Przyszłość: Całe narody z książęty ziemskimi,
 Wojny, wielkie odmiany, przed oczyma memi
 Snują się, warzą, niby morskie nawałności,
 Niby dyalog, w którym grają ludzkie złości,
 Bo krwi pełno i płaczów — strach idzie po skórze —
 Chcę odpychać, nie mogę, gdzieś siedzi w kapturze,
 I gdy się już namęcę tą apokalipsą,
 Tedy wołam: per ipsum, cum ipso, in ipso!
 I tak odpędzam — kogo? Czarta, czyli Pana?
 Coć może objawieniem nawiedza jak Jana,
 Co wielkim trąby głosem nad tobą już woła:
 Napisz o siedmiu złotych świecznikach kościoła —

(Przechadza się, staje i po chwili dumania.)

Kto wie? tyś prorok Marku — ty drugi Izaja! —

(Z śmiechem.)

Ha, ha, ha! stara pałko, szatan przez cię baja;
 Oto już na łysinie rośnie ci róg pychy. —
 Masz kaptur, zakryj. — Mnich dumny choć cichy,
 A przysięga pokorę —

(Z wesołą ironią.)

Jednak to splendor nie lada,

Marek prorok! — on dziwne rzeczy przepowiada:
 Urodziny, wesela, słoty i pomory,
 Lepiej niż sam Niewieski i wszystkie znachory!
 Marek zuch! Marek słynie na całej tu Rusi;
 Marka na rękach noszą, poją i pić musi —
 A klasztorowi z tego idą vota mnogie:
 Barany, stare lipce i ornaty drogie,
 I Bóg wie nie co. — Jakże nie dać tu mospanie?

Marek jeszcze opatem tynieckim zostanie:

Abbas centum villarum!! —

(Wstrząsając głową.)

Patrzcie, jako w klechę

Legjon czartów zajechał, i sprawia uciechę!

A biczemże! — wszak w piśmie stoi: że nieczyste

Nie będziesz cierpiał, w piekło nie grzął oczywiste —

(Zdejmuje z kołka dyscyplinę i obnaża plecy.)

A biczemże po cielsku! — Tak, to zdrowo, zdrowo!

Z takiej łaźni duch wyjdzie czysty, jako słowo

Samego Pana. — Jeszcze! bezpięty umyka

Jak myszka, gdy mu dojmiesz, z kąta do kącika.

Nałóż sobie pokutę — refektarz zamiatać

Co piątki, w piecu palić, z kuflem się nie bratać —

To mało! siedzi — z księdzem przeprosić lektorem —

Ależ szlachectwo moje dotknął dyshonorem?

Drwił z herbu! — O mospanie, to sprawa gardłowa!

Biczemże — oj przeproszę!! — Czart gracko się chowa

W zakamarek szlachecki, myśląc że bezpieczny.

Wynijdz szatanie! w imię pańskie! — Jaki grzeczny,

Kłania się. — Sam tu, do mnie; na tym to rzemyku,

Jak ów święty pustelnik, przywiążę zbytniku —

(Przywiązuje rzemyk do stołu.)

Ha! teraz lżej mi. — Ciężkie brzemię ze sumienia

Spadło; duch znowu gore, oko rozpromienia,

I miłość chrześcijańska — kwiat wonnej roślinki

Z serca rośnie, pod cień swój zaprasza ptaszynki

By mogły kwilić. — Ty ksiądz, ty duszewny lekarz,

Na płaczący ród ludzki jak roślina czekasz

Z piersią otwartą, mówiąc: o wielcy i mali!

Pójdźcie tu, jak w karbonę będziecie rzucali

Miedź i srebro; on wszystko w jeden kruszec zleje

Na dzwon, aby wam w duszach rozdzwonić nadzieję.

O rozdzwonię! mam siłę, co pokuty hartem

Może się mierzyć z grzesznym, filozofem, czartem;

Mam usta, z których brzydkie żmije nie wyskoczą;

Mogę kazać. — Na myśli jakoś mi ochoczo,

Nawet złośnik swą mową ócz mi nie zapruszy:
 Mnichu! niebo wskazujesz, sam w błocie po uszy —
 Wymodloną krwi kroplą z ran Ukrzyżowanego,
 Niosę skarb miłosierdzia równy dla każdego.
 Mogę kazać —

(Idzie ku drzwiom i słucha.)

Organy już huczą, i cienko

Pieją baby: zawitaj nam ranna jutrzeńko —
 To godzinki — do sumy mam czasu dostatek
 Wyjąć choć kilka z pisma świętego notatek,
 Obrac przedmiot — a jaki? Dość spojrzeć na ławy,
 A staną ci przed okiem złe i dobre sprawy
 Twoich parafian. — Tylko, jak słyszałem zdala,
 Siła panów koronnych do nas tu się zwala.
 Warto z czemsiś wystąpić. — O veni Creator!
 Podrwisz sprawę mój Marku jeźliś zły orator;
 Będą ziewać fireyki. — Ty prawdę tnij złotą;
 Hołotę mierz panami, a panów hołotą;
 Masz za sobą powagę — przecież ksiądz Piotr Skarga
 Na sejmowem kazaniu gracko panów targa,
 Czemużby ty? — o powiem, o wyrzucę w oczy
 Robaka, który ciało republiki toczy;
 Niech się rumienia. — Żwawo do dzieła, mój Marku
 Pomnij, że to nie fraszka kazanie na karku.

(Otwiera ewangelią i rozmyśla.)

Z słów, o Jerozolimy zburzeniu, wywodem
 Prostym się zastanowisz nad naszym narodem.
 Z podobieństwa o fidge, co gdy puści listki
 Wróży lato, ty kraju wróż upadek blizki:
 A słowami Chrystusa: «Zaprawdę przeminą
 Niebo i ziemia, słowa moje nie przeminą;»
 Uderzysz jako gromem siarczystym słuchaczy;
 Niechaj wory włosienne nawłóczą śród płaczy
 I zgrzytu zębów — czoła posypią tym prochem
 Po którym dzisiaj chodzą w zaślepieniu płochem.
 Albowiem do zbawienia droga przez pokutę;
 Tak lekarz kładzie ogień na ranę zatrutą,

Tako ramię ucinasz coć gorszy, tak oko —
Lepiej teraz niż potem —

(Wznosząc ręce z natchnieniem.)

Duchu! coś wysoko

Nosił mię nieraz w chmury nad przepaścią ziemną,
I dziwy wywoływał mocą swą tajemną;
Ponieś mię dziś najwyżej! z ócz łuskę ostatnią,
Zdejmij, język mój rozwiąż oplątany matnią,
Abym słyszał i widział co mówią wyroki,
Co niewinny baranek, co bestya, co smoki?
Niechaj wiem gdzie ofiara, którą Pan wytyczy:
Syn-li ma pierworodny pójść pod miecz rzeźniczy —
Czy jagnię-naród? — Boże Jakubów, Izaków!
Ukaż mię ofiarnikom owieczką wśród krzaków;
Dam krew za winy Polski —

(Chwiejąc się słabym głosem.)

Czy mię już ubiega!

Nogi drżą — padam, padam —

(Pada przy łożu; głosem przerywanym, eichym — w zachwyceniu.)

Alfa i Omega

Jam jest początek — koniec —

PRZEOR, uchylając drzwi.

Dobry dzień waszmości!

Słyszę głos, nie przeszkadzam — zapewne masz gości?

(Postrzegając klęczącego.)

Ba, nie! trwa na modlitwie — gorąca to dusza!

Czasem tylko, jak mówią, hula bez kontusza;

Lecz za to pokutuje biczowaniem, posty,

Ścieląc sobie gościniec aż do nieba prosty —

Nie przerywajmy. — Jedno spytam:

(Głośno.)

Ojcie Marku!

Wszakto dziś macie kazać, a podczas jarmarku

Państwa różnego — milczy — suma wyjdzie raniej;

Jaśnie wielmożni, oraz wielmożni —

KSIADZ MAREK, marząc.

Porwani!!

Dwaj pasterze. —

PRZEOR.

Pasterze? czy w gorączce? — Zbytki

Tak zatapiać się, zwłaszcza —

KSIĄDZ MAREK.

Porwani — w kibitki —

PRZEOR.

Kto mówi o porwaniu? — ja tylko przychodzę

Przypomnieć. —

KSIĄDZ MAREK.

Senatory! gwałt izbie —

PRZEOR.

Przeszkodzę! —

Znów sacra cum profanis, brewiarz z polityką

Mięsza, choć wciąż ostrzegam: na słońce z motyką

Nie rwać się; mocniejszego zawsze lepsza racya.

(Biorąc go za ramię.)

Ojcze! ocknij się wasze.

KSIĄDZ MAREK.

Tam — konfederacya —

Pod sztandar krzyża —

PRZEOR.

Widzę, tu pal i z moździerzy

To go nie zbudzisz. — Ojcze! dosyć tych pacierzy;

Wszak kazanie was czeka — już dosyć —

(Wstrząsa nim.)

By kłoda

Nie rusza się — hum! — z twarzy patrzy mu pogoda

I zapal —

(Po chwili odstępując z uszanowaniem.)

Czy duch jego — dziwne sprawy boże! —

Teraz gdzie się przechadza po niebieskim dworze

Równo z anioły? Czy też proroczem bujaniem

Ugania gdzieś daleko za swoim kazaniem?

Pan Bóg to wie najlepiej. — Ni fallor, w żywocie,

Coś takiego czytałem o świętej Dorocie —

Pięknaby dla klasztoru, gdyby w nim pochowan

Ksiądz Marek, na świętego był kanonizowan!

(Oddała się — ksiądz Marek zostaje nieruchomy.)

II.

(Kościół berdyczowski. Solenne nabożeństwo. Celebrant po odśpiewaniu ewangelii odstępkuje od ołtarza i usiada po lewej stronie. W ławkach i stalach około wielkiego ołtarza mieszczą się znakomite osoby płci obojej — służba, dworzanie i drobniejsza szlachta, zamużają ławy ku środkowi kościoła — po bokach i oddrzwi stoi mieszczaństwo i lud prosty. We drzwiach zakrystyi kilku mnichów i przeor w żwawej dyspucie.)

PRZEOR.

(Do nadchodzącego braciszka.)

I cóż ojcie Hilary — co mówił?

OJCIEC HILARY.

(Wzruszając ramionami.)

Ni słówka.

PRZEOR.

Ależ przecie? —

OJCIEC HILARY.

Wstał tylko — i dobył ołówka

Kreśląc coś na papierze szybko, by pociągiem

Jednym, chciał rzecz swą wydać. —

PRZEOR.

Biada z dziwołągiem!

A tu państwo dostojne nudzi się i ziewa.

Leć waść, lećcie wy wszyscy, niech mi wnet przybywa —

Na cały ruski miesiąc zasadzę do kuny.

Lećcie! —

KILKU MNICHÓW.

Ot i ksiądz Marek — blady, jakby z truny. —

PRZEOR.

Czekamy jegomości — cóż znowu się święci?

Waść chory?

KSIĄDZ MAREK.

(Cichym głosem.)

O, zdrów jestem, tylko bez pamięci

Chwilem był.

PRZEOR.

A kazanie?

KSIĄDZ MAREK.

(Pokazując papier.)

Gotowe.

PRZEOR.

Laus tibi

(Ks. Marek idzie przed W. ołtarz i po krótkiej modlitwie wstępuje na ambonę.)

STAROŚCINA.

Patrz jak spojrział surowo, pewno przytyk wścibi

Do nas w kazaniu.

PODKOMORZYNA.

Wyjdę.

MARSZAŁKOWA.

Tu popy żarliwe

Zwyczajnie na prowincyi — oj nie ma jak tkliwe

Kazania misyonarskie w stolicy!

GŁOSY MIĘDZY SZLACHTĄ.

Widzicie

Nasz ksiądz Marek — to swada! prawi wyśmienicie. —

JEDNA Z SZLACHCIANEK.

Ja zawsze płaczę.

DRUGA.

I ja.

SKARBNIK.

Wielki patryota

Moskali jako sobak nie cierpi.

WOJSKI.

To cnota

Niepospolita dzisiaj! —

KILKA GŁOSÓW.

Sza! cicho!

JEDNA Z WIEŚNIACZEK.

U kmochy

Nie dawno syn umierał: krzyk wielki i ślochy,

Ślą na gwałt do klasztoru; ksiądz Marek dobrodziej
Przyszedł, coś pomorkotał, i syn zdrowy chodzi —
Znowu tak rok na gody —

DRUGA.

Nie o jednym cudzie
Świętobliwego ojca powiadają ludzie.

GŁOSY W CIŻBIE.

Sza! sza! słuchajmy! —

KSIĄDZ MAREK.

(Z ambony.)

W imię Ojca, Syna
I Ducha — Amen. Słuchajcie! Ruina
Wisi nad Polską!!! Miałem objawienie:
Oto biskupów wloką na więzienie,
Starców z senatu, z izby — gwałt za gwałtem
Tak cały naród chcą grabić ryczałem. —

Widziałem hufiec pod sztandarem krzyża;
Staął na wstręcie, karku nie uniża;
Bo imię Jezus z przeczystą Marią
Na dwugłownego ptaka z góry biją —
Widziałem grody, ziemie i powiaty
Sypiących męży — jakby antenaty
Ze snu powstały, taka moc ich duża!
Nie jedna krwią się równina zakurza,
Dymy owioną czoło Jasnej Góry —
I ot gmach runie wspaniałej struktury,
Szczątki rumowisk mieć w świat szeroki! —

Potem, z trzech strony trzy widziałem smoki
Z wichrzącym wichrem, żelaznemi dzioby
Na Matkę naszą trzy kopało groby,
W jednym jej stopy, w drugim grzebiąc dłonie
A w trzecim głowę — serce tylko w łonie
Będzie się krwawić, rozdzierać i kipieć —
Ten pierwszy kielich żółci musi wypić! —

Znów stanie cisza od wielkiego sromu:
Ni się pozalić nie będzie nikomu,

Cudzy nam grzechy palcami pokażą,
Mówiąc: niech piją piwo jakie warzą. —

Dobry gospodarz ramion nie założy,
Chocia mu tucza wybije dar boży,
Nowemi ziarny skibę swą zapleni;
Tak, po tej tuczy kraj się zazieleni.
A okrzyk pójdzie: ładu, ładu, ładu!
Chwasty wyrwać, ścinać płonki sadu,
Na podłych pieńkach szczepić gałąz cenną,
Jałowe pole zmienić w niwę plenną. —

I na dniu trzecim dzieło się dokończy:
W koło pasterza trzy stany się złączy,
Piejąc hymn zgody. — Alić smoki znowu
Wyciągną szpony, dzioby do połowu,
Ze zgrają kruków, co pierś własnej matki
Podrą na szmaty, rozniosą ostatki. —

I znowu cisza jakby na pogrzebie,
Z głową zwieszoną każdy pyta siebie:
Gdzie nasze winy? za co ta pokuta?
Grzbiet uchylając przed świstaniem knuta —
Niebo sieroctwem naszym się rozczuli,
Zeszle człowieka, gdzieś z drugiej półkuli,
Co jak lew z Judy zbroją swą zachrząści,
Dwom smokom z gardła wydrze łupu części;
I w wysileniu na cios chrobrej ręki,
Z konia się zwali w głąb smoczej paszczęki. —
Finis Poloniae! — jęk pójdzie wodami,
Ócz miliony zaleją się łzami —
Krew matek, dzieci, popłynie dzień długi
Jako z żrenicy. — Oto kielich drugi;
W całopaleniu umiera ofiara! —

Potem mi cień się ukazał, czy mara
Z pod zgliszczów wyszła, po piaskach, po morzach
Niby chrztu pragnie by upiór — i w zorzach



Słońce powstających czyta zbawcy imię,
I chrzei się, chrzei się w krwi, ogniu i dymie. —

I byłem w duchu, pośrodku wód mnóstwa;
Aż widzę: Olbrzym ze znamieniem bóstwa
Wyszedł na koniu — pismem był okolon:
Gniew boski — anioł przepaści — Appolon —
I, patrząc dalej — za nim rój skorpionów
Szarańczą zjada liść koron i tronów;
A głos wód wielkich grzmiał z trąby spiżowej:
Jam jest Antychryst, zwiastun wiary nowej —
Słyszałem potem, jak rzekł do upiora:
«Dość twej włóczęgi — pora ożyć, pora!
Nie wskrzeszę całkiem, piersi tylko wskrzeszę,
Abyś zgłodniałą nakarmił mi rzeszę.»
Toż Pan zastępów przytrze jego butę;
Na ómę skorpionów spuści mrozy lute;
Samego zwiąże, zarzuci na skałę,
Gdzie pokutować ma czasy nie małe. —

Potem, w widzeniu widział: trzech smokowie
Kładli koronę na Polski tułowię,
Mówiąc: stój bez nóg, oddychaj bez ducha —
I postawili w straży psa z łańcucha,
By krew wysysał kiedy zagra w żyłach,
Ilekoć tułów chce powstać o siłach —
Śmierci szukają w on czas ludzie smutni,
Ale nie znajdują. — Aż oto dźwięk lutni
Usłyszany będzie od jelonków w górach,
Co na strażnika w noc spadną — na murach
Jego zamczystych «Śmierć» wypiszą krwawo — —

I oto w pysze ucieka Farao
Od mnóstwa konnych i wozów tysiąca —
Dzień Zmartwychwstania! — jak siarka gorąca
Krew, z środka serca w członki wpada, wierci
On trup — widziałem — zrosł się z czterech ćwierci!

Filistyn hufem nastąpił nań mnogim,
 I pobit — raz — dwa — wzdy wyrokiem srogim
 Pan od zwycięzców oblicze odwróci,
 I on dzień prędką nocą się ukróci
 W grobach wschodzącą. — Hozanna! hozanna!
 Pieją mu ludy, a Najświętsza Panna
 Wianki męczeńskie z łzą zroni na głowy
 Rycerskiej wiary —

Widziałem grobowy
 Kamień lecący na Polskę niebogą;
 Lewiatan srogi nastąpił nań nogą,
 Kości druzgotał, na wiatry rozwiewał —
 Popędliwości wszystkie swe wylewał —
 I to ostatni kielich!!!

Z rąk Heroda
 Niby dziecinę świętą — część naroda
 Ujrzałem w duchu, do ziemi dalekiej
 Idącą na brzeg babilońskiej rzeki,
 Myć swoje szaty we krwi barankowej
 Z win swoich własnych, z winy adamowej,
 Dźwiganiem krzyża, piciem łez rozpaczy,
 Aż się wypełnią wszystkie dni tułaczy.
 A dni to długie! pokąd na stolicy
 Baranek z palmą nie stanie w prawicy,
 I nie wyzwoli lud niewolny z oków,
 A ślepych z sideł fałszywych proroków —
 Tyle słów objawienia. — Cierpmy, nie ma rady;
 Oto anioł nad Polską zatrąbił trzy biady! —

Dabitur vox,

Fugiet nox,

Veniet lux,

Et miserabit Deus super regnum Mariae

Reginae Poloniarum!

(Ksiądz Marek przeżegnawszy lud, schodzi z ambony. — Na kościele rozlega-
 ją się jęki i westchnienia.)

GŁOSY MIĘDZY LUDEM.

Ratuj! ratuj nas Panie! padamy na twarze;
 Ratuj! zdrożności nasze niech nasza krew zmaże,
 A synom folguj! —

PRZEOR.

(Pomięszany i w gniewie.)

Wszelki duchu! co on bredzi?
 Zginęliśmy! w klasztorze nikt się nie osiedzi.
 O crimen! lud buntować — jeszcze gdzie? z ambony!
 Osadzę winowającę. —

GŁOSY MIĘDZY LUDEM.

Koniec! koniec świata!

JEDNA Z SZLACHCIANEK.

Daję na mszę.

DRUGA.

Ja na trzy.

TRZECIA.

Da Bóg dożyć lata
 Pieszko do Poczajowa iść się ofiaruję.

POKOJOWIEC HRABIEGO.

Nie wiedziałem — ksiądz Marek poeta, rymuje.
 (Z śmiechem.)

Wierszem kazanie!!

DRUGI.

Mniejsza o to, lecz nie w porę
 Przy takim państwie, by żart? —

SKARBNIK.

To wyciął perorę
 Nasz stary — daj go katu! — Prawdę, a nie grzechem
 Rzec można, że się u nas wszystko dzieje lichem,
 Cnoty ni krzty, a gdzie to! dawniej za mych czasów. —

KASZTELANIC.

(W stroju francuskim w grupie fircyków.)

Temu klesze kazałbym wyróżnąć ze sto basów!
 Jakiem prawem śmie wścibiać nos w sprawy koronne;
 I lud dużyć, postrachy rozsiewając płonne?

FIRCYK.

Fanatyk!

DRUGI.

Wart do czubków.

SKARBNIK, zbliżając się ku rozmawiającym.

Bez ujmy honoru

Ichmościów, nasz ksiądz Marek jest lumen klasztoru!

Człek święty, dobry Polak, znamy go tu wszyscy. —

KARZTELANIC, z pogardą.

Partyzant Czartoryskich! —

SKARBNIK.

Co tam Czartoryscy!

Kocha Polskę i kwita; jego słowom wierzę,

Drzemmy się między sobą, Moskal nas zabierze. —

KASZTELANIC.

Ha, ha, ha! czcza obawa. — Aśc wiedz, partya saska

Ma Turka, Austryę.

SKARBNIK.

Z drzewa kruchego ta laska.

Na ojczystym kosturze oprzeć się najlepiej —

Oj, miał prawdę, że do nas aż trzech się przyczepi!

Zginiem jak muchy! —

SZLACHCIC NOWO KREOWANY.

Wątpię — szlachta starodawna,

Będziemy zawsze szlachtą — chłop chłopem. —

PODKOMORZY, w grupie przy wielkim oltarzu.

Zabawna

Ta mnicha przepowiednia. — Czyś zważał marszałku,

O porwaniu biskupów? —

MARSZAŁEK.

Tak, w jednym kawalku

Coś zdał się przewidywać — te mnichy to szpaki!

Już wietrzą. —

PODKOMORZY.

To na rękę dla sprawy —

(Zwracając się ku zakrystyi.)

Któż taki

Ku nam pcha się? czy goniec? cały w kurzu.

(Do dworzaniina.)

Mości!

Dowiedz się kto to.

GONIEC.

Puście! pilne wiadomości. —

PODKOMORZY.

Dworski księdza biskupa!! mów co masz?

GONIEC, zbliża się i mówi na ucho.

Sztafetą

Prosto pędzę z Warszawy, i mam sub secreto
 Donieść jasnemu panu, iż biskup krakowski,
 Toż kijowski i hetinan porwani w powózki,
 Zataszczeni na Sybir. —

PODKOMORZY.

Kiedy? jak? co? za co?

GONIEC.

Trzy dni temu, książ Repnin —

PODKOMORZY.

Ha! to mnich ładaco

Pierwej już wiedział?! —

GONIEC.

Pierwej? chyba cudem, ptakiem,
 Bom dniem i nocą pędził — a wyminąć szlakiem
 Niktby mię nie mógł. —

PODKOMORZY, zamyślony.

Przecież on mówił — słyszałem.

Byłażby to przestroga? —

GONIEC, podając list.

O! czarne na białem —

Ten list przekona. —

PODKOMORZY, czyta — składa ręce i obraca się ku oltarzowi.

Chryste, w świętym Sakramencie

Utajon! kość rzucona. — Wspieraj przedsięwzięcie! —

(Nabożeństwo odprawia się dalej. — Ksiądz Marek leży krzyżem przed wiel-
 kim oltarzem.)

TRZECIA WIESZCZBA.

Okres niniejszego ustępu naznaczam w chwili pierwszego rozproszenia się konfederacyi Barskiej, której jedna część, właściwie zbrojna, z Potockimi, z Józefem Puławskim szukała protekcyi od Porty — a druga piśmienna, w Cieszynie zakładała biuro generalności. — Pod tę porę przypada także zniesienie zupełne hajdamaków, którzy zdradą otoczeni, przez samychże Moskali pokuci w dyby, jedni zaludnili Sybir, drudzy poginęli tysiącami śmierciami, okrutniejszemi od mąk jakich lud w ślepotcie zemsty mógł się być dopuścić na szlachcie.



DUMKA UKRAIŃCA.

Ztąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją żrenicą, jak mieczem;
Rękami, jak wichrami mgły jej rozdieram —
Już widno — jasno — z góry na ludy spojieram. —

MICKIEWICZ.

Dwojgiem srebrzystych ramion Rosia w okół ściska
Zielony ostrów, ptaszkom lubie koczowiska.
Od dołu włos sitowia: tam kaczki się myją;
Znowu murawa, kędy bocian z długą szyją
Przechadza się samotny — dalej gęszcz leszczyny,
Gdzie słowiki zlatują z całej Ukrainy;
Ponad gąszczą, dęb rzadki, klon z liściem szerokiem
Gospoda tym, co rade bujać pod obłokiem;
Toż gdy się z słowikami wodne ozwą stada,
Myślałbyś, w zakład z Rosią, kto kogo przegada?
I przegadali. — Rzeka do snu się układła,
Szczęśliwa, że ostrówek patrzy na zwierciadła
Lic gładkich, które czasem pomarszczy jaskółka,
Lub wietrzyk, dla miesiąca sypiąc srebrne kółka.
Widno, że zalotnica pewna swej zdobyczy,
Kiedy płynące chwile spojrzzeniami liczy —
Bo niegdyś, gdy namiętność miotła ją sroga,
Szalała, zapieniona jak Dniepr z swego proga.
Nie pomagały groble, upusty, łotoki —
Szumiała i szumiała, lub rączemi skoki

Wpadłszy na koła, łukiem rozbryzła się tęczy,
 Mściwa na drobnych ziarnkach co je kamień dręczy —
 I tyle skwierku, huk, od doby do doby,
 Jakby Rosia od wielkiej szalała choroby.
 Dzisiaj już taka cicha! — Ba i na ostrowie
 Coś inaczej niż dawniej — czyżby kochankowie
 Zmówili się na żywot odludny, bezczynny?
 Że młyn — co na mil kilka burczał jak bąk trzeiuny,
 Gdzie bywało nawożno jakby przed świętyma,
 Gdzie swaty zajeżdżali czy lato, czy zima:
 Bo młynarka nadobna, a sznurów koral
 Nieraz jej same panie wielmożne zajrzali.
 Teraz, przez gąszcz zarośli ledwie co się miga
 Ściana opadła — woda na koła nie wbiega,
 A nad strzechą obdartą, niby wiedźma jaka
 Komin, dla jadącego gościńcem czumaka
 Przedmiot trwogi i różnych dziwacznych powieści
 O latawcu, jak co noc z młynarką się pieści,
 A przed świtaniem znika; jak ona w żałobie
 Dnie trawi; jako razu, o północnej dobie
 Przed młyn zajeżdża suta, poszóstna kolasa:
 W niej pan złocisty; za nim na konikach hasa
 Orszak swadziebny — huczna rzępoli kapela —
 Mówią: i pop się znalazł do tego wesela,
 Co ślub dawał. — Na godach miód, wino się łało,
 Tańczono do upadła — ale cóż się stało?
 Parobek, co się z kąta przyglądał ochocie;
 Złość mu przyszła: w garść zapiał, by kogut na płocie:
 I wnet goście, muzyka, pan młody, i młoda,
 Jak wymiółł gdzieś przepadli — ino wielka szkoda
 Została się. — Snać djabeł nie puścił to płazem,
 Zniósł groblę, młyn, pomięszał groch z kapustą razem.
 Odtąd z miejsc onych ludzie jak od dżumy stronią;
 Czasem się pastuszkowie za bydłem zagonią,
 Co przed muchą uciekłszy, tam ochrony szuka,
 I mówią: że we młynie zły duch zawsze stuka —
 W dzień mniej, lecz w nocy, księżyc kiedy wejdzie młody,
 Koła się obracają jakoś przeciw wody,

Żarna robią i pytle, a czeladź się szasta,
 Potem skoki i chichy — kur zapieje — basta!
 Raz nawet, jeżli wierzyć gawędom wieczornym,
 Udało się tam zakraść parobkom motornym,
 Co dostrzegli — ten figiel dał się im we znaki —
 Jako z baby bies namelił cały wór tabaki.
 Ale co nam te baśnie! — choć zwykle u gminu
 Musi się w bajkę oprząść treść każdego czynu,
 Jak w jedwab' gąsienica — aż z poczwarki w końcu
 Dumką — skazką — wyleci motylek ku słońcu.
 Owóż baśnie — motylki — niech ustąpią oku,
 Co wyłuszczone z powiek, czegoś szuka w mroku
 Łóz pobrzeżnych na Rosi — że choć wiatr nie wieje,
 Coś je wstrząsa i szepty słyszać, by złodzieje
 Zmawiali się dwór złupić, uprowadzić stado. —
 A tu zachodni odbłask przyświeca tak blado,
 Ledwie gdzieniegdzie rąbek chmurki obrumieni;
 Teraz niby łódź bieży — niby kilka cieni
 Robią wiosłami, w poprzek krają szybę Rosi,
 Sterując wprost na ostrów, chociaż prąd unosi —
 Jak ostrożni, od wiosł i kropla nie bryźnie;
 Przemknęli — śród sitowi łódź gadziną śliznie,
 I staje gdzie brzeg goły — — Teraz ich obaczę:
 Jeden wyskoczył w burce, drugi po nim skacze
 Do ręki wyciągniętej — postać to sążnista!
 Na głowie bokiem siedzi czapka zawieszista,
 A rąk cztery mieć zda się — rozprawiał z zapalem,
 Raz nawet brzęknął kordem u boku — słyszałem.
 Na to ów burkowaty zwieszał głowę, znowu
 Jak koń trzęzłą zerwany w tył rzucał, z ostrowu
 Chcąc niby w rzekę skoczyć — a ruch przeciwnika
 Coraz naglejszy, każdy odwrót mu zamyka
 Od brzegu gdzie się cofał — już chwycił za kołnierz
 I w głos huknął po rosie: — To mi z waści żołnierz!
 Czy tylko baby straszyć? — cóż stało się waści?
 We dwóch nam się nie odciąć stu bisów napaści?
 Przecież broni nie nosim dla samej parady! —
 Pluń na biesa, i naprzód! —

Nie ma, nie ma rady!

Jęknął kozak w wezbraniu myśli utłumianej,
 Podobnej łodzi, prądem na poroch zagnanej,
 Co stoma falami na dno Dnieprowe ciśniona,
 Przecież na wierzch wypływa — i z jego tak łona
 Wypruła się łódź myśli i płynie po czole —
 Co tam bies! tu bies siedzi — tu pali — tu kole —
 Mówił — w pierś tłukąc ręką, jakby ją chciał strzaskać;
 To znowu z urąganiem: — Miałeś kogo głaskać
 Ojcie! tyś wilka chował — ot wrócił do lasu,
 I z tego coś najdroższe, pierwszy udarł pasu! —
 Mnież to przed nim dziś stanąć? — człek od wstydu zgorę;
 Wszak wie wszystko, jak wiedział — pomnę w ową porę,
 Nimeśmy co zaczęli — nim święcono noże,
 Nim ukazy czytano w motrzańskim klasztorze —
 Słowa te dotąd słyszę: Synu! Sokoliku!
 Biednaż twoja godzina! za siedm dni prazniku
 Lat siedem srogiej kaźni, na stryczku, na palu —
 Puśćcie panie starosto — puśćcie — umrę z żalu! —
 I twarz ukrył w dwie dłonie i jak bóbr zapłakał.
 Starosta wąsa kręcił, a okiem wciąż skakał
 Od stepów ku niebiosom — zdało się że ziemne,
 Że ludzkie myśli w słowa chciał ubrać tajemne
 Religijnej pociechy, i ten napój miodny
 Wlać do serca watażki.

— Jaki dziś łagodny

Wieczór — mówił wciągając oddech — jakże krzepi!
 Patrzno waś — słowem ręczę że będzie ci lepiej!
 Bydełko brodzi w paszy, żytko ślicznie rośnie,
 A sady całe w kwiecie, i ptaszki radośnie
 Szczebiocą po szczelinach, nawet muszki małe
 Brzęczą — swojemu Panu wszystko na cześć, chwałę,
 Że się zima skończyła — już ją zapomnieli!
 Człowiek tylko wesela i smutki źle dzieli.
 Raz do zbytku używa, znów czarno zawidzi,
 I mogąc żyć na nowo, przeszłością się biedzi —

Otóż waść stare grzechy zmyj pokutą, skrucną,
 A najlepiej poprawą — u czerni masz ucho,
 Masz wziętość — a co począć, stary nam objawi —
 Naprawisz!

Na to kozak: — Już się nie naprawi!
 Skoszony kwiat młojców — w stepach głuchuteńko!
 Choćby znów krzykiem czajki zawiódł Chmielniczeńko;
 Choćby grzmotem porohów huknął jak przed laty:
 Jest szabla i Bóg żyje i kozacka maty!
 Głos jegoby nie poszedł dalej od tej wełny
 Co tu pęka u brzegu —

— Ej, co nam w bawełny
 Obwijając, rzekł starosta, wszystko licha warte,
 Szlachta — Bóg widzi — resztę stawiała na kartę;
 Z Barskiej mąki już pono nie będzie kołaczy;
 Z onych konfederatów cóż mamy? tułaczy,
 Schnących z głodu w Multanach, kiedy inni ligi
 Szukają gdzieś po dworach, i dostają — figi.
 A Moskal, jako broił tak broi — do wspólki
 Z panami koronnymi — śle brodate pułki
 Rabować nasze dwory, was okuwać w dyby,
 Chłopów, panów pod knuty, na Sybir! — Lecz gdyby —
 Tu, starosta krok zrobił i ręką za szyję
 Ujął kozaka: okiem w głąb duszy się wpije,
 I ku starej swej piersi hołubi młojca —
 Och gdyby! — zaczął z cicha — jak dzieci do ojca
 Przyszliście do nas! — gdyby, tak zabyć co było,
 Wziąć się razem, pan z chłopem —

— Co wam przystąpiło
 Panie Korsuński? — Co wam? — patrzy, nie dowierza,
 Nareszcie kręcąc głową — u was jak u jeża
 Skóra, panowie szlachta, niech się prostak który
 Otrze o nią, dalibóg, własnej zbędzie skóry.

Nie! nie! chleb chłopskiej pracy to słodka ponęta;
Panować to tak dobrze wam — wy krolewienta!
Wyżbyście chcieli?! —

— Chcemy! zobaczysz że chcemy!

Rzekł starosta od duszy — zobaczysz choć nie my
To nasze dzieci, wnuki — dla Polski, Ojczyzny
Wszystko — przywilej, dumę, bogactwa, pańszczyzny,
Rzucim na ołtarz. — Wolność taką mieć będziecie,
O jakiejś podobno nie słyszał na świecie;
Złotą, szlachecką wolność, tylko razem, razem —
I chciał garnąć do siebie — lecz watażka głazem
Wpruł się w ziemię; ni ręką, ni słowem, ni okiem
Nie oddał mu uścisku. Podobnie nad stokiem
Dąb suchy, nieruchomy, stoi i pogląda
Jak tam ruchem i życiem na zwierciadle prąda
Odbił się — Obraz wdzięczny przecież go nie łechce:
Usechł — nawet w złudzeniu zazielenieć nie chce.
Starosta jeszcze mówił — w końcu słów nie stało;
Starosta jeszcze ścisnął — ramię go zbolało,
A więc z ręką, sierotą wracał za pas lity,
I stał niemy, jak mówią, z panteliku zbity;
A szczęście, że go z boku nie widział nikt trzeci,
Bo by skończył od wstydu —

Tymczasem z chmur sieci

Wyplątany, by rybka, miesiąc rozlał blaski
Na rzekę, na dymiące sioła, stepy, laski,
I na białą ścieżynkę w gęstwinie —

Cóż oni?

Któryż pierwszy krok zrobi? kto słowo uroni?
W tę ciszę, kędy słyhać chód tych cieni drzewnych,
Szum głosów gdzieś z za świata ziemskiego zawiewnych,
Trudno! chyba ktoś obcy wpadnie do rozmowy —
Puhu! puhu! ot z pustki krzyk zawiodły sowy —
Nietoperz im przed oczy przewinął się z piskiem;
Młyn cały zaturkotał, a w chaszczu pobliskim

Chichot dziki, szalony — — Kozak jakoś strusił,
 I pod burkę się chował; szlachcie naburmusił
 Brwi duże; słuchał, patrzył, aż strzępnął palcami:
 — Stary frant, stroi czary! — My swoi, my sami!
 Wernyhoru, cóż znowu? daj pokój tej psocie,
 Napędziłeś nam Piotra, aż w zajęczym pocie
 Kąpie się mój towarzysz — czyś nie rad dla gości? —

Na to z krzaka coś huknie: — Prosim jegomości,
 Tędy, tędy — do młyna; bies wyprawia tłokę.
 Witam, witam! nie darmo widzieliśmy srokę,
 Jak dziś rano skrzeczała. — Chcecie sałamachy?
 Młynarka tam częstuje kruki, swoje gachy;
 Jest wędzonka z szlachcica i popa i żyda —
 Chi, chi, chi, chi! — i w chaszczech znów przepadła bieda;
 Tylko liść zaszeleścił.

Dwaj nasi podróżni

Szli śmiało za chichotem, lecz zawsze ostróżni,
 W prawo, w lewo patrzyli — kozak trzykroć splunął,
 A starosta samopierw jak polskiego sunął;
 Wszakże często, to gałęź leszczyny odgarnie,
 To połę odplątuje pochwyconą w tarnie,
 To szepce Zdrowaś Marya, za szkaplerz się trzyma,
 A kozakowi mówi: Furda, nic tu nie ma!
 Tak przebywszy zarośla, wyjdą na lewadę
 Niewielką, wykoszoną, gdzie światełko blade
 Tuż pod gajem migało z szybki czy szczeliny,
 I w liście drzew zielonych miewał się dym siny.
 Więc wprost szli za światełkiem, co gasło, migało,
 Nawet w oczach kozaka wciąż się oddalało,
 Jak ognik na smętazu. Tak kiedy się dziwią,
 I mówią: czy tu ludzie żywią, czy nie żywią,
 Naraz, gdzieś niby na dach zaleźli po ciemku,
 A pod nimi głos gruby huczał: «Semku! Semku!
 Tłuczesz się jako Marek po piekle — dość psoty!
 To swoi — czuję swoich — wstrzymaj kół obrotu —

Pokaż drogę i poświęć» — i za każdym słowem
Pierś głucho odstęknęła westchnieniem grobowem.

— Żle z starym! rzekł starosta, w sam raz przybywamy,
Ale u kata, jak tu dostać się do jamy?
Poświęćcie no, otwórzcie! to my Wernyhoro! —
Wołali, aż tu czudo pogieće we czworo,
Z łbem dużym jak u konia, wypełzło z nienacka
I błysnęło łuczywem —

— Prze świętego Jacka!
Parsknął starosta śmiechem — hajduk to za katy!
Drwi z nas — widzę żeś łebski; czyś czasem od szaty
Za paniami dworskimi nie naszał ogona?

Chi, chi, chi, chi! oj naszał, gdy za mąż szła wrona
Za wróbla — oj we młynie było weselisko! —
Znów chi, chi — w całe gardło, i skłonił się nisko
Wyszczrzywszy kły duże, dwie ślepie przymrużył,
I gdy starosta wchodzi, ramieniem mu służył.
Jakoż chałupa w ziemię do pasa wkopana
Miała próg zbyt za niski dla takiego pana.

Cztery ściany świetlicy płomieniem opłyną,
Szczupłe, lecz wymaszczone połoniecką gliną.
Widać rządny gospodarz, bo i stół nakryty:
Na nim chleb, sól dla gości; bo i wysmienity
Plastr miodu lipcowego ślinkę do ust niesie,
A pod rzędem mis czystych długa półka gnie się.
Tylko że na ognisku zimnem, ni węgielka —
Tak bywa, gdy śmierć przejdzie, lub niedola wielka.
I tu przeszła, lub przejdzie: — W ciemnym izby rogu
Z kulbaką pod głowami, na siennym barłogu,
Między kudłami burki krymskiej, broda biała,
I głowa — siwy sokół — gościom się kłaniała.
Potem, by nie dość jeszcze tego powitania,
Rąk dwoje, pierś zarosła, zwiodły się z posłania,

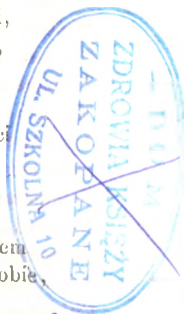
Tak porywczó, że obok wiszące nad chorym
 Ratyszcze, szabla, kołpak z wierchem różnowzorym,
 I janczarka — o mało ze ściany nie spadły.
 — Witajcie! mówił — myśli moje was odgadły.
 Panie Korsuński, Bóg ci odda to sowicie —
 I tobie — choć na macierz porwało się dziecię.
 Wiem wszystko — różne kary Pan spuszcza na ludzi;
 Zbawiony, kto przynajmniej nad grobem się budzi!
 Czas by się opamiętać! — jam rozpamiętywał,
 A nie wiem, jaki duch mi do ucha wciąż śpiewał
 Wielkie dziwy! — Oj dobrze żeście pokwapili;
 Życie ludzkie na włosku — nie wiele mam chwili,
 Pokąd widno — tu w czole — potem się zakręci,
 I — chodź Kuba do wójta — —

A dwaj goście, zgięci
 Nad starcem, żałośliwie patrzyli mu w lice.
 Pocieszają jak mogą — choć często żrenice
 Jeden ocierał chustką, a drugi rękawem.
 Przeszło pierwsze wzruszenie — i starzec niebawem
 Nabrawszy tchu w pierś wątlą, kazał siąść przy sobie,
 I zaczął mówić zwolna do nich w tym sposobie:

— Dobrze żeście przybyli! póki dusza w ciele,
 Mogę wam coś przekazać — choćby słów niewiele,
 A i one są czemsis — — Wierźcie mi, są słowa,
 Często ważniejsze czynów, gdy je gmin przechowa
 W świętościach wiary —

— Nie wiem, Bóg-li mię naznaczył
 Swym palcem, bym wam przyszłe rzeczy potłomaczył,
 Czym też sobie uroił jaki sen na jawie?
 Żyjąc na tem pustkowiu sam jeden — mnich prawie,
 Nie wiem — —

— Sto lat za pasem — dużo się widziało
 Nie takich wojen — z ludźmi żyło się niemało:



Jeszcze z jakimi! — Hetman nieboszczyk Mazepa
 Znał mię, rad moich słuchał i żeby nie ślepa
 Fortuna, co zdradziła, byłby Moskwę zdławił —
 Nawet Rzeczpospolitę zepsutą naprawił,
 Wlewając w krew zatęchłą ogień krwi kozackiej —
 Na polu pod Puławą los zrządził inaczej!

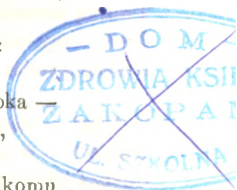
Długim się czas wałęsał, potem w Tureczczyźnie
 Przy naszych — jakby szczęście gdy się raz wyśliźnie
 Można odbić — i próżno! Ze szwedzkim warchołem
 Nie było żadnej rady — nogi za pas wziąłem,
 W świat za oczy, do ziemi francuzkiej, za morze,
 Czy tam się co nie robi? — Byłem i na dworze,
 Z blizka królów widziałem — włosy mi powstają,
 Mysząc: w jakie się ręce narody oddają;
 Jak liżę stopy pierwszej pańskiej wszetecznicy —
 Istna trzoda baranów, dobra do rzeźnicy!
 Uciekłem, przeklinając to gniazdo zepsucia,
 Niegdyś najzagorzalszy żebrak ich współczucia;
 Podejrzywałem pomoc, choćby ją dać chcieli,
 Jak w bajce, kiedy djabeł wyciągnął z topieli
 Chłopkowi wóz i konie, potem go podchodzi,
 By mu dał co się w domu nowego narodzi.
 Chłop kontent wraca do dom, żona wita — synkiem —
 I ciesz się tu prostaku djabelskim uczynkiem!
 Dlatego zawsze radził ze swymi się trzymać —
 Z Lachami — bo to swoi; cudzych się nie imać.
 Wszak i teraz ganiłem konszachty z carycą —
 Ślepi! może wam kiedyś oczy się przeświecą,
 I poznać. —

Nie jedną prawdę, o panowie
 Koronni! piłem do was — nie poszło na zdrowie,
 Sami powróz kręcicie. Niby to swobodę
 Kochacie; lecz tak właśnie jako dziewczkę młodą,
 Upatrzoną na łąnie, na siłę wleczoną,
 By swem zdrowiem rozgrzała skrzepłe pańskie łono —

W końcu psami wyszczutą, gdy jej kwiat opadnie —
 Toż lada jaki przybysz nad wami zawładnie,
 I nie stanie nikomu wrogom się zasłonić!
 Darmo, jak za pańszczyznę lud będziecie gonić
 W pola, zbroić kosami — pójdzie, krew przeleje,
 Ale dlatego wianek już nie zielenieje —
 Bo swobodę wam kochać dla wszystkich pospołu;
 Bo swobody moc idzie nie z góry, a z dołu!
 Tam siła. — A cóż u was? cukry i łakotki
 Karmicie wasze dzieci? — Nie tak stare przodki
 Robili, gdy je w zbroi w obozach chowali —
 K'temuż miewali męży nie z pierza, a z stali,
 Twardych na wszystko, lecz z sercem mięsistszem,
 Mniej ciężących nad ludem, więcej z naszym mistrzem
 Chrystusem, kochających. — Wybaczcie starosto
 Za te prawdy — jam życie całe chodził prosto,
 U grobu nie chcę krzywo —

Starosta chciał na to

Coś odrzec — ale starzec znów rękę kosmatą
 Wyciągnął, dwakroć kiwnął: — Niewcześnie się bronić
 Kiedy ziemi trzęsienie zacznie w dzwony dzwonić;
 Kiedy lud się poczuje w swojej mocy, kiedy
 Zrobi z wami rachunek za odwieczne biedy:
 Kładąc na jednej szali pot każdego snopka,
 Łzę wdowy, hańbę dziewczki, ból bitego chłopka —
 A doda krew rekrucką za wolność przelaną,
 Którą ich tumanicie jak bańką mydlaną —
 Cóż wtedy będzie? Wiem ja — nie życzę nikomu
 Dożyć takiej godziny; bo niczem trzask gromu,
 Którym Bóg całe miasta grzeszników w proch ściera,
 Przy tem, gdy w ręku czerni zawładnie siekiera,
 I wyrok, każde czoło co się nad gmin wznosi
 Jako głąszące zielsko w zbożu, naprzód skosi.
 O, to nie śmiech panowie! Widzisz nóż w jaszczurze?
 Siedzi cicho — i jasny zda się — lecz w lazurze
 Przypatrz się: ujrzyysz małe rdzy plamki, by z rosy —
 A wiesz ty? to krew lasza z czasów Rusej Kosy!



Syn stepu — gdy mu dojmie bicz srogięgo panka,
 Patrzy w nią, przemyśliwa o zemście Bohdanka,
 I ślepy — Moskwie, djabłu dać duszę na kwity
 Gotów — niżby go wiecznie ssały pasożyty. —
 Widziałeś Koliszczyznę? — o widok nie lada!
 Ani tuza gradowa na łąn tak nie spada
 Jak oni — gdzie raz spadli: zaorz, zasiej solą;
 To gniew boży! szarańcza! Wierzaj, z taką wolą
 Swobód, zemsty, świat wszystek mogliby przetrworzyć,
 Lub zburzyć. Ożyć tylko, pozwólcie im ożyć,
 A i wy ożyjecie. — Te konfederaty —
 Żal się Boże! — widziałem — kielichy — wiwaty —
 Ściskania — rąbanina — jakieś ceregiele.
 Układy — manifesta — a zawsze w kościele
 Z kropidłem i kadzidłem — a zgody ni tyle —
 Młódź kozacza przynajmniej dziś wszystka w mogile!
 Wiatr nad nią płacze — grzebią nóżkami koniki —
 Z dumką o chrobrych chodzą z siół do siół lirniki! —

— Oj Wernyhoro! — smutnie rzeczę pan Korsuński,
 Rękoma twarz zakrywşy — nie piernik toruński
 Słowa twoje — jak gwoździem wbijają się we mnie;
 Twardą bierzem naukę — daj Bóg, niedaremnie!
 Jeszcześmy cali — mężę są światli — jest siła —
 Rzeczpospolita może znowu by odżyła —

Odżyła! — śmiech belesny przebiegł mu po wargach —
 Odżyła! — w waszej pysze, frymarkach, zatargach?
 Gdybyś jak ja, tam widział! Pierś twoja za krucha,
 Rozprysłaby jak glina pod ciosem obucha,
 Pod górą wielkich nieszczęść nad Polską wiszących,
 Gdybyś je mógł ogarnąć w tych rysach palących,
 Którymi na tle nocy Odwieczny mi gada —
 Uzbrój się —

Wieszczbiarz uciał — a twarz jego blada
 Rozgorzała by obłok, gdy zachód czerwony
 Zapali go promieniem. — Niby ukrzepiony

Zerwał się — wzrok wyteżył — głęboki — wysoki —
 Za granice tej ziemi. Taki wzrok proroki
 Mają tylko. Dwaj goście ukłękli — nie śmieją
 Tchu wydać. Rzeczy zwykłe przed nimi maleją,
 Jakby się uczepili dwojga skrzydeł kani
 I lecieli za wieszczem w głąb górnej otchłani —

Wernyhora tymczasem wiódł rozmowę dziwną
 Z duchem, czy marą, wieszczą rozkazom przeciwną,
 Bo zaklinał:

— Cyt Dnieprze! nie szum — mnie czas w drogę;
 Rusalki, nie ciągnijcie do płasów — nie mogę;
 Mołojce! spać do mogił — to chmury, nie morze —
 Taborem konno, w czajkach za mną, Zaporoże.
 Hetmański buńczuk wieje — huczą samopaly —
 Huknęli: Po Bug nasze! — Orle! orle białe!
 Roztocz ogromne żagle, odgraj pieśnią laszą:
 Co moje to i wasze — a zemstę przygaszą —
 Patrzaj! jak już spokojnie, by gwiazdy przed wschodem,
 W mogiły się spuszczaają długim korowodem.
 Na mej drodze tak jasno! śmigam mlecznym łukiem,
 Jak tabun ukraiński z zerwanym munsztukiem —
 Otóż i bramy rajy — kędy się wywodzą
 Rzeczy przyszłe — i ludzie nim jeszcze się rodzą
 Odgrywają na próbę to samo — co w czasie
 Gdy się wcielią na ziemi, po drugi raz gra się.
 Któż obejmie ómę oną, zamkniętą w tej bezdni!
 Tu króle — wodze — mężo, tu piesi — tam jezdni —
 Ścierają się — mordują — o co? o cień drewna,
 Cień pieprzu, lub tabaki — i jak trzoda chlewna
 Jeden drugiemu z gardła wydiera cień złota —
 A mędek, niby pajak, wszystkich w sieci mota.
 Wojna królów — nie patrzmy! Tam, widzę ruch wielki,
 Dach się wali — kolumny padają i belki —
 A po zwaliskach brodzi czy tygrys z uwięzi?
 W lewo, prawo tnie zębem — już dopadł gałęzi

Najwyższej, i z niej strząsa jako jabłka, głowy
 Koronne i mitraste, pod stopień tronowy,
 Z którego purpurowym płaszczem na dół ścieka
 Krew króla — — Cma narodów chciwie ją połyka,
 Gasząc w sobie pragnienie do zbrodni Kaima —
 Aż wszystko się zbratało: dłoń z dłonią się ima,
 I, jak świat wielki od skwarów do lodów,
 Zaczyna się wiek nowy braterstwa narodów —

— Gdzież Polska? o! gdzież ona?! Przelećmy mrowisko,
 Co wznosząc górę plewy, tam czołga się nisko;
 Czy żaki nad księgami kisną, piją, jedzą?
 Wiedzą gdzie się co dzieje — o sobie nie wiedzą —
 Przeskoczmy —

Ha! po szablach, po wąsach, po krzyku
 Poznałem — nasza szlachta radzi na sejmiku — —
 Zapewne pospolite ruszenie? Wszak wrogi
 Napadli ziemie. Może chcą wezwać lud mnogi
 Do wolności? — do praw swych? — Patrz poszło pod kreski,
 I przystali na rozbiór i na knut moskiewski! —
 Nikczemni! — o nie wszyscy. — Jakaż postać męża
 Staje u drzwi sejmowych, całą pierś wyteżę
 Na okrzyk: Nie pozwalam! — zaklina na rany
 Chrystusa — on, jak Chrystus sam rozkrzyżowany
 Na progu, jeszcze ciałem: Stójcie! stójcie! woła.
 Lecz zbrodnia dokonana — gruba noc do koła —!

Lata mijają — w kątku światelko tam miga —
 Chorągiew wywieszona, lud od roli zbiega
 Z kosami, lemieszami — przed ludem wywija
 Na koniu wódz, czy chłopiec — na nim karazyja
 Krakowska. Już stanęli na szerokim łanie;
 Moskiewskie puszki hukną, kosy idą na nie
 Wprost jak ściany — zdobyli! lonty krwią zaleli
 I orzeł skrzydła podniósł, białe jak z kąpieli —
 A tam w mieście — o dziwy! szewczyk patryota
 W lochach odbiera rotę przysięgi, i miota

Przekleństwa zdrajcom kraju. — Cechy mu posłuszne,
 W dzień pańskiej rezurekeyi wyprawia zaduszne —
 Dają hasło: grzmiały strzały, dzwony na gwałt biją,
 I z juchtu moskiewskiego szewcy buty szyją — —
 Błade panki z za pieców wylażą i kręcą,
 Pracę ludu sprzedają w chytrą dłoń książęcą;
 I choć stryczkiem szubienic gmin zbrodnie ich mierzy,
 Płaczcie! trup Matki Polski obnażony leży. —

— Długo, długo nieszczęścia i wojny się wloką.
 Lud zawsze rolę sprawia łzami i posoką;
 Znikąd mu wybawienia. Ach! tej nocy — może
 Z tej garstki lwów-mołojców zejdzie jasne zorze
 Swobody i dla niego — — Znowu kosy, włócznie
 Ciągną w pola. — Czej teraz ramię ich nie spocznie,
 Aż to godło wywalczy na chorągwiach lśniące:
 Za waszą i za naszą wolność! — Ha! tysiące
 Z siół litewskich, podolskich pod sztandar się stawia,
 Patrząc weń, jak w ciągnący długi klucz żórawi,
 Co im wiosnę zwiastuje. — Lecz głupie to stado,
 Jak dawniej, znowu ginie słabością i zwadą —
 Garść tylko ulatuje pod nieba gorętsze,
 W łzach, pracy, powołanie odgadując świętsze —
 Przez męczeństwa, wytrwanie, wiarę w życie ludu,
 Cudem chce wskrzesić Polskę. — Och! bo trzeba cudu,
 I jakiego —!

Nad tuman knutów i służalstwa,
 Strat śmiertelnych i zwątpień, szyderstwa, ospalstwa,
 Serc głuchych na prorocтва, ocz ślepych na czyny,
 Widzę — coś się przebija do płaczu doliny —
 Ni to sokół, gołąbek — z gałązką zieloną!
 Mówi: wierście! o wierście! — co wierzą, nie toną!
 O nie sokół — nie gołąb! Młodzian jasnowłosy
 Spuszcza się, a z nim deszczyk urodzajnej rosy:
 Piaski, stepy i góry rozmaja jak wiosną,
 I piaski, stepy, góry, rosna, rosna, rosna —

Iście jak ona wierzba, z której to chłopięta
Wykręcili piszczalkę: dusza w niej zakłęta
Wyśpiewała im całą grobu tajemnicę —

Młodzian teraz w kajdanach — patrzy w okolicę
Błękitną, nad tłum czarny co zawodzi płaczem,
Mówiąc: płaczcie nad sobą! jam już nie tułaczem —
Wolna ojczyzna ku mnie z niebem się przechyla!
Padło dwanaście strzałów — i skrzydłem motyla
Święta dusza wzlatuje w odwieczne pałace. —

— Ileż jeszcze wybiega na męczeńskie prace!
Iluż kona w wilgotnych podziemiach — Sybirze —
Na szubienicach! —

— Chłopcze! chłopcze! brzęk na lirze
Wydam, a rzewny, długi, w cały świat rozgłośny;
Niechaj z duszy mej zwalę ten ciężar nieznosny
Przyszłości naszej! — Brzęknij — w dumkę opowita
Napowietrzna myśl moja, ziemi się nie chwyta,
Jak sokół, lecąc w słońce, pogardza padołem —
Graj chłopię — ja w lud patrzę — jam teraz sokołem! —

Wernyhora, czy cud-li? by nigdy w chorobie
Nie był, z łoża zeskoczył, podniósł dłonie obie,
I kładąc je na głowach starosty, kozaka,
Garnął k'sobie pod skrzydła. — Oni się do ptaka,
Do piersi tulą, w oku czytają natchnionem
W jaki przestwór ich porwie?

— Niżej! niżej tonem!
Znów rzecze stary. — Chłopię, to ni owo gędzie —
Niżej — tak — posuwisto puść palce łabędzie;
Dumka wichrem niech leci po stepach, burzanach —
Mogiłach, Dniepru, morzu —

Chłopię na kolanach

Sparło lirę, skroń do niej żałośnie przyciska;
W szpetnej, szalonej twarzy coś boskiego błyska —
Rzekłbyś, przez trupią czaszkę gwiazdeczka malutka.
Starzec znów skinął — i przegrawka krótka,
A tęskna, jak turkawki gruchanie po lesie,
Taką dumkę-samczyka w usta mu naniesie:

DUMKA.

Tuman-li to w górach, jarach, jak morze się chwieje?
Czy gwiazdami, by ziarnkami Bóg na polu sieje?
Czy się niebo zawaliło,
I skowronki nam pobiło? —

Oj nie mgła to, oj nie gwiazdy, ni obłok się zwałił —
Lud to biały, powstał cały — sobótkę zapalił.
W trzy żubrowe rogi dzwoni:
Do spis, do spis i do koni!

Na wołyńskich, widzę, polach trzy rzeki się łączy:
Dniester spada, Bug się skrada, i Dnieper rwie rączy —
Z trojnej strony potop wali —
Z czwartej obóz mknie Moskali.

Hańczarychy jar głęboki wyrównany trupem!
Lacki ptaku, pilnuj znaku, a nie baw się łupem!
Jeszcze stoi carskie znamię,
Jeszcze długie carskie ramię.

Dniem i nocą taniec idzie, tabor mknie do granic —
Posły chodzą, zwodzą, godzą; Lach nie zważa na nic:
Z ciał pobitych drogę mości;
Szlak czerwony dla złych gości.

U mogiły Perypiaty i Perypiatyki,
Jak skoszona, błon zielona, padną najezdniki.
Lud koronę zdartą zdejmie —
Lud — król w polu i na sejmie.

Rozbujane białozory zalecą daleko:

W kraj soboli, w kraj niewoli, i tak Moskwie rzeką:

Co nam bić się — nie chcem cara!

Nas pobrata w wolność wiara.

Odtąd dziwy niebu, ziemi, pokażą anieli —

W znak zbawienia, odkupienia, słowo: lud się wcieli —

Ziemia niebem — — Cudy! cudy!

Pół-bogami staną ludy.

Cudy! cudy! tam kapłani maluczcy i święci —

Bóg w sumieniu — w poświęceniu —

— Ha! w mózgu się kręci!

O! bo też dziwy! — Nie chcę — głos mi już zastyga,

Choćbym chciał zmódz, nie zmogę. Dniepr z łoża wybiega —

Szklaną wydał się banią — ot! pęka nademną:

Zalewa, topi, dławi — — Ciemno! ciemno! ciemno! —

Starzec mdlejący zwolna w ramiona się chylił

Starosty i watażki; coś nucił, coś kwilił

A uśmiechał się — w końcu wzrok postawił słupem

I skonał —

Oni oba ukłękli nad trupem;

Pacierz krótki, wojenny mówią — — Po pacierzu

Oba wielkimi kroki przejdą po alkierzu,

Każdy w stronę przeciwną wzrok i kroki ciska,

Niby jeden drugiego bał zaczepić zbliżka;

Opisawszy kół kilka, nie wiem jak się stało

Że przy trupie ócz czworo i rąk się spotkało,

We wzajemnym uścisku nowego sojuszu:

Łza była na siermiedze, druga na kontuszu,

Równie czysta i święta, jak płacz dwojga dzieci,

Gdy je macierz pogodzi —

— Pan nad duszą świeci —

Rzekli razem — on, duszą niech świeci nad nami! —

I wyszli — — Na lewadzie dół kopią szablami,

Kędy starca spuszczałą w zbroi i kołpaku —

Przy księżycu, przy długim białych brzóz orszaku,

Co jak płaczki zawodzą w spuszczone rańtuchy —
Teraz — w całym ostrowie taki pokój głuchy!
Tylko z gębą otwartą i źrenicą szklaną
Chłopię, jak kumir jaki siedziało pod ścianą.
Ni to ono boleje nad gęślą zepsutą,
Co u nóg jego leży, i przeciąglą nutą
Opłakuje zgon własny po ostatniej dumie —
Nie płacz! — nutę twej dumy Ukraina umie! —

EPILOG

DO NASZYCH WIESZCZÓW.

Przedhomerowy znacie wiek bajeczny,
Gdy młodą ziemię trapiły sny dziwne;
Gdy na Olimpie drżał Jowisz odwieczny,
A w Delfach gaje milczały oliwne?
Wtenczas wieszczowie rządili lutniami,
Cerber usypiał, piekło łup wracało,
Egejskie morze jak szkło się zrównało,
Teby wstawały murami.

A dziś-że mówcie, co lutnią trzymacie
Naszych dusz rządy — nie siła-ż zwierzęca
Cięży nad duchem w całym majestacie,
Jak wąż do koła ziemi się okręca?
Prometeuszów, chcących wykraść niebu
Ogień, czyż tyran do skał nie przykuwa?
Sto ocz Argusa, czyż w straży nie czuwa
Milionowego pogrzebu?

O wieszczu! komuż, jak nie wam nadana
Moc, złoczonego cielca ogniem stopić?
Komuż, jak nie wam, gdy ludzkość zbłąkana
Śród mgieł, zawiei — prawy ślad wytropić?
Nie darmo, kiedy od tronu Jowisza
Poeta odszedł bez działu, ubogi —
Bóg mu otworzył wstęp na swoje progi,
Orła dał za towarzysza.

Toż zbrojni wiarą, miłością, nadzieją,
 Toczycie w szrankach przy gęśli, przy śpiewie;
 Zakute stałą olbrzymy truchleją;
 Na cień proroka Saul ciska się w gniewie.
 Czyż nie widzicie jak codzien i co dnia,
 Z pod nóg im państwo ducha się wyzwala?
 Jeszcze pieśń jedna — a ludów pochodnia
 Stosy sobótki zapala!

O! tylko śmiało! nie na gorzkie płacze,
 Nie na kancony, w puściźnie wam dali
 Gęśl przedbojańską, owi trzej oracze,
 Co pieśni mieli, a nie mieli stali.
 Na ziemi Lecha stal z pieśni się rodzi;
 Boga - Rodzicą Polska nam stanęła,
 Mazurkiem — jeszcze Polska nie zginęła —
 Hymnem do Boga już wschodzi!

Wam ja to niosę wróżbę Polski losów:
 Królom, rycerstwu — wszystko się spełniło;
 Wieszczba kozacza najwyższych niebiosów
 Sięga — i będzie, co jeszcze nie było —
 Świat stary mgłami zachodzi — ot — kona!
 Kapłani w nowym, hymn przymierza dzwonić —
 Cuda ujrzymy — odsłonić! odsłonić!
 To nie Izydy zasłona. —

W styczniu 1841 r.



OBJAŚNIENIA.

DO PIERWSZEJ WIESZCZBY.

Przepowiednię Stanisława Berciusa opata jędrzejowskiego, żyjącego za Zygmunta Augusta, zdarzyło mi się czytać w jednym dziele niemieckiem, pod tytułem: *Vaticinia*, wydanem ile przypominam sobie, w połowie zeszłego wieku. Istotna treść onej następująca:

Flos valis — symbol Henryka Walezyusza noszącego w herbie lilie białe.

Nominis Corona (Stefan Batory). — W greckim Stefan znaczy koronę; natomiast położyłem ząb, właściwy herb Batorych; ztąd i przysłowie jakie było o nim: że brał szlachtę na zęby.

Exul fortunatus. — Zygmunt III, wygnany z własnej Szwecyi, znalazł tron w Polsce; miasto tego, użyłem herbu Wazów: *Snopek*.

Gloria succedens (Władysław IV.). — Przystosowanie do imienia Władysław — władający sławą.

Manipulus sterilis. — Jan Kazimierz zeszedł bezpotomnie, i w nieszczęściach zostawił Ojczyznę.

Sidus noctis brevis (Michał Korybut). — W herbie Wiśniowieckich były gwiazdy, i jego gwiazda krótko świeciła na tronie.

Manus congregatorum (Jan III.). — Zdaje się odnosić do jego naczelnictwa nad wojskami chrześcijańskimi, w odsieczy

Wiednia. Wołałem za godło wziąć herb Sobieskich, tarczę Janiny, którą, podług podania, Michał archanioł miał znieść z nieba pierwszemu Janinowi, protoplaście rodu Sobieskich.

Diversi coloris (August II.). — Czy dla tego że zmienił wyznanie, odstępując luteranizmu? Użyłem w mej powieści herbu saskiego: dwa miecze na krzyż złożone.

Solus biceps (August III.). — W długiem jego panowaniu dwugłowy orzeł moskiewski rozpostarł swój wpływ na Polskę.

Sonitus Apum (Stanisław August). — Naród ocknął się z letargu pszczoł brzęczeniem, pracując około naprawy Rzeczypospolitej.

Ostatniego króla maluje symbolem: *Custos vigilantium*. Dałyby się przystosować do tego rządu moskiewskie w królestwie kongresowem. Ów *Custos* całkiem przypada do carewicza Konstantego, istnego odźwiernego więzień napełniających całą Polskę przy obudzonym duchu patryotyzmu.

DO DRUGIEJ WIESZCZBY.

Ojciec Marek z zakonu Karmelitów berdyczowskich, później przeor w Barze, jest osobą najpoetyczniejszą z całej konfederacyi Barskiej. Patryota, jakich mało; w rzeczach obchodzących sprawę kościoła, gorliwy do fanatyzmu; wiary najwznioślejszej i najczystszej, posuniętej do przepowiadania przyszłości, uzdrawiania chorych, wskrzeszania umarłych. W życiu codziennem surowość klasztorna ustępowała przed jego wrodzoną dobrocią serca i towarzyskością; był bowiem wesoły, pobłażający, i nigdy nie usuwał się z hucznych szlacheckich zgromadzeń, gdzie między wiwaty umiał zawsze wmięszać mądre słówko przypominające o obowiązkach względem ojczyzny lub religii. Dla tego też noszony na rękach od drobnej szlachty, od panów ruskich obdarzony zaufaniem i używany do działań konfederacyjnych; w ciągu wszystkich prac swoich i wypraw, gotowy

zawsze do poniesienia korony męczeńskiej, pojawia się nam jak drugi Piotr Eremita, z tajstrą na plecach i kosturem w rękę, zagrzewający do tej nowej krucjaty przeciw schyzmatyckiej Moskwie. Mąż z tak silną wolą i wiarą, z tak niespracowaną czynnością, byłby niewątpliwie podniósł w opinii narodu dzieło konfederacyi Barskiej, byłby zfanatyzował całą Polskę; ależ jakie to żywioły składały tę wielką opozycję narodu przeciw gwałtownemu wdzieraniu się Moskwy? Oto na czele stali Krasinscy (biskup i podkomorzy) z głową nabitą dumnymi planami wsadzenia na tron królewicza kurlandzkiego, męża Krasieńskiej. Oto Radziwiłły, Potoccy, Pułascy, sprzysięgli na poniżenie króla i rodziny, bez obszerniejszych widoków ratowania Rzeczypospolitej. Oto drobniejsza szlachta, służąca jednej lub drugiej partyi: i lubo wszystkich ogrzewała równa nienawiść do Rosyi, jednak wewnętrzna niezgoda, brak jednej głowy, nigdy nie dopuściły silnego zaśrodkowania władzy. Zwyciężali Pułascy, Zareba, Sawa, Morawski, ale poróżnie i w niepoczesnych walkach; nigdzie stanowczego kroku; wszędy kupy, nigdzie armii. Dodajmy do tego między możnymi obudzoną chętkę naśladownictwa cudzoziemców, rozpowszechniające się wyobrażenia szkół filozoficznych francuzkich; ztąd ostyganie w wierze, pogarda obyczajów narodowych. Nie dziwno nam będzie, dla czego fanatyczne kazania księdza Marka nietylko nie wywierały wpływu tak stanowczego, jak np. w czasie wojny hiszpańskiej kazania mnichów idących z krzyżem do boju; ale nawet gorszyły tych, co materyalnem okiem rozważali słabość sił konfederackich. Człowiek jak on, udając się z podobną misją między lud jednego z nim wyznania, byłby niezawodnie obudził ogromnego ducha; ale pod godłem złotych wolności szlacheckich, możnaż było wówczas coś takiego pomyśleć? Nie sądząc zatem człowieka podług pojęć rozwiniętych w życiu historycznem narodu, nie mogę jak tylko hołd oddać wysokiemu poświęceniu się, i widzieć w nim uosobionego ducha konfederacyi Barskiej. Wszyscy, którzy pisali o tej epoce nie oddali mu sprawiedliwości; owszem skrzywdzili naród, obdzierając go z tak poetycznej, tak szczytnej figury męczennika za ojczyznę i wiarę.

Rulhière podający to co od emigrujących usłyszał, stawia go w daleko poetyczniejszym świetle niż Wybicki i Kitowicz.

Mówi bowiem: Ojciec Marek miał około lat 45, obyczajów nadzwyczaj surowych i czystych, wyobraźni egzaltowanej, słynął z największej świętobliwości. Wyszedłszy z klasztoru na czele procesyi z chorągwiami i szkaplerzami, przebiegał wieś i miasteczka ogłaszając i zachęcając do powstania. Przy oblężeniu Baru, kiedy oddział wojska miał zrobić wycieczkę, ksiądz Marek z innymi księżmi ubranymi w komże, uzbrojonymi w relikwie i przenajświętszy Sakrament, stanął w pierwszym szeregu. Wycieczka skończyła się z największą stratą dla konfederatów; lecz ojciec Marek użył tej sposobności do wyrzucenia dowódcy, iż ich niezgody nie dopuszczają błogosławieństwa niebios. I w rzeczy samej, nikt nie chciał słuchać, a każdy rozkazywał. Po kilku dniach oblężenia, Bar zdobyty został. 1200 konfederatów okuto w łańcuchy i zagnano w Sybir. Ojciec Marek wpadł w ręce zwycięzców. Postać jego święta i natchniona wzbudzała uszanowanie w żołnierzach. Jenerałowie skazali go na śmierć, żołnierze padli mu do nóg prosząc o błogosławieństwo. Wtedy zaczął im prorokować, iż ze śmiercią jego przyjdzie koniec na carstwo moskiewskie; z obawy by się to nie sprawdziło, zamknięto go do więzienia, gdzie, jak wieść niesie, miał wielkie pokazywać cuda.

Kitowicz mówi oziębłej, więcej jak polityk, niż swojego czasu kronikarz. «Miała też ta konfederacya i proroka, niejakiego Marka Karmelitę, z pobożności prawdziwej czy obłudnej (sam Bóg wie) wziętego wielce u panów ruskich, który tej konfederacyi pomyślny obiecywał skutek, i na dowód swej obietnicy pioruny i grzmoty, jako niegdyś Samuel prorok, sprowadził, albo też gdy z naturalnej przyczyny oburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał, i tym sposobem zaufanie swemu prorostwu zjednał. Lecz nie sprawdził, bo konfederacya zniszczoną została; sam zaś prorok Marek schwytany od Rosyan, batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zniknął.»

Wybicki jeszcze lżej go traktuje w swoich pamiętnikach, mówiąc, iż wcale nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego, był cokolwiek hulaka.

Dzisiejsze pokolenie — sprawiedliwsze, a może głębiej

wnikające w ducha, umieściło ojca Marka w poczet wielkich swoich męczenników.

— Miałem objawienie, i t. d.

Prawdziwy szczegół o proroctwie znalazłem w pewnym starym zbiorze aktów konfederackich, i takowe umieszczam w wiernym odpisie:

Profesya pobożnego Marka Karmelity, który gotując się na kazanie, zamiast notaty pisma świętego, te wiersze prophético spiritu napisał, o które gdy był od przełożonego strofowany, że się w takie rzeczy wdaje, które mogą klasztorowi szkodzić, z pokorą wymawiał się, że nie wie co pisał; który ex consilio starszych, przysiędz na to musiał że nie wiedział co pisał; i tak po egzaminowanym juramencie, te wiersze i publicum wydać kazano, których kopia tenoris sequentis:

Dotąd jest Polska berło nickwitnące,
 Dotąd nie będzie wstępnie działające,
 Ale jak tylko na wstępnem zostanie:
 Drgną strachem lutrzy, Moskwa i poganie!
 Pierwsi dwaj swojej krnąbrności przypłacą,
 A drudzy prawo wraz z państwem utracą.
 Kościół na skałe stanie się wspinały:
 Dwóch-główny, kolor zamieny swój w biały.
 Natenczas pielgrzym wielkie swoje śluby
 Złoży przy grobie, Bogu trybut luby.
 Niewolnik wolny będzie bez okupu,
 Strzelec pozbędzie łakomego łupu —
 Róża natury chłód w ciepło zamieni,
 Kogut z chytróści jak wąż się wyleni,
 Tak nasze runo znów w swoje wieki.
 Wieszcz opowiada czas już niedaleki.
 Ale ty Polsko! po czasie niewiele
 W smutnym się musisz wprzód pogrześć popiele!
 Chytrzy sąsiedzi twoi ciebie zdradzą
 I z wielkim ciebie mocarzem powadzą;
 Z tak strasznych wojen będzie tortur wiele,
 Miecz krwi niewinnej obficie wyleje;
 Wiele niewinnych marnie zginie braci.
 Wstyd poświęcony Bogu panna straci,
 Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęze —
 W toż lichu z mnichem zakonnicę sprzęże.
 Cna góra złotem otoczona kołem,
 Niech ufa w Bogu, nisko bije czołem,
 Bowiem najbliższą będzie strasznej burzy:
 Dym ją z innemi zarówno okurzy.
 Kościoły z ozdób obdarte zostaną.
 Dni zgoła wszystkie płaczliwe się staną:

Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali,
 Na nich się samych to nieszczęście zwali.
 Więc czyń twojemu wieczne dzięki Bogu,
 Bo on im przytrze wyniosłego rogu.—
 A ty, jak fenix z popiołów powstaniesz,
 Całą Europy ozdobą się staniesz!

Dabitur vox, fugiet nox, etc. etc.

Te słowa wyjąłem z bardzo osobliwego listu ojca Marka, w odpowiedzi na list Branickiego, łowczego litewskiego.

«W awantury się nie wdaję, bo dekretem bożkim wygrana *integritas fidei, libertatis et integritas graniciarum etiam in avulsis* i od Trójcy Przenajświętszej podpisana, a ty siedź cicho do czasu; co mi doniesiono z góry, ja tobie donoszę. *Dabitur vox, fugiet nox, veniet lux, et miserabit Deus super regnum Mariae Reginae Poloniarum.* To ci z niebieskich ciekawości donoszę, które żadnym sposobem odrzucone być nie mogą. Ja tam będę, ty teraz bądź.»

DO TRZECIEJ WIESZCZBY.

Jako z baby bies namełł cały wór tabaki.

Całą tę powieść o młynach pustych na Rosi, a mianowicie ostatni ten wiersz, winienem opowiadaniu Seweryna Goszczyńskiego, który napisał był poemat Wernyhory (zginiony w rewolucyi) gdzie wprowadził fantastyczną scenę djabłów zamieszkujących młyny i robiących tabakę z czarownic.

Proroctwo Wernyhory. — W ustach ludu ukraińskiego, wołyńskiego i podolskiego przechowuje się od dawna proroctwo Wernyhory, kozaka rodem ze wsi Dmytrykówki za Dnieprem. Prowadził on życie tak świątobliwe, i tak wślawił się pomiędzy swoimi ziomkami proroctwy, iż lud z dalekich stron przychodził do niego, ażeby albo zasięgnąć jego rady, albo prosić o przepowiadanie przyszłości. W takich chwilach wpadał zwykle w sen magnetyczny. Po zgonie, grób jego był miejscem pielgrzymki, a w czasie ostatniej wojny tureckiej i

poprzednio jeszcze, gdy niektóre zdarzenia zdawały się być przez niego przepowiedziane, zabronił rząd rosyjski pod surowemi karami zwiedzać miejsce w którem zwłoki jego były złożone. Kary były bezkuteczne; lud, a szczególnie lud pognębiony pragnie wierzyć: pamięć Wernyhory jest ciągle w religijnem poszanowaniu. Rzecz szczególna! — Wiele jego przepowiedni spełniło się; w tych latach spełniła się jedna, tycząca się własnych zwłok jego. Wiedzieli jego współziomkowie, że przepowiedział, że prochy jego rozproszą się po całym świecie, i dlatego starannie pielęgnowano grób tego. Ale pod smętarzem płynęła rzeczka, która przed kilkoma laty tak wezbrała, iż cały smętarz zerwała i uniosła. Utwierdziło to wiarę ludu i wzmocniło pamięć prorocत्व, z których jedne już należą do przeszłości, inne dopiero się mają spełnić. Mamy jedno z jego podań ludu w ruskim języku spisanych, i ogłaszamy, jeżeli nie jako prorocत्व, to przynajmniej, jako ciekawy szereg zdarzeń w które lud wierzy. Może w sprawie ojczyzny i wolności będziemy mieli szczęście walczyć i umierać na polach nad-dnieprskich; wtenczas tego prorocтва słowa mogłyby pierś ludu nastroić do wielkich czynów i ofiar.

Wernyhora przybył do kraju polskiego z okolic nad-dnieprskich r. 1766 i osiadł we wsi Makiedonów, w starostwie kaniowskiem. Tam przepowiedział, iż wkrótce powstanie hajdamaczyzna, że już w Małorosyi lud na to się zmawia, że wielu wyginie, że kraj tamten nie zostanie hetmańszczyzną, ale powróci pod rząd polski, a za lat kilkanaście potem, będzie w mieście Kaniowie zjazd wielki, z którego umowy złe w czasie dla Polaków wynikną skutki. Gdy hajdamaczyzna powstawać zaczęła, i to przepowiedzenie pomiędzy ludem się rozgłosiło, wszędzie hajdamacy starali się schwycić Wernyhore, lecz nigdzie znaleźć nie mogli, nawet Makiedonowa mieszkańców do ścigania go i do hajdamaczyzny namówili. Wernyhora uciekł, i skrył się w domu na wyspie rzeką Rosią oblanej, na której mieszkali sami młynarze. W owym czasie całe starostwo korsuńskie było w posiadaniu Suchodolskiego; ten mieszkając w Korsuniu, gdy się dowiedział że Wernyhora ukryty u młynarzów, był u niego sam na wyspie, i gdy go o rozmaite rzeczy wypytywać zaczął, on mu odpowiedział:

1. Miejsce to przez młynarżów na wyspie zamieszkane, będzie ozdobione kosztownemi murami i wspaniałym pałacem, do którego się zjedzie dwóch monarchów.

2. W kraju polskim niezabawem zrobi się wielka wrzawa, brat zmaże krwią brata ręce swoje, będą rabunki, obcy żołnierze wiele złego nabroją, i wieże napelnią niewolnikami. Potem z trzech stron wielka część kraju rozerwaną będzie.

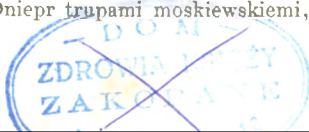
3. Polacy, w nienawiści ku swemu królowi, długo będą się sprzedawali; nakoniec zagorze pożar wojny, i wielka część Polski rozebrana będzie na trzy części.

4. Powstanie w kraju człowiek mały, bitny, ale nie takiej siły aby zwyciężył nieprzyjaciół; ten pojmany będzie, a kraju polskiego reszta rozebraną zostanie. Wisła pod stolicą krwią się zafarbuję, a król jej nie umrze w swej stolicy.

5. Naród jeden daleki, zamordowawszy króla powstanie, tak iż wielu królom i książętom strasznym się stanie; zgębi go jedno królestwo, a na odebranym od niego kraju małym, powstanie część Polaków i rząd nowy.

6. W roku trzecim po powstaniu Polaków będzie w wielkiej części trwała straszna wojna. Posunie się później mocarz z zachodu, i na czele narodów pójdzie na wschód i Smoleńsk zdobędzie i Kreml obali; ze szczytu wielkości strącony, wygnany zostanie na wyspę.

7. Będą się zjeżdżać monarchowie i radzić, a ostatni zjazd będzie w Rusi Czerwonej, ale z układu monarchów nic do skutku nie przyjdzie. Będą się kojarzyć związki, aby Polskę utworzyć, ale te zrazu skutku nie wezmą, i nie udadzą się. Przyjdzie do wojny z Turkami, którzy pokonani zostaną, i Rosya jak koń rozhukany pomknie się w głąb Turcyi, lecz potem się Turcyja pokrzepi. Polacy zaczną powstawać, wojownik wielki z narodem bitnym, zwycięży Rosyan, i wtenczas naród polski mocniej powstawać zacznie, wpadnie potem na obóz moskiewski pod Konstantynowem, na jarze Hanczarycha zwanym, Moskalów zbije; bić już będzie do mogił Perepiata i Perepiatychy, gdzie drugi obóz moskiewski stanie, wszędzie ścieląc trupem moskiewskim. Przyłączy się do Polaków Turczyn i Anglik, pójdą przez Kijów; zawalając Dniepr trupami moskiewskimi, zajmą



w daleki kraj moskiewski, i w końcu powitają Moskale Polaków jako braci: z nieprzyjaciół zrobią się przyjaciele.

8. Polski kraj zostanie w dawnych granicach za pomocą Turków i Anglików.

9. Mały i mało znany naród wystąpi i zjedna sobie znaczenie w Europie.

10. I Małorosya szczęćcia zażyje; lecz nie dojdzie dla niej czas w którym wielkie zajdą rzeczy: mówiłbym o nich, ale się boję, aby Dniepr ze swoich nie wystąpił łożysk.

11. W znacznej części świata odmieni się zewnętrzne nabożeństwo, nastaną nowe rządy, stare zmieniają się, albo upadną, i szczęśliwość trwać będzie przez wiele lat.

Panować to tak dobrze wam — wy królewienta —

Chmielnicki zawołał do wojewody Kisiela, który warunki ugodne podawał od króla: «Korol jako korol, ale wy korolewienta szlachta broicie mnoho, i nabroiliście.» —

Mówiąc: płaczcie nad sobą, jam już nie tułaczem —

Kiedy Szymona Konarskiego wieziono na miejsce stracenia, na wzgórzu za Wilnem mnóstwo kobiet, powiewając chustkami, przeciągłym jękiem żegnało męczennika — wtedy on podnosząc z sanek nogę okutą ciężkimi łańcuchy i wstrząsając niemi zawołał donośnym głosem: Nie nademną płaczcie, bo ja za chwilę wolnym będę, ale nad sobą! —

OBJAŚNIENIA DO EPILOGU.

Gęśl przedbojańską owi trzech oracze, i t. d.

Grecy zabrali byli w niewolę trzech cudzoziemców, którzy zamiast oręża mieli gęśle. Cesarz zapytał ktoby oni byli? My Słowianie, odpowiedzieli — mieszkamy w najzachodniejszej stronie morza Bałtyckiego; han awarski przysłał dary do naszych starszych i żądał wojska przeciw Grekom; starsi odpowiedzieli że dać nie mogą z przyczyny wielkiej odległości.

Han bez względu na świętość poselstwa nie puszczał nas do ojczyzny. Słyszac o przychylności Greków wynaleźliśmy sposób dostania się do Tracyi. Nie znamy oręża, tylko gramy na gęślach; nie masz w ziemi naszej żelaza. — Cesarz dziwił się skromnym obyczajom tych ludzi, ich pięknej postaci i ugościł, i podał sposobność powrócenia do ojczyzny.



ŚWITEZIANKA.

FANTAZYA DRAMATYCZNA.

O S O B Y.

KSIĄŻE.

JANUSZ, syn jego.

MARYLA.

DONNA ANTONIA.

MASKA.

JOASIA.

FANI.

KRÓLOWA PALMIRY.

POKOJOWIEC.

RYBAK.

Goście pięci obojey w maskach i bez masek.

Służba dworska. Orszak królowej. Okręt.

(Scena nad brzegiem jeziora, i w zamku księcia.)

PROLOG.

(Wieczór jesienny — księżyc wschodzący nad borem oświeca romantyczną okolicę jeziora Świteż. — W oddaleniu widać na wzgórzu wspaniały zamek.)

PANICZ w zielonym stroju myśliwskim, z strzelbą na plecach, wypada zdyszany.

Przeciem się wyrwał z salonowych nudów!

Serce mi biło tak do twoich cudów,

Bracie Świteziu! — a dusza tak rzewnie

Do swej Maryli tęskniła, że pewnie

Byłbym gdzieś zemdłał wśród moich mentorów:

Starych kuzynek i ojców przeorów — —

Bo też jak na złość obsiedli mię w kącie,

Prawiąc przestrogi : jak się mam zachować

W podróży; jak się z pieniędzmi rachować,

I, Bóg wie nie co — a na horyzoncie

Słonko jesienne coraz nikło, nikło — —

Szcześnie z podwórza kilka głosów krzykło:

«Kot! kot! —» jam skoczył ciotkom przez robrony —

— Hajże go! hajże! i jak oparzony

Torbę myśliwską porwał, zdjął rusznicę,

I, co tchu biegłem na te trzęsawice,

Pożegnać Świteż — pożegnać Marylę — —

Z całej wieczności dnia, zaledwo tyle

Mogłem oderwać, by w tem krótkiem mgnieniu

Nabrać w pierś życia na trzy długie roki,

Co dzień malować w tęsknem przypomnieniu:

Marylę — Świteż — ten wieczór — obłoki.

Przekłęty odjazd! tak mi nie na rękę —

Ale cyt —

(Przysłuchuje się.)



Ona! — Widzę jej sukienkę
Za krzaczkiem łoży — Marylko! —

DZIEWCZYNA, wybiegając.

Ach! kto ty?

PANICZ.

To ja, kochanie.

DZIEWCZYNA, rzucając mu się na szyję.

Jasiénko mój złoty.

Czemu tak późno? miesiąc już nad lasem —
Czy Jasio kochać nie przestał mię czasem?

PANICZ.

Och, nie mów tego — jam w takiej rozpaczyl!

DZIEWCZYNA.

Ty mój kochanku?! — Czy nie masz Maryli,
Byś smutek wylał? — wylej-że go, wylej! —

PANICZ.

Nie śmiem —

DZIEWCZYNA.

I czemu?

PANICZ.

Może nie przebaczy

Maryla?

DZIEWCZYNA.

Wszystko! oprócz jednej zdrady.

PANICZ.

O to się nie trwóż gołąbko!

DZIEWCZYNA.

(Wpatrując się w niego.)

Jakiś bładyl

Czy nie udało ci się polowanie?

Kaczki nie ciągly, lisa-ś nie wytropił?

Możesz nie dospał, nie dojadł, nie dopił?

Może ci się sprzykrzyło już kochanie? —

PANICZ.

Nie, nie, nie!

DZIEWCZYNA.

Więc cóż! — Dawniej to bywało

Miałeś serce na dłoni —

PANICZ, z westchnieniem.

A jednak kłamało!

Wstydę się —

DZIEWCZYNA.

Jakto? — Więc wszystkie zaklęcia

Na stałość, wierność, były chytre m sidłem

Na ułowienie prostego dziewczęcia?

A jam myślała, że przy twoim boku

Jak pod anielskiem bezpiecznie mi skrzydłem? —

Och! Och! (płacze)

PANICZ.

Ty płaczesz? zatrzymaj łzę w oku

Na prawdziwsze nieszczęście.

DZIEWCZYNA.

O, nie może

Być już prawdziwsze!

PANICZ.

A ja się założę

Że jest —

DZIEWCZYNA.

Dobij mię!

PANICZ.

Cokolwiek krwi chłodnej,

A powiesz sama, żem litości godny

A nie wyrzutów.

DZIEWCZYNA.

(Ocierając oczy.)

Słucham.

PANICZ.

Więc się dowiedz

Żem ja nie sługa, nie ubogi łowiec — —

Wszystko udanie — jam książęce dziecko,

Ot, z tego zamku! — Przybrałem prostaczy

Ubiór, bom sądził, że trudno inaczej

Trafić do ciebie —

DZIEWCZYNA.

Trafiałeś zdradziecko!

PANICZ.

Prawda! lecz zdrada łatwo się wybaczy,



Kiedy na końcu po miłosnej próbie
Miałem cię zrobić księżną —

DZIEWCZYNA.

Prób nie lubię.

Czemuś odrazu prawdy nie powiedział,
Byłabym nigdy w ten niezmierny przedział
Nie ciskała miłości!

PANICZ.

Siłą woli

Młodzieńczej zgładzę przedział między nami:
Tatuś mój dobry na wszystko pozwoli,
Wreszcie majątek za trzy lata da mi
Cały, ogromny; wtenczas ślub nas złączy.

DZIEWCZYNA.

Zobaczysz Jasiu, że to źle się skończy —
Trzy lata! Serce zapragnie odmiany.
Ty panicz — w samych rokoszach chowany,
Zdepcesz mię, trawkę, gdy po kwiat różany
Sięgniesz. Na Litwie pełno ślicznych róży!

PANICZ.

Ej, co mi Litwa! — od jutram w podróży;
Na trzy lat jadę w zagraniczne kraje
Poznać, co robią inne tam narody.
Na myśl rozstania serce mi się kraje!
Ale cóż począć! trzeba się do mody
Stosować w świecie. Ztąd odgadłaś smutek
Na mojem czole. Żegnać się przychodzę —
Jadę przed wschodem.

DZIEWCZYNA.

Myśl tam o niebodze.

PANICZ.

Tobą żyć będę.

DZIEWCZYNA, zrywa pęk kwiatów.

Ten pęk niezabudek

Weź na pamiątkę. — One ci przypomną:
Że tu Maryla z miłością niezłomną
Czeka na ciebie. —

(Z prośbą.)

Przynajmniej co doba

Raz, spojrzysz na nie. Lecz, jeżeli przypadkiem
Myśl twoją inna zaprzątnie osoba,
Bukiet się zmniejszy zaraz jednym kwiatkiem —
A ja z powrotem kwiatuszki policzę. —

PANICZ, wesolo.

Dowcipny pomysł! kontrola w miłości —
Nie bój się! wszystkie powaby dziewicze
Tyle obchodzą mię, co przeszła zima —
Jasio cię kocha — Janusz ci dotrzyma.

DZIEWCZYNA, chwiejąc głową.

Trudno! —

PANICZ.

Nie wierzysz?

DZIEWCZYNA.

Już wierzę. My prości

We wszystko wierzym — lecz wy, tak niestali —

PANICZ, dobywając noża.

Więc ci przysięgnę na ostrzu tej stali,
W obliczu nieba, tych gwiazd —

DZIEWCZYNA, kładąc mu rękę na ustach.

Ciszej, ciszej!

W złą wymówisz godzinę, duch usłyszysz
Jaki piekielny, zapisze przysięgę —

PANICZ, z wzrastającym zapalem.

Więc ci na piekiel przysięgam potęgę.

DZIEWCZYNA.

Jasiu, mój Jasiu! czy słyszysz? — szum głuchy
Między drzewami — na wodach? — to duchy
Łowią w powietrzu słowa. — Ach, ja zgine
Z tobą Jasieńku, gdy zdradzisz —

PANICZ, z mocą.

Nie zdradzę.

Umiem dotrzymać, jeśli się usadzę!

DZIEWCZYNA.

Pamiętaj! —

PANICZ, obejmując za szyję.

Teraz pierwszego całuska. —

DZIEWCZYNA.

Ot masz — — Bywaj zdrów!

PANICZ.

Zaczekaj —

DZIEWCZYNA.

Ha! pluska

Srebrzysta pręga przez wodną głębinę —

Bądź zdrów! —

PANICZ.

Nie puszczę.

DZIEWCZYNA, wskazując ręką do góry.

Widzisz te mgły sine

Nad lasem —?

PANICZ, odwraca się od niej — ona znika.

Widzę — bardzo osobliwe!

Niby moskiewski rysak, długą grzywę

Na wiatry puścił; w sankach siedzi gwiazda,

Ksieżyc jak zwoszczyk wiezie — to mi jazda!

Takbym chciał ciebie powozić, ty rybko!

Nieprawdaż? — mów-że —

(Okręcając się w kółko.)

Znikła — Marylo!! — choć jedno ściśnienie! —

Milczy — figlarka zręcznie psoty płata — —

(Patrzy na jezioro.)

Nigdzie ni słychu — jezioro w pierścienie

Rozpryska; czarne krzyżują się cienie,

I coś tam w bieli nad falami ulata —

(Oddala się wolno w zamyśleniu.)

Co też się stanie z nami, za trzy lata?! —

SCENA PIERWSZA.

BAL W PAŁACU KSIĘCIA.

(Salony oświetlone — marmurowe kolumny — ściany zwierciadlane. W głębi na wywyższeniu muzyka. — Goście przybywają: jedni w zwyczajnych balowych ubiorach, drudzy w maskach tworzących historyczne grupy. Wesele krakowskie — Górale — Kozaki — arlekiны — i różnego koloru domina. Po lewej stronie grupa mężczyzn; po prawej Janusz, przy drzwiach szklanych, prowadzących na taras, stoi odwrócony i patrzy na wschodzący księżyc nad jeziorem.)

LEWA STRONA.

PIERWSZY MĘŻCZYZNA.

Coraz przybywa gości — jakie stroje:
Pióra, brylanty, tyftyki, zawoje —!
Sadzi się szlachta.

DRUGI.

W naszej okolicy
Bal niesłychany; nawet i w stolicy
Sam król nie mógłby zawsze tak wystąpić.

TRZECI.

Stary też książę lubił ciągle skąpić!
Dziś za to —

CZWARTY.

Panie! Dogódź ciekawości:
In gratiam czego te okazałości?

TRZECI.

Jak to? pan nie wiesz?

CZWARTY.

Nie wiem, choć się bawię.

TRZECI.

Wszak książę Janusz wrócił! Trzy lat prawie
Bawił w Wenecyi, Paryżu, Londynie —
Patrz, stary książę rozplywa się w synie.



PRAWA STRONA.

(Janusz zamysłony, książe zbliża się do syna.)

KSIĄŻĘ.

Co ci to dziecko? jak nie swój wyglądasz —
Mów, mów, czy jeszcze czego po mnie żądasz?
Uczynię —

JANUSZ.

Papo! tyś się wydziedziczył
Dla mnie z majątku, z władzy; tyś wyliczył
Sumy w gotówce, zbierane tak skrzętnie —
Trzebaż mi więcej?

KSIĄŻĘ.

Czemuż tak niechętnie
Przymujesz gości? grzecznym być wypada
Wszak to sproszonego synu, maskarada —
A nie za pieniądze —

JANUSZ.

Owszem, mnie to bawi —

KSIĄŻĘ.

Bądź-że, bądź wesół —

JANUSZ.

Niech Papa zostawi
Mnie choć na chwilkę: spazmy mię tak męczą! —

KSIĄŻĘ, z uśmiechem wskazując na kobiety.

Widzisz, kobietki do ciebie się wdzięczą —
Jedna w stroju wieśniaczki mruga na cię.
Bierz się, bo żwawa. (Odechodzi.)

JANUSZ.

Z Bogiem stary gracie:
Tak znudził! wszystko nudzi mię tu razem!
Kobiety zimne; stokroć lepiej z głazem
Mieć do czynienia niż z szlachcianką, co to
Na cztery nogi kuta twardą cnotą —

(Widząc zbliżającą się wieśniaczkę.)

Czegóż ta znowu? zaczepię ją —

(Głośno.)

Masiu!

Daj rączkę — zgadnę kto jesteś? —

DZIEWCZYNA.

Ej Jasiu!

Próżna fatyga —

JANUSZ.

Po błękitnych oczach

Jak niezabudki, po jasnych warkoczach

Wniósłbym, że jesteś —

DZIEWCZYNA, przerywając.

Lubisz niezabudki?

JANUSZ.

Dosyć.

DZIEWCZYNA.

Nosisz je?

JANUSZ.

Był raz moment krótki,

Żem je na sercu nosił. — Czcze wybryki!

Gust taki nie wytrzyma dziś krytyki.

DZIEWCZYNA.

Doprawdy —? Ni jednego nie masz kwiatka?

JANUSZ.

Czy to gra w niezabudki?

DZIEWCZYNA.

Nie. — Zagadka.

JANUSZ.

Zagadka i maseczka. — Sęk dwojaki.

DZIEWCZYNA.

Czy lubisz wieczór?

JANUSZ.

Jak który —

DZIEWCZYNA.

Ot taki

Jak dziś jesienny? —

JANUSZ.

Lubię, gdy wesoło

Schodzi mi —

DZIEWCZYNA, wskazując ku jezioru.

Ot tam? —

JANUSZ, pomieszany.

Tam? Tam? —

DZIEWCZYNA.

Ha! trzesz czoło,
Jakbyś przywołać chciał pamięć leniwą?

JANUSZ.

O, nie — tak — temu trzy lata — dość żywo
Jedna mi scena odbiła się w duszy —

(Zamyśla się — dziewczyna znika w tłumie.)

Ej co tam myśleć! — Taniec mię ogłuszy —
Czy tańczysz Masiu? stałmy w pierwszej parze —

(Nie postrzegając jej.)

Znikła jak widmo. — Same dzikie twarze —
Nie ma w czem wybrać; z figur, czyste pniaki —
Głosy piskliwe, i ręce jak raki —

W grze hazardowej mógłbym mieć rozrywkę —
Lecz szlachta goła: zgra się, stawia dziewczkę
Ze wsi, na kartę — nie ma szansy żadnej —

(Z głębokiem westchnieniem.)

Biedny ja książę, pan szerokowładny! —

LEWA STRONA.

INNA GRUPA MĘŻCZYZN.

PIERWSZY.

Otóż mospanie odprawił ją z kwitkiem,
Choć się mizdrzyła —

DRUGI.

Snadź znudził się zbyt —
Dziśbym nie poznał. — Chłopak był jak róża;
Teraz twarz blada, oko się zachmurza,
Jakby w nim wszystkie wygorzały żądze —
O już to nie ten Janusz co był, sądę.

PIERWSZY.

Obce powietrze.

TRZECI.

Mówią, że mozoły

Książkowe.

CZWARTY.

Ależ jaki nie wesoly!
Usiadł by Sułtan, nudzi się — ach, ziewa!

DRUGI.

Po Rzymach, Wiedniach, zwyczajnie tak bywa.

CZWARTY.

Wspaniała feta, ale brak zachęty;
Gospodarz stary, syn bardzo nadęty.

DRUGI.

Snadź nie znajduje dla siebie kompanii:
Wszystkie piękności nasze w czambuł gani.

PIERWSZY.

Ba, nie! — Widzicie jak ramię pod ramię
Rad szarmantuje aksamitnej danie,
Z alabastrowym gorsem; kibić cudna!
Szkoda, że maska kryje ją obłudna —

DRUGI, z ironią.

Jeżeli szpetna, nie zdejmie jej snadnie;
Jeżeli przeciwnie, ręczę, wszystko spadnie.

TRZECI.

Teraz w tłum znikli —

PIERWSZY.

Wiąże się intryga.

Do budoaru wchodzi — rączka miga
Od twarzy. — Patrzcie na przeciw zwierciadła:
Z tajemniczej piękności maska spadła.



SCENA DRUGA.

GABINET KSIĘCIA JANUSZA.

(Janusz wprowadza Antonię, która trzyma maskę w ręku.)

JANUSZ.

Kocham Siniore, kocham jak szalony.

ANTONIA.

Mamże uwierzyć?

JANUSZ.

Na ślepo.

ANTONIA.

Androny!

Czy mi to jeden przysięga, a zdradził.

JANUSZ.

Jam się na wieki kochać cię usadził.

ANTONIA, wskazując na zwitek w ręku Janusza.
A toż co w ręku? czy bilecik słodki.

JANUSZ.

Wiersze — w zapale złożyłem dwie zwrotki.

ANTONIA.

Jesteś wierszopis?

JANUSZ.

O gdzie tam! od wczora
Cierpię splin jakiś — serce, głowa chora,
Szukały ulgi —

(Z uniesieniem lirycznym.)

Ale ty, o bóstwo!

Budząc w mej piersi takie uczuć mnóstwo,
Wyrzecz: że kochasz — zostanę poetą!

ANTONIA.

Upadam do nóg! — pod smutną planetą
Poeci wszyscy gdzieś rodzić się muszą:
Na sentymenta mózgi sobie suszą;
Każdemu trzeba kochanki z księżycą —
W słowach i czynach zawsze tajemnica,
Nie, prosto z mosta — a to, na śmierć nudzi,
Nie wiem jak kogo, ale mnie. — Do ludzi
Trza być podobnym, to może się zyska;
Lubię galanta kiedy szablą błyska
I laury zbiera choćby na sejmikach —
Amorki rade siadać na wąsikach.

JANUSZ, zdejmując kord ze ściany.

Więc chcesz? do korda zaraz się przywiążę.

(Na stronie.)

Rymy na potem.

ANTONIA.

Prześlicznys mój książę!

JANUSZ.

I tyś precudna! Ta szata balowa
Tak ci do twarzy! — Żaden się nie chowa
Kształt pod fałdami: wydatne, choć skryte;
Taką gdzieś z morza wyszła Afrodyte.

ANTONIA.

Nigdy tak książę nie mówiłeś grzecznie —
Czy mię przestajesz kochać?

JANUSZ.

Kocham wiecznie!

I, nie od wczora kocham. Jak czas leci!
Będzie rok temu — pamiętam, w Wenecyi
W świętego Marka kościele, o mroku
Chodzę jak błędny — a czucia w natłoku
Nigdzie nie mogą wylać się, zawisnąć —
Szalony! chciałem choć posąg przycisnąć
Pierwszy lepszy do serca — byłby ożył.
Dość, żem całunek, patrz, ot taki —
(Całuje ją.)

złożył

Jakiemuś Doży. — Gdy w tem, za kolumną
Spojrzę — ktoś kłęczy schylony nad trumną:
Kobieca postać w kirze — by Kanowy
Dłutem, wykute rysy ślicznej głowy
W promyku się kąpały, co z szyb padał:
Obraz ten, jakżeż w duszy mi zagał! —
Toś ty, Antonio była! — Próżnom potem
Szukał za tobą wszędzie, sypał złotem,
By ślad twój odkryć, wiedzieć choćby inie —
Traf niespodziany! spotykam cię w Rzymie
Na balu, pomnisz — u ambassadora —
Wszystko gasiłaś owego wieczora
Wdziękiem, dowcipem; jak słońce na niebie
Świat obracałaś cały w koło siebie.
A teraz znowu — tu, na Litwie naszej,
Czy ty Sylf jaki? czy ciebie lot ptaszy
Przeniósł przez Alpy, śniegi, o mil tyle,
Na mój rodzinny zamek, w jedną chwilę?
O, nie chcę badać czar-li to, czy cudy?
Dość, że cię kocham, szalenięj niż wprzód —
Czemu? Sam nie wiem — czy to wspomnień wina,
Czy żeś piękniejsza niżli każda inna?

Trudno rozstrzygnąć — dosyć że goreję.
 Miłość jest ziarnko, które wiatry sieje
 W sercu, by rosło — niechże sobie rośnie.
 Bez ciebie, cóż bym znaczył w mojej wiosnie?!
 Dnie by się wlokły, długie zimne, mgliste,
 I nagie, jak te kasztany bezliste —
 W śnie mego życia ty mi bądź marzeniem,
 Duszy daj nieśmiertelność twym spojrzeniem.
 Obok ciebie zapomnę świat i wszystko —!
 Mów co! — Niechaj cię słyszę — tu — tu — blisko.

ANTONIA.

Księżę każdą tak kochasz?

JANUSZ.

O, być może.

Kocham brunetkę, lecz w jasnym kędziorze
 Gustuję także. Ze mnie istna pszczołka:
 Dla trochy miodu ssę z każdego ziółka.
 Lubię ogień ocz czarnych, błękit jasných;
 Zapamiętam nie zamykam w sferach ciasnych —
 Róża uśmiecha mi się — lilia wabi
 Atlasowym połyskiem swych jedwabów.
 I tyż to zdradą nazwiesz? przywidzenie!
 Wszystkie te cuda, wierz mi, w jednej cieniu:
 Tyś jest tą jedną.

ANTONIA.

Zwolna! jam zazdrośna.

JANUSZ.

Tem lepiej.

ANTONIA.

Miłość nie ujmie mię sprośna.
 Kto kocha niech się żeni.

JANUSZ.

Chcesz? więc zgoda.

ANTONIA.

Ale natychmiast.

JANUSZ.

Tak nagle? Ej szkoda —

ANTONIA.

Natychmiast, mówię.

JANUSZ, do siebie.

Naciera! Zważ przecie —

ANTONIA.

Zważyłam.

JANUSZ.

Wszakże —

ANTONIA.

Tacy to na świecie

Wszyscy mężczyźni! — Szalone z nas głowy,

Gdy można wierzyć w ich szal romansowy:

W te piękne słówka, pajęczne sidelka;

W te szczytne cnoty, zwiększające szkiełka.

Małżeństwo, kamień to na nich probierczy:

Potrzyj nim serce, połysk przeniewierczy

Zniknie, a miłość owa złoto-szczera,

W podły kruszec się zmieni —

JANUSZ, oddychając.

Et cetera —

Podąsałaś się —

ANTONIA.

Czyż nie mam słuszności?

Powiedz, nie pierwszyś mówił o miłości?

JANUSZ, do siebie.

Łapie za słowa —

(głośno) Potrzebneż te pęta?

Te śluby!

ANTONIA.

Miłość tak prędko poczęta,

Lekka jak ptaszek, oknem się wychwyci —

Więc ją za łapkę przywiązać na nici.

JANUSZ, przyglądając się jej z boku.

Śliczna z profilu! połknąłbym ją całą —

ANTONIA.

Zdradzonej srodze cóż teraz zostało?

Śmierć jedna! jeżeli litości masz trocha,

Odbierz mi życie —

JANUSZ.

Patrzcie! ona szlocha —

Widok ten zawsze napełnia mię trwogą.

Za człeka bez honoru wziąć mię mogą —

Lubko! uściskaj na zgodę — ot kwita.

Żenię się z tobą. — Jak łania kobieta.

ANTONIA.

Więc mię na prawdę kochasz ksiązę?

JANUSZ, żartobliwie.

Muszę;

Niewiasta tak jak szatan, bierze duszę.

ANTONIA.

Kiedyż wesele?

JANUSZ.

Nie czas zwijać żagle —

Jeżeli mam głupstwo robić, zrobię nagle;

— Choćby dziś o północy, choćby we śnie —

ANTONIA.

Ten raj osiągnąć nigdy nie zawcześnie —

JANUSZ.

O, w samej rzeczy.

ANTONIA.

Bądź zdrów! —

JANUSZ.

Służę tobie.

ANTONIA.

Zostań! — za chwilę w weselnej ozdobie

Ujrzysz mię tutaj. —

(Odechodzi.)

SCENA TRZECIA.

JANUSZ, sam.

Cóż ze mną się dzieje?

Mnież-to małżeńskie przechodzić koleje?

Mnie się żenić dziś jeszcze? — Tom się złapał!

Mój Boże! gdzie nas nie prowadzi zapał.

Trzeba się było uprzeć — odpowiedzieć —

Teraz się żęń braciszku — z kim? nie wiedzieć.

Awanturnica, z za świata gdzieś Włoszka,
 Widziałem ją w Wenecyi, w Rzymie troszka.
 Zczarowała mię — prawda, trudno taić —
 Ha! do wszystkiego trza się przyzwyczaić;
 Człek się na męża z czasem usposobi —
 Kto zakochany, sam nie wie co robi!
 Wreszcie i pora zarzucić kotwicę
 Na morzu szaleństw, zakląć nawałnicę,
 By nie miotała od rączek do rączek,
 Od ust do ustek i z pączka na pączek -
 (Dzwoni, wchodzi pokojowiec.)
 Dzisiaj ślub biorę.

POKOJOWIEC, zdziwiony.

Jasny Pan ślub bierze?!

JANUSZ.

Leć mi natychmiast — wiesz, do Monsieur Léger,
 Który z Warszawy przywiózł tu towary
 Na te festyny. — Niech mi fermoary,
 Pierścienie, kolce, tyftykowe szale,
 I wszystko znieś co tylko ma, ale
 Najkosztowniejsze, i w najlepszym smaku —
 Rozumiesz —

POKOJOWIEC.

Lecę.

JANUSZ.

Najpierwsza w orszaku
 Dumnych piękności naszych musi świecić;
 W przygaszonych rywalkach zawieść wzniecić:
 By mdlały, mówiąc: Kocha ją szalenie!
 Jakie brylanty, szale, i pierścienie!
 Śpiesz tylko —

POKOJOWIEC, wracając.

Jasny Panie, w przedpokoju
 Jakas kobieta w masce, czarnym stroju,
 Chce się widzieć —

JANUSZ.

Kobieta? O, prosić —

SCENA CZWARTA.

JANUSZ. — Maska w czarnem domino.

JANUSZ.

Jednak z tych wizyt mogłaby źle wnosić
O mej stałości — nuż łapkę zastawia?

(Postrzegając wchodzącą.)

A toż co znowu za cudo się zjawia?

MASKA.

Witam księcia Janusza.

JANUSZ.

Uniżony —

MASKA.

Moim widokiem zdasz się być zdziwiony —
Czy nie poznajesz?

JANUSZ.

Wyznaję otwarcie,

Że w tym stroju nie mogę —

MASKA.

O lamparcie!

Czyć wywietrzała tak prędko z pamięci
Owa масeczka u księżny Walencyi,
Zawsze na balach w różowem domino —
Coś ją tak prześladował — pomnij ino —
Coś za nią szalał przez całe zapusty;
Rywalizował z tobą Anglik tłusty.

JANUSZ.

O, teraz przypominam: piękność rzadka,
A zawsze tajemnicza, jak zagadka;
Figurka mała, żywa i zgrabniutka —
Nigdy nie widział więcej prócz podbródka
I oczek. — Jakie oczki! jaka rączka!
Już na wspomnienie pali mię gorączka,
O, byłbym za nią piekłu sprzedał siebie!
Z taką kobietą wszędzie masz jak w niebie.
Tylko, że nazbyt noska zadzierała —
Jak mówią, ma być siostrą kardynała.

MASKA.

Może się zmieknąć.

JANUSZ.

O, nie spuści z tonu

(Melancholicznie.)

Gdybym był królem, wzniosłbym ją do tronu.

MASKA.

Książę jak widzę, nie w swoim humorze —

Mów, czy nie jakie zmartwienie broń Boże?

JANUSZ.

Żenię się —

MASKA.

Żenisz? Więc mamy cel jeden —

Owa zagadka, jak mówisz — ów Eden —

Której wspomnienie dotąd cię czaruje,

Ja jestem! —

JANUSZ, zmięszany.

Żarty.

(Do siebie.)

O nieba! zgaduję:

Bóg mi zesyła Anioła w złym razie —

(Przypatrując się.)

Poznaję ją po szyjce, po wyrazie

Ócz dużych; kibić i rączka ta sama

Dla którejbyś popełnił grzech Adama.

MASKA.

Kochasz mię jeszcze?

JANUSZ.

Mógłbym się zmienić?

I, gdyby nie to, żem przyrzekł się żenić

Z inną —

MASKA, ciągnąc go na sofę.

Usiądźmy, tak rozmawiać lepiej —

Może też twoja pamięć się pokrzepi,

I przypomnisz —

JANUSZ.

Cóż, proszę?

MASKA.

Pomódz chcę ci —

(Wpatrując się w niego.)



Czy nie pamiętasz? jaki frant z Waszeci!
 Przecież na balu u księżny del Rocca —
 Sama noblesa była tam wysoka.
 Bawiono się wybornie aż do świtu;
 Miałam domino na sobie, jak i tu,
 Domino czarne; poznałeś mię zaraz,
 I gdy dla chłodu wybiegłam na taras,
 Tyś przyszedł — w rękę obrączkęś mi włożył —

JANUSZ.

To prawda.

MASKA.

Ślubną.

JANUSZ.

Dziś bym się założył
 Żeś jest ta sama.

MASKA.

Widzisz, że nie kłamię —
 A potem, potem wzięwszy mię pod ramię,
 Recytowałeś: Jam jest syn książęcy,
 Mam kilka zamków, mam dusz sto tysięcy
 W głębokiej Litwie i na Ukrainie;
 Jeziora, sady, knieje i pustynie
 Takie rozległe, że najchyższy sokół
 Za tydzień by ich nie obleciał w okół.
 Dalej: Tyś we mnie wzniciła potężną
 Miłość — jam książę — chcesz, zrobię cię księżną;
 I gdybyś kiedy, przez kaprys miłości,
 Zachciała dzielić ze mną te wielkości,
 Ową obrączkę pokażesz mi złotą,
 Słowa moje niezłomne. — Książę! oto
 Obrączka twoja —

(Pokazuje obrączkę.)

JANUSZ.

Trudna, trudna rada,
 Już teraz inna to słowo posiada.

MASKA.

Pierwsza przysięga zawsze więcej znaczy.

JANUSZ.

I cóż mam począć? — Widzisz, jam w rozpacz! —
Każdy twój wyraz sztyłem mię rani —

MASKA.

Zrywasz? —

JANUSZ.

Niestety!! —

MASKA.

Odpychasz?

JANUSZ.

Ach! Pani! —

MASKA.

Jakiż koniec!

JANUSZ.

Sam nie wiem —

MASKA.

A więc idę

Na świat cały roztrąbić twą ohydę!

Niech wszyscy wiedzą w stolicy, w powiecie:

Że kobieta u ciebie mniej, jak śmiecie,

Które wyrzucasz ze słowem na wiatr,

Ni drugi Foblas romansów bohater.

Cóż, że nieszczęsna robi ci wyrzuty?

Śmiejesz się, z uczuć wznioślejszych wyrzuty!

Bo wiesz, że słaba i niedoświadczona

Z nożem nie przyjdzie gadać ci do łona —

Gdybym mężczyzną była, wierz mi, za nic,

Za wszystkie miłoty i włości bez granic,

Które posiadasz, nie chciałabym panie,

Być w twojej skórze —

JANUSZ, zniecierpliwiony.

Amen, niech się stanie.

MASKA.

Gmin by jak zdrajcę wytykał publicznie —

JANUSZ.

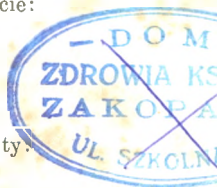
Żenię się z tobą — czy słyszysz?

MASKA.

To ślicznie!

Więc zgoda z nami. Teraz na podziękę

Żegnaj kochanku. (Całuje go.)



JANUSZ, zatrzymując.

Skończ przecie tę mękę —
I odsłoń maskę: niech przed ożenieniem
Wiem, kogo ślubym przykuwam pierścieniem.

MASKA.

W miłości, mówią, dobra tajemnica —
Dziś, o północy maska spadnie z lica,
Ujrzysz mię — tylko nie tak piękną może,
Jak sobie wyobrażasz.

JANUSZ.

O to się założę,
Żeś piękna — jednak w tak stanowczej chwili
Chcę coś wiedzieć o tobie.

MASKA.

Jam z Sewilli —
Rodziców nie mam, tylko brat kardynał
Mną cię zajmuje: wielki oryginał;
Wyobraź sobie, chciał mię do klasztoru
Zamknąć, lecz życie przeniosłam u dworu.
Zresztą mój żywot wcale nie ciekawy:
Podróże, bale, teatru, zabawy —
Cóż cię mam nudzić? Adieu mój kochanku,
Za chwilę ujrzysz mię w weselnym wianku.

(Odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otóż mam i dwie żony! — Jeżeli dalej
Wszystko, com kiedy kochał tu się zwali,
I przy lichwiarskim każda z nich stoliku,
Za drobne grosze umizgów bez liku,
Zechce mi ważną odplacić monetą,
Mówiąc: Książę ze mną się żenisz — mnie to
Pierwszej przysiągłeś, ot, ten uschły kwiatek —
Daleś mi w wiecznej miłości zadatek —

Jeżeli tak każda przyjdzie — istny spisek!
 Żon więcej znajdę niż prorok hurysek —
 (Do wchodzącego pokojowca.)
 Co powiesz?

POKOJOWIEC.

Jakaś kobieta nieznana
 Ten list przyniosła do Jasnego Pana.

JANUSZ, rzuca okiem na podpis.
 Pewnie słodki bilecik — podpis Fani —
 Czy nie ta, com najdłużej szalał dla niej?
 Czytajmy:

«Księżę! uciekłam od świata
 Od ciebie mię klasztorna dzieli krata;
 Lecz pierś wstrząsają dawne niepokoje,
 Jak cień mój za mną chodzi widmo twoje.

Tak mi posępno! wierzyć w nic nie mogę!
 Choć ramię krzyża wskazało mi drogę,
 Ty mi ją rozświeć swojemi oczyma:
 Tam Bóg nie może być, gdzie ciebie nie ma!»

Jakby gdzieś z Russa wyjęte. — Poczciwa!
 Jej miłość często we mnie się odzywa,
 By chrząszcz na śpilce gdzieś tam w sercu brzęczy —
 Pamiętam — w oczach ma siedem barw tęczy.

SCENA SZÓSTA.

JANUSZ — JOASIA w ubiorze gryzетки z pudłami i pakami.

JANUSZ, poglądając na nią z niespokojnością.
 Czy znowu?

JOASIA, dygając.

Znowu? — przecież się nie mylę —
 Na rozkaz pański: koronki, mantyle,
 Perły przynoszę, pióra, naszyjniki
 Weselne suknie, z atlasu trzewiki —
 Cudnie barwione wachlarze, i kwiatki,
 I rękawiczki — dla młodej mężatki.

Cała wyprawa; z sklepu Monsieur Léger —
Wszak Jasny Książę Pan to wszystko bierze? —

JANUSZ.

Biorę.

JOASIA.

Książę się żeni?

JANUSZ.

Ach! niestety —

JOASIA.

I cóż w tem złego, prócz życia podniety?

JANUSZ. do siebie.

Zachwycająca! wszystkie inne gasi —
Gdzieś cię znam.

JOASIA.

Któżby to nie znał Joasi?

Pewnie w Paryżu, w wielkim magazynie
Na St. Honoré. — Magazyn nasz słynie.

JANUSZ.

Zgadłaś! przeczułem twą bliskość z daleka;
Na powitanie sonecik cię czeka.

JOASIA.

I Pan byś myślał o mnie?

JANUSZ.

I jak jeszcze!

Twoim obrazem dzień i noc się pieszczę.

JOASIA.

Lepiej o żonie myśleć.

JANUSZ.

Szkoda czasu!

Przecież my w świecie żyjem, nie śród lasu
Jak dzicy ludzie — czy masz mię za dzika?

JOASIA śmiejąc się.

O nie —

JANUSZ.

Więc za co?

JOASIA.

Mam za rozpustnika.

JANUSZ, melancholicznie.

Tak sądzisz? — O nie! — jam filozof serca:
 Widząc jak w koło grasuje wydzierca;
 Jak mimo walk ustawnych trwa niedola,
 Jak w każdym ruchu skrępowana wola —
 Wzgardziłem czczym połyskiem tych zapędów:
 Sławy, poświęceń, dostojęństw, urzędów —
 I, błędnem sercem goniąc za płcią twoją,
 Od dumym się potrójną okrył zbroją.
 Bo w kobiecie nadzieja świeci pewniej;
 Bóstwo w niej utajone mówi śpiewniej!
 Ona, jak Anioł wiedzie nas w bezdrożu;
 Ona, jak gwiazda na wzburzonym morzu.
 Dotknę jej ręki, i wiem dokąd dążę — —
 O, wierz mi, żaden skrupuł mię nie wiąże
 Na rozkiełznanej żądy ziemię zbiegać,
 Do mlecznych piersi jak dziecko przylegać —
 Wszakże Bóg stworzył — sądy jego skryte!
 Kwiat na uszczknienie — na uścisk kobietę.

JOASIA.

To mi to serce! od miejskich wrót szersze;
 Znać, że poeta — a gdzież owe wiersze?

JANUSZ.

Ej bagatelka.

JOASIA.

Ach, bardzom ciekawa.

JANUSZ.

Nie wiem czy dobre, czyś słuchać łaskawa,

JOASIA.

O proszę, proszę.

JANUSZ.

Nie będę się drożył,
 Raz gdyś cię ujrzał, w zapalem ułożył:

(Czyta.)

«Czarodziejko! włos złoty spływa ci po skroni;
 Walczy z białością śniegu pierś i ramię twoje —
 Ta bladość ci do twarzy. — Cóż! kiedy się boję,
 By miłość nie zagasła w ocz modrawej toni —»



JOASIA, przerywając.

Ach Panie! kto zaś widział, takie baśnie!
Daleś blond włosy, ja czarne mam właśnie;
Oczy zielone — wymokłe jagody. —

JANUSZ, niby roztargniony przegląda w towarach.
Wszystko bardzo gustowne, pierwszej mody.

JOASIA.

Chce Pan, mogę przymierzyć?

JANUSZ.

Jakeś grzeczna —

JOASIA, stroi się w diadem i szal turecki.
Czy mi do twarzy?

JANUSZ, do siebie w uniesieniu.

Gwałtu! niebezpieczna —

Na pannę młodą patrzysz doskonale —

JOASIA, poważnie.

Mogę dać rękę —

JANUSZ, prowadząc do ust.

Na całus?

JOASIA.

O! wcale —

Nie ta myśl moja, coś innego roję;
Wejdz tylko książę w położenie moje,
Z wszystkich położen najbardziej krytyczne;
Książę byś jeden mógł je zmienić w śliczne.
Oto mój ojciec za mąż mię przymusza —
W tem nieszczęśliwszemu od księcia Janusza,
Który sobą sam rządzi. — Mój Pan młody
Całkiem nie grzeszy przez zbytek urody;
Wyobraż książę: twarz czysto tatarska,
Włosy jak szczotka, postawa lichwiarska —
Mogłaby miłość wystraszyć na wieki,
Choćby jej było tyle co na leki —
Słowem tak szpetny, tak szpetny, tak szpetny —
I to mój Ojciec zowie: maryaś świetny!
Cóż radzić na to? myśl przyszła paradna:
Jeżeli żona pańska nie zbyt ładna,
Więc się mieniajmy: my oboje razem,
A w drugiej parze, szpetność z swym obrazem. —

Oni ze siebie, my z siebie szczęśliwi —
Czy zgoda? książkę coś trochę się krzywi? —

JANUSZ.

Gdzie tam! dalibóg, na wszystko się piszę —
Koncept wyborny, pierwszy raz go słyszę —
Jam twój na zawsze —

JOASIA, odejmując różę z piersi.

Żegnaj kwiecie róży
Panieństwa godło! nie wolno cię dłużej
Nosić przy sercu —

JANUSZ.

Roskosz nad rokosze!
Kto pierwszy ten kwiat uszczknie — daj go, proszę —

JOASIA.

Będiesz mię kochał?

JANUSZ.

Anielska istoto!
Spojrzyj mi w oczy i nie pytaj oto.
Ty jedna jesteś z niewieściego rodu,
Coś mi przytknęła do ust czarę miodu,
Gdy inne samą poły goryczą;
Istne szatany, pod maską zwodniczą!

JOASIA.

Więc się nie zmienisz?

JANUSZ.

Nigdy! pójdź na łono —

JOASIA, odpychając.

Nie teraz —

JANUSZ.

Kiedyż?

JOASIA.

Później.

JANUSZ.

Pójdź —

JOASIA.

Nie.

JANUSZ, wyciągając ręce za odchodzącą.

Żono! —

Patrzcie! ot znikła. — Jak ptaszek na lepie
 Uwiążłem teraz — skrzydełkami trzepię —
 (Joasia żegna go ręką, i wybiega.)

SCENA SIÓDMA.

JANUSZ, sam.

Ha, moje Panie! składacie broń wreszcie —
 Psotą za psoty odpłacam niewieście:
 Z dwiema się żenię, cóż szkodzi wziąć trzecią? —
 Najlepszy sposób połapać je siecią
 Ich własną, naraz, jak stado przepiórek:
 I puścić wolno, podskubawszy piórek —
 O śmieszneż sceny zajdą w tym dramacie:
 Gdy wszystkie wpadną, zawołam: ot macie
 Waszego męża! dzielcie się. — Toż krzyku,
 To gadaniny jakby na sejmiku;
 Ta rwie do siebie, ta sobie przywłaszcza —
 Owa jak Pani w domu się rozgaszcza.
 Prawa cytują, pamiątki i listy;
 I rozrywają. — Polski rozbiór czysty —
 Pocieszne sceny! — To sęk jak się skończą?
 Przecież choć z jedną ślubny mię połączą —
 Mam w czem wybierać. — Czegoż się kłopotam?
 Myślmy o dzisiaj — a jutro? — Ej co tam! —

(Otwiera okno, słyhać muzykę.)

Tam na dobre hulają — grzmi mazurek;
 Ten zgiełk mię znudził, dla tego, jak nurek
 Za zwierciadlane szyby główkę skrywszy,
 Z czarodziejkami memi tum szczęśliwszy.

(Dzwoni.)

Jest tam kto?

POKOJOWIEC.

Jestem — co Jasny Pan każe?

JANUSZ.

Stary książkę czy wesół?

POKOJOWIEC.

W pierwszej parze
 Szedł niedawno polskiego — teraz drzemie.

JANUSZ.

A goście? —

POKOJOWIEC.

Goście skaczą w boże imię.

Oj, też na tego wszczęła się hulanka;

Zapewnie będą szaleli do ranka

Podług starego polskiego zwyczaju.

JANUSZ.

Dobrze! poddawać czaju i tokaju —

Zgoła wszystkiego w co starczy piwnica.

Słyszysz — ktoś puka —

POKOJOWIEC, idzie ku drzwiom.

Ach, to zakonnica

Jakaś w maseczce — czy wpuścić?

JANUSZ.

Wpuść zaraz —

Z odwiedzinami temi mam ambaras.

SCENA ÓSMA.

JANUSZ, FANI w ubiorze zakonnicy.

JANUSZ.

Tyżes to Fani? ledwo oczom wierzę!

FANI, smutnie.

Wszak nie myślałeś o mnie — wyznaj szczerze.

JANUSZ.

Gdzie tam nie myślał! mam dowody —

FANI.

O nie!

Tyś już zapomniał; czas tak prędko chłonie!

Pamiętki —

JANUSZ.

Nie bluźń świętościom pamiętek.

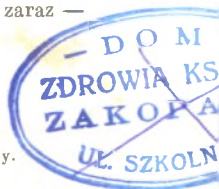
Ty mi zapelniasz każdy serca kątek —

Jażbym zapomniał?! Zapytaj jelenia,

Czy mógł zapomnieć kryształów strumienia,

W których się chłodził i poił w upały?

Któż, jeśli nie ty utulałaś szaleń



Moje młodziencze? kto ustek uśmiechem
 Mógł mię uczynić wszystkim — nawet mnichem?
 Kto niewidomie świecił w moich krokach?
 Kto zgasił, i w czarnych pogrążył mię mrokach,
 Żem jak pustelnik ujrzał się wśród boru —?

(Po chwili milczenia.)

Zkądże przybywasz Aniele?

FANI.

Z klasztoru.

Rok się modliłam, a rok przeplakała —

JANUSZ.

Jakie dzieciństwo!

(Z uśmiechem.)

Aha, ptaszko mała,
 Trzebaż ci było wpaść do takiej klatki?

FANI.

Ach! ty się śmiejesz? —

JANUSZ.

Czem rosa na kwiatki
 A deszcz na wiosnę, tem są dziewcząt płacze.
 Ja uśmiechem ból wyrażam i rozpaczę;
 Kto wie, czy nawet nie śmiałybym się w trumnie.

FANI.

A toż nie rozpacz Januszu, gdy u mnie
 W piersi wciąż kipi pożar pod popiołem?
 Gdy zawsze jedna myśl wisi nad czołem,
 Jak ta zasłona? Śmierć zasłonę zdziera,
 Ale myśl taka nigdy nie umiera.
 Jam tę myśl grzeszną truła, jak robaka,
 Modlitwami, postami — moc jej taka
 Że nie zgorzała by i w ognjach stosu,
 Jak Salamandra. — Jam z wyroków losu
 Przykuta do cię — — Cóż, choć piekłem straszą?
 Świętokradzkiej miłości nie przygaszą.
 Nigdy! Bo jako światło dzienne oku,
 Cień w upały potrzebny, wiosna w roku —
 Takeś ty dla mnie światłem, wiosną, cieniem,
 Wszystkiem na ziemi; za ziemią — zbawieniem.

I mnież to straszyć potępieniem za to,
 Że Bóg mieć nie chce za klasztorną kratą
 Serca, gdzie tylko ty jeden panujesz! —
 Więc bierz co twoje —

JANUSZ.

Dziękuję —

FANI.

Dziękujesz?

O, za mało Januszu — dar ubogi!
 Chciałabym być królową, pod twe nogi
 Podesłać trony —

JANUSZ.

Dość posiadać ciebie;
 Miłość i piękność o wodzie i chlebie
 Więcej warte niż trony. Peru złoto,
 I kulę ziemską oddałbym z ochotą
 Za tę okrągłość twych piersi, Aniele!
 A owe krzyki świata, wielkie cele,
 I szumne słowa romansowych główek,
 Wierz mi, za kilka nie wystarczą słówek,
 Któreś wyrzekła półgłosem w tej chwili,
 Drżąca, jęcząca, jak dziecię gdy kwili — —
 Ty mi o tronach mówisz? co mi trony!
 Odejmij miłość — jak wulkan zgaszony,
 Będę posepny, stał pośrodku ludzi;
 Żaloba moja i łzy nie wyłudzi,
 Bo gmin osądzi: szczęśliwym być musi,
 Ma takie dobra na Litwie i Rusi! —
 A przecież Fani, w zbytkach, w szczęściu takim,
 W porównaniu do ciebie, jam żebrakiem,
 Co nawet na skroń włożyć ci nie może
 Djademu z gwiazdek co tam ślnią na dworze —

FANI.

O, tyś tak dobry!

JANUSZ.

Ja zaś? dobroć fraszka —

Lecz kocham —

FANI.

Kochasz? Ej czy nie igraszka? —

JANUSZ,

Kocham nad życie!

FANI.

Mów, mów bez ustanku,

Mów że mię kochasz — z twoich ust kochanku

Niechby ten wyraz padał wieczność całą,

A i wieczności byłoby za mało —

Wielkie uczucie sięga tak daleko!

Jednak Januszu, ty nie mógłbyś lekko

Mego honoru ważyć. — W świecie żyjem;

Ostrych pocisków wzgardą nie odbijem —

Ożeń się ze mną —

JANUSZ, do siebie.

Oho, na co kroi —

FANI.

Wyższa kobieta o ten zgiełk nie stoi,

Co go imieniem opinii ochrzczono —

Czy ją kochanką tam nazwą, czy żoną,

Dla niej uczucie na wszystko wystarcza.

Jednak małżeństwo, przyznaj, silna tarcza —

Ona pleć naszą od podejrzeń broni!

I, jakoś lepiej, kładąc dłoń na dłoń,

Z czołem wzniesionem w górę na świat wchodzić.

JANUSZ, zalotnie.

Co słyszę? — ty mię chcesz rączką nagrodzić?

Takiego szczęścia serce nie przeczuło!

Dzisiaj nas jeszcze ksiądz powiąże stułą —

FANI.

Czy pewnie?

JANUSZ.

Widzisz — ot podarek ślubny.

(Wskazuje na wyprawę.)

FANI.

Jako? tyś myślał?

JANUSZ.

Mąż nie samolubny

Myśli o wszystkim. Na dowód — patrz! mitry
 Nasze książęce wyszyte. — Znów cytry
 Apollinowe; pochodnie i strzały
 Kupidyna, Hymena arsenały —
 Haft symboliczny, stosowny do osób.
 Teraz kochanie do ślubu się sposób:
 Zrzuc te żaloby, te kwefy — i strojem
 Zabłyśnij świetnym, a przy sercu mojem
 Gdy wejdiesz na bal wszystko zgasisz sobą:
 Rywalki zbledną, młódź padnie przed tobą,
 I, okrzyk pójdzie: Żona, żona księcia —
 Aż tak być piękną, to impertynencya! —

FANI.

Twoja miłość, Januszu, z martwych wskrzesza. — —
 W oczach mi ćmi się —

JANUSZ.

Niech cię to nie mięsza —
 Śpiesz się i wracaj — każda chwila droga.

FANI.

Wprzód Bogu oddam, com wzięła od Boga;
 Ażebym twoją była bez podziału —
 (Odchodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otóż dotarłem i do ideału! —
 Tę czarodziejkę kochać muszę dłużej
 Niż wszystkie inne, tak serce coś wróży.
 Krzyczą na mnie, żem wietrznik; jaka brednia! —
 U mnie znajomość kobiet niepoślednia;
 Do każdej mówię z czuciem, z ślepą wiarą:
 Przyjdzie inna, i pierwsza zda się marą,
 Zimnym szkieletem, który duszę ziębi —
 Tak, jedna drugą wypycha z tej głębi,
 Co ją zwą sercem. — Wina w tem przyrody,
 Czemu nie rozdzieliła równo skarb urody?

Czemu wydała tyle, a tyle odcieni,
 Że człek zwarjuje wprzód, nim się ożeni —

(Wechodzi murzyn.)

Cóż to za djablę czarne, jak z komina?
 — Od kogoś? zaczęm? — Widzisz poganina!
 Ani się słówka domacać — czyś niemy?

(Murzyn oddaje mu bilet.)

Ha! masz bilecik? — zaraz się dowiemy —
 Czytajmy: Zulma, Palmiry królowa —

(Do murzyna.)

Prosić! — O, farsa znów karnawałowa —
 Gdzieżby to ona?! wprowadziem znał tę Panię
 Kiedym z Rzewuskim jeździł po Libanie;
 Zaszła tam mała intryga w haremie —
 Już od tych kobiet uciec mi pod ziemię —
 Otóż i ona sama — to zabawnie! —

SCENA DZIESIĄTA.

JANUSZ. — KRÓLOWA PALMIRY.

KRÓLOWA.

Z pustyni, gdzie słońce pali nas ustawnie,
 Gdzie wiatr, koń, arab żyją pobratani;
 Zielona palma na stepie sułtani —
 Ztamtąd przyciąga moja karawana.
 Jak owa niegdyś Saba rozkochana,
 Rzuciłam namiot, stada kłaczy śnieżnych,
 Chłodną krynicę na stepach bezbrzeżnych.
 Wszystko dla ciebie — dla jednej kropelki
 Miodu ust twoich —

JANUSZ, kłaniając się.

Zaszczyt dla mnie wielki!

KRÓLOWA.

Długom się biła po morzach i lądach,
 Goniąc za tobą na moich wielbłądach,
 Więcej od roku. Nawet przez gazety
 Kazałam wszędzie zapytywać, gdzie ty?
 Szczęściem w Hamburgu dostałam języka —

JANUSZ.

Pewnie u mego bankiera Icyka —

KRÓLOWA.

Tak, coś podobnie. — Tam mi powiedziano:
 Że mam na północ jechać, gdzie nieznana
 Znajdę krainę, na której tyś księciem —
 A więc się puszczam z stałem przedsięwzięciem
 W te wasze bory. — Jadę bez ustanku
 Zrana do nocy, od nocy do ranku,
 Aż po nad czarne puszcze jodłowych ściany
 Błysnął mi pałac twój, jak namiot szklany! —
 To, co ci mówię, wszystko prawda szczerą:
 Pożar miłości nie łatwo zamiera
 U córek słońca; kto go raz obudzi,
 Niechże go wzajemnością, lub krwią studzi —

JANUSZ, do siebie.

Z nią widzę, nie przelewki — gardłem straszy:
 Zapewnie nie jednemu łeb już zdjęła baszy.

KRÓLOWA.

Teraz, mój książę, obyczajem wschodu,
 Przywożę dary godne twego rodu:
 Purpurę Tyru, kadzidło i mirę,
 Wonne balsamy — w bryłach złoto szczerę —
 Wszystko, w co obfituje ziemia nasza —

JANUSZ, do siebie.

Hm! podarunki jakby dla Messyasza.

KRÓLOWA.

I więcej jeszcze — jeżeli ci to gwoli:
 Niechaj nas związek małżeński zespoli.
 Oto masz rękę —

JANUSZ.

Wdzięcznym uniżenie;
 Ale ja dzisiaj z czterema się żenię.

KRÓLOWA.

Tylko?

JANUSZ.

Czyż nie dość?

KRÓLOWA.

Cztery — brdzos a kromnie. —

JANUSZ.

Z tem wszystkiem tego zabrały się do mnie.

KRÓLOWA.

U nas, na przykład, Pan, jak ty bogaty —
Gdy sto żon nie ma — jeszcze nie żonaty.
Liczba okrągła: sto, przyjęta wszędzie.

JANUSZ, do siebie.

Przynajmniej niezazdrosna.

KRÓLOWA.

Jakżeż będzie

Z nami Emirze?

JANUSZ.

Nie wiem. Sam się waham.

KRÓLOWA, w gniewie.

Nie wiesz? czy chciałbyś może jak Abraham
Niegdyś Agarę — i mnie wygnać z domu?

JANUSZ.

Kto? ja, królowo! Nikt takiego sromu
Nie doznał u mnie. — Owszem chcę cię zawsze
Posiadać —

(Na stronie.)

Wprawdzie, cerę ma żółtawszą
Niż nasze damy. — Ha! wino klimatu. —
Zresztą, cóż szkodzi imponować światu;
Że na mym stole zawsze nowalijka:
To ładne oczki, to buzia, talijka —
A dla odmiany dziś smagła Azyatka —
Jeszcze królowa — o, nie lada gratka! (głośno)
Kocham cię Zulmo!

KRÓLOWA.

O, kochaj Emirze!

Jam porzuciła mój pałac w Palmirze
Kraj najpiękniejszy, niebo tak przejryste!
Wszystko dla ciebie. — Bo gdzież jak ojczyste
Pustynie nasze? gdzie milej dzień zchodzi?
Palma cień daje, wodotrysk cię chłodzi —
Śród głuchej ciszy gada duch stepowy —
Step, niebo, woda — dramat trzy aktowy

Gra się przed tobą; a na tle dramatu
 Cedry Libanu, góry Araratu;
 Minarety, jak strzały w niebo biegną —
 Koczujące namioty step zalegną —
 A gdy przykryje wszystko noc swem skrzydłem,
 Jak kadzielnica z woniącym kadzidłem
 Zda się ta ziemia przed Allą kołysać! —
 Tyś ją nie poznał dobrze — ty wysyssać
 Z moich ust musisz miłość ku tej stronie —

JANUSZ.

Zgoda, więc jedźmy!

(Podchodząc ku drzwiom.)

Hej! założyć konie!

Pojedziem razem, będziemy królować.

KRÓLOWA, z niedowierzaniem.

Zwodzisz mię — ?

JANUSZ.

Z uczuć nie umię żartować.

KRÓLOWA.

Mogęż polegać?

JANUSZ.

Jakby na Zawiszy —

KRÓLOWA.

Idę — mój Emir o mnie wnet usłyszysz —

Pełnymi żaglami okręt tu zawinie —

Twoim Świtezieniem wszędzie się dopłynie.

(Odechodzi.)

SCENA JEDENASTA.

JANUSZ, sam.

Co? Co? Świtezieniem do Arabii — brawo!

Jeografia jak widzę została na prawo —

Z tem wszystkiem trzeba jechać. Traf nad trawy!

Awans na króla — w kąk książęta, grafy. —

Ja król! nad owym rajem, kędy Ewa

Blondynka, owoc uszczknęła ze drzewa;

Kędy się romans najpierwszy odgrywał — —

O tam ja zawsze myślą ulatywał,

Tam, od ojczyzny, od ludzi z daleka
 Jak odwrócona w biegu swoim rzeka,
 Chciałem dni resztę przeżyć jak Beduin
 Pośród pustyni — jak Wolnej wśród ruin
 Dumać nad państw upadkiem — farysować.
 Teraz, mogę to wszystko — i królować —

(Bierze gitarę i śpiewa.)

Witaj ziemio czasów, snów,
 Pierworodna Boga córo!
 Przy twem słońcu tu ponuro —
 Zimny kraju bywaj zdrów!
 Hej majtkowie, nuż do żagli!
 Leć okręcie naglej, naglej!

Cudnie tkany perski szal —
 Cudniej życie wśród haremów:
 Myślą głowy nie łam, nie mów —
 Tylko śnij, i lulkę pal.
 Hej majtkowie nuż do żagli!
 Leć okręcie naglej, naglej!

Sto odalisk czeka tam
 I rzezańców czuwa dwieście —
 Georgianki, do mnie! pieście! —
 Na was sto, ja tylko sam.
 Hej majtkowie nuż do żagli!
 Leć okręcie naglej, naglej!

(Przerywa śpiewanie — słychać bicie zegaru.)

Północ! wnet ślubne zapłoną pochodnie —
 W tylu sprzecznościach postawię się godnie;
 Wszystkie zaproszę z sobą do Arabii:
 Wielość żon, czucia mego nie osłabi.
 Tem bardziej, jeśli zaręcę solennie,
 Że każdej rzucę chustkę raz codziennie —

(Słychać zgiełk.)

Cóż tam za rozruch?

POKOJOWIEC.

Panie, dziwowisko
 Wielkie się stało! — Świtez zalał wszystko —

Aż na wschody zamkowe fala bije!
 Takiego wód wezbrania nikt, jak żyje,
 Nie pamięta —

JANUSZ, wesoło.)

Więc morze mam u proga —
 Okrętu czy nie widać? —

POKOJOWIEC.

Ej, dla Boga!
 Pan się cieszy, gdy wszystko w takim strachu;
 Większa połowa gości już na dachu;
 Stary książę się modli. — Spojrz pan w okno,
 Ujrzysz, jak szczyty topól w wodzie mokną!

JANUSZ, otwierając okno.

Prawda! widok wspaniały! W Neapolu
 Taki sam miałem: Te góry w półkolu,
 Tam znowu drzewa, by maszty w zatoce;
 Tylko noc insza — o, nie masz jak noce
 Włoskie —

POKOJOWIEC.

Ale poddani! — cóż z biednymi
 Stanie się? — wszystko tracą —

JANUSZ.

Patrz! pełnemi
 Żaglami okręt ku nam prosto pędzi —
 Na przodzie para miłośnych łabędzi
 Zda się powozić moją narzeczoną.

POKOJOWIEC.

Panie! to czary — po wodę święconą
 Biegnę —

JANUSZ.

Zaczekaj! — daj mi płaszcz i szpadę,
 I złota kiesę — do Arabii jadę.



SCENA DWUNASTA.

(Kolumnada pałacowa. — Widok na obszerną przestrzeń zalaną wodami.
Mężczyźni i damy w strojach balowych.)

KSIAŻĘ, klęczy z krzyżem w ręku.

Panie! przemień to, nie dla mnie grzesznego,

Ale dla ludu. — Spuść korab' Noego —

W imię tej świętej okruszyny krzyża,

Przemień o Panie! —

(Pokazuje się żagiel na horyzoncie.)

WIELE GŁOSÓW.

Cud! okręt się zbliża!

KSIAŻĘ.

Widzicie, Pan Bóg wysłuchał modlitwę —

WIELE GŁOSÓW.

Hola ho! bywaj! —

GŁOS.

Kto wie? może bitwę

Przyjdzie nam staczać! — szkuta coś niewielka.

SZLACHCIANKA.

Prym przed mieszczanką ma obywatelka.

SZLACHTA.

My szlachta pierwsi — reszta, jak się uda —

KTOŚ Z GMINU.

Czy Bóg dla panów robi tylko cuda? —

GŁOSY SZLACHTY.

Szlachtę ratujcie panie admirale!

Wynagrodzimy wacanu wspaniale —

Wyrobim order —

KSIAŻĘ.

Syn mój! wołać syna —

Nie dbam o siebie, byle mi dziecina

Wyszła bez szwanku.

GŁOSY.

Otóż go i mamy —

SCENA TRZYNASTA.

(Poprzedzający i Janusz w ubiorze podróżnym.)

JANUSZ.

Witam was, moi Panowie i Damy!

Witam i żegnam.

KSIĄŻĘ.

Synu! bądź tu przy mnie —

JANUSZ, cierpko.

A papa co tu robi na tem zimnie?

Kataru się nabawi! — w łóżko trzeba —

KSIĄŻĘ.

Jam się modlił — i, widzisz, dobre nieba

Zsyłają nam ratunek.

JANUSZ, biorąc się pod boki.

Co ten okręt? Cha! cha!

To narzeczona moja — chustką macha

Dając znak umówiony. Papa nie wie

Jaką to gałąź zaszczepiam na drzewie

Genalogicznem? — Palmiry królowa

Zaraz ci do nóg padnie, jak synowa —

KSIĄŻĘ.

Drwisz z ojca. — Patrzaj! Bóg kazał jezioru

Karać za grzechy —

JANUSZ.

Pod słowem honoru

Ja nie drwię, papo —

(Wskazując ku okrętowi.)

Ta pani, w djademie

Trochę przysmagła, zwyczajnie jak plemię

Arabskie, królem robi mię w swym kraju. —

I, sto żon daje podług obyczaju

Wschodniego. — Głupstwo byłoby odrzucić —

KSIĄŻĘ.

I ty byś starca nad grobem chciał rzucić?!

Jakby ci mało być polskim magnatem;

Jakby to więcej znaczył gdzieś za światem

Królik Arabski? — Przecież Dzierzanowski,
Chudy szlachetka na kawałku wioski,
Także był w Indyach królem okrzyknięty —
I dla tego porzucać Ojca? Boże święty!

JANUSZ.

Słowom dał — wreszcie jak kto chce się bawi —
Ja się bawię w królestwo —

KSIAŻĘ.

Jakżeż krwawi
Serce, ta mowa taka nie synowska!

JANUSZ, do siebie.

Patetyczny, jak gdyby rasynowska
Tragedja. — Uciąć muszę. — Żegnam Papę —
To nie jest tak daleko — patrz na mapę —
Ztąd do Stambułu — ztamtąd jednym skokiem —
Jeszcze was może odwiedzę przed rokiem.

KSIAŻĘ.

Chyba grób mój.

GŁOSY.

To przecież tak sam nie pojedzie? —
Chciałbyż nas w wodzie wymoczyć jak śledzie?

(Okręt przybija.)

KRÓLOWA, otoczona dworem — siedzi na tronie.
Mężu!

JANUSZ.

Jam gotów —

KRÓLOWA.

Wiatr dobry powiewa.

JANUSZ.

Adieu! — mój tatuś niechaj się nie gniewa.
Jeżeli łaska, daj błogosławienstwo —

KSIAŻĘ, odwracając się.

Przekleństwo synu niegodny, przekleństwo!

JANUSZ.

Książę! ta szorstkość z tonem się nie godzi.

KSIAŻĘ, wskazując na gości.

Choć tych nieszczęsnych ratuj od powodzi!

JANUSZ.

Ja sam na cudzym wózku — acz uprzejmie
 Chciałbym zaprosić, okręt nie obejmie.
 Patrzcie! jak liczny orszak. — Bądźcie zdrowi!
 Do swej królewnej śpieszyć się królowi.

(Wskakuje na okręt.)

KSIĄŻĘ.

Potwór!

GŁOSY.

Nie puśmy! przytrzymać za liny.

KILKU MĘŻCZYZN.

Do wody zdrajcę! —

KOBIEITY.

Ocal nasze syny!

I córki! —

(Okręt oddala się.)

WSZYSCY.

Odbił! — dziej się wola Boża —

Podajmy sobie ręce, nim do łoża

Wiecznego, zimna fala nas zagarnie —

(Klękają, trzymając się za ręce.)

MŁODZI.

Po hucznym balu, umierać tak marnie!

KTOŚ.

Gdyby nie ciemno, pisałbym testament.

DRUGI.

I gdyby w miejscu wody był atrament.

INNY.

Mnie już po pas zabiera —

WSZYSCY.

Giniem! giniem!

Oj, przed tą śmiercią kominka nie zwiniem.

KTOŚ.

Straszny trybunał! nie ma i patrona!

PATRON.

Gdyby się można tłumaczyć — obrona

Taka ognista w głowie mi się roi —

SZLAHTA.

Choć raz rzecznikom nie się nie okroi.



KILKA GŁOSÓW.

Cóż się tam dzieje? —

INNYCH KILKA.

Nic, jeszcze coś sucho —

I fale mniej coś szumią — jakoś głucho —

GŁOS.

Ja się boję otworzyć oczu.

DRUGI.

I ja —

INNE.

I my —

(Milczenie.)

SCENA CZTERNASTA.

(Poprzedzający. — Rybak wpada zadyszany. Księżyc świeci — wody opadły.)

RYBAK.

Hej Państwo! wielka historia!

WSZYSCY, zrywając się.

Gdzie? co? —

RYBAK.

Słuchajcie!

WSZYSCY.

Ach! morza już nie ma —

I księżyc świeci — i gwiazdy oczyma

Wszystkiemi patrzą —

KILKU.

Cud, alla Pinetty —

Jacyż my tchórze! —

MĘŻOWIE.

To tylko kobiety

W nas tak wmówiły swym płaczem i krzykiem.

KSIĄŻĘ.

Cóż się z mym synem dzieje? —

RYBAK.

Z nieboszczykiem? —

KSIĄŻĘ.

Janusz! mój Janusz! — Gadaj co się stało?

Jam przeklął dziecko; może go spotkało

Jakie nieszczęście? — może jest ratunek? —
 Lećcie, ratujcie — uderzyć we dzwonek
 Na gwałt. — To przecie przyszły wasz pan, dzieci! —
 (Pada i zakrywa sobie twarz rękoma.)

RYBAK.

Bodaj czy już nie późno! — Właśniem sieci
 Zastawił na jeziorze — i chciał do dom
 Wracać, gdy nagle coś się stało wodom,
 Że jak piwo szlacheckie buchną pianą,
 I, w koło mię obejmą banią szklaną —
 A nad głowami, jak w borze, szum słychać —
 Sam, choć pod wodą, suchym był — oddychać
 Mogłem tak dobrze jakby tutaj państwo! —
 O, pomyślałem: harcuje szataństwo!
 Jakaś w tem psota — więc zaraz się modłę,
 I pełnę — aż tu i siedzę na jodle,
 Hen, na tej, co u wzgórka. — Patrzę w koło:
 Świtez rozlał na łany, bory, sioło —
 Tylko sam jeden dwór, wśród wód bieleje —
 Ot koniec — myślę: Pan Bóg świat zaleje! —
 Gdy w tem — a ciemno było jakby w jamie —
 Jasność się stała, fala się rozłomie
 I łódź — nie, korabl, jak w Memlu, lub Rydze,
 Tylko złocistszy, tuż przed sobą widzę.
 Takiego statku, nikt jeszcze, jak żywo
 Nie widział na Świtezi. Szedł leniwo,
 Toż mogłem się przypatrzeć: — Na pokładzie
 Stał nasz panicz i z panną jakąś — w zwadzie
 Być musieli, bo panicz tak się zżymał,
 Nawet nóż, czy pistolet w ręku trzymał,
 I groził. — Panna miała skry w żrenicy,
 A śmiech na ustach. Rzekła: «Do łożnicy
 Chodź mężu — zaprzysiągłeś — —!» Ręką skinie,
 A okręt zaraz porwały głębinie,
 Z wszystkim: z majtkami, żaglami, masztami —
 Jeno na wierzchu wody, oni sami
 Zostali się we dwoje — nie tonęli!
 Panna smukła jak topol, w śnieżnej bieli,

By srebrna rybka — w pół go obramienia
 I leci, leci, aż fala się spienia;
 Po całutkiem jeziorze kręgi pisze —
 To, jak sercem od dzwonu nim kołysze,
 Topi — wyciąga — znów topi. — Chcę krzyczyć
 Ale mi język przyrósł; i trzech zliczyć
 Nie mogłem, taki strach ścisnął za gardło —

WSZYSCZY.

I jakiż koniec?

RYBAK.

Do dna się rozwarło
 Jezioro — znikli —

KSIĄŻĘ, z płaczem.

Mój syn się utopił! —

KTOŚ.

Ten człowiek bredzi, w karczmie się zakropił —

RYBAK.

Jam trzeźwy.

KILKU Z DOMOWNIKÓW.

Prawdę gadaj! —

RYBAK.

Bogiem klnę się —
 Jutro wam na brzeg woda go wyniesie.

KTOŚ.

A narzeczona-ż księcia uszła zdrowa?

RYBAK.

Piękna mi narzeczona! Niech Bóg chowa
 Od takiej, nas każdego —

KTOŚ.

Przecież z ganka
 Widziałem ją: Królowa —?

RYBAK, z przerażeniem.

Świtezianka!!

WACHMISTRZ JASZCZÓŁD.

OPOWIADANIE

STAREGO WIARUSA.

Z KAMPANII 1809 ROKU.





I.

Co to dzisiejsza młodzież! wstyd mospanie
I spojrzeć na nią. — Za Bonapartego
To mi to szkoła, jakie wychowanie!
Wszystko musiało iść na upartego;
Gdzie przykład dobry i tchórz twardo stanie,
I nikt nie pyta: a dokąd? dla czego? —
Było też dobrych komendantów,
Nie pieczeniarzy, w miarę adjutantów.

Kiedy bywało wystąpią rejmenta,
To aż strach spojrzeć: same stare wygi!
Ten Pułaskiego ruchawkę pamięta,
Ów kresę dostał nad brzegiem Adygi,
Tego zna Egipt, owego przekłeta
Ziemia murzyńska, kędy rosną figi:
Zgoła na twarzach miałeś jeografią —
Oho, dzisiejsi tego nie potrafią.

I nie potrafią hulać, jak hulano:
Proszę, kiedy to weszło się do miasta,
Byleś raz zerknął, byleś zgiął kolano,
Wnet do ułana przylgnęła niewiasta —
A szampan lał się, a złotem sypano;
W miłości i przy kartach nigdy basta — —
Prawda że było cokolwiek rozpusty,
Lecz chudy kłapnie, gdzie ledwo zchudł tłusty.



Spytajcie tylko co to się nie działo
 W roku dziewiątym, kiedy do Galicyi
 Wkroczył Kamiński: choć miał garstkę małą,
 Pierzchnęli Szwaby nawet nie pobici.
 W trzydzieści koni Lwów się odebrało;
 Na pospolite ruszenie szły wici;
 Biegło co żyło — i stawały pułki
 Z obywatelskiej mospanie szkatułki.

Duch narodowy nie krył się po dziurach,
 Lecz jawnie chodził z krakuską na uchu —
 Nasz biały orzeł złościł się na murach —
 W chatce, w pałacu, co życia, co ruchu!
 Oj, na wołowych nie spisałyby skórach,
 Co to wyrabia naród nie w łańcuchu!
 Ziemia się innym zda toczyć obrotem.
 Dziś jeszcze zawrót czuję, myśląc o tem.

Boć krotochwile zapustne to były
 Z tymi Szwabami: nasze chorągiewki,
 Jak wróbli, samym szmerem ich straszyły,
 Resztę wymiotły przekupki i dziewczki.
 Gdy tylko żołnierz ufa w święte siły,
 Wzrokiem zabija, proch zdmuchnie z panewki,
 I, jak pod Jeną klusem szarżę utnie;
 Nie dobywszy pałasza, tnie okrutnie.

Ztąd też fantazya niezmierna w żołnierzu,
 Honor, ambicya do głośnego czynu:
 Dzieciuch, co jeszcze nie porosnął w pierzu,
 Szedł jak na spacer na szczyt Apeninu —
 A z Ojczenaszem przy każdym pacierzu,
 Modlił o Polskę i o liść wawrzynu,
 W postaci krzyża legii honorowej —
 Czy to szał nie był, ani romansowy.

Z pomiędzy wielu przykładów a wiele,
 Jakie od ojców pewnieście słyszeli,

Dość wspomnieć jeden, mego przyjaciela
 Pana wachmistrza Jaszczółda. Wiecie-li
 Gdzie jest Tarnopol, a gdzie Zagrobela?
 Miasto od wioski staw i grobla dzieli;
 Więc w tej ostatniej, Szwab zewsząd przyparty,
 Oszącował się działami i warty.

I tchórz odważniej wygląda z za ściany,
 Rzecz to wiadoma — a pola tam czyste
 Masz na Podolu; łąny, same łąny —
 Niepodobieństwo zatem oczywiste
 Ażeby okop miały brać ułany,
 Chociażby zuchy były tak sierdziste
 Jak ci, co Zamość brali; więc nie brano,
 Tylko harcami wzajem się nęcano.

Wojenka taka prędko w niesmak da się
 Nowozaciężnym, a zwłaszcza ruchawce;
 Człek się nie wyśpi, koń się nie napasie,
 A guza często oberwiesz przy sprawce;
 Tymczasem Niemiec zawarty w tarasie
 Rad wypoczywa przy piwku i kawce —
 A wpaść na oślep — byłaby ryzyka,
 Przegrasz — na zawsze zrazisz ochotnika.

Otóż pan Jaszczółd wachmistrz szwadronowy,
 Zuch zawołany, dawny legionista,
 Jak zaczął chodzić po rozum do głowy,
 A kląć do milion beczek i do trzysta,
 Tak uknuł fortel — i mając gotowy,
 Nie rzekłszy słówka nikomu, korzysta:
 Trzech sprawnej wiary bierze do pomocy,
 I gdzie? nie wiedzieć, wyjeżdża śród nocy.

Że nie powiedział starszynie — czcze baśnie!
 Jaszczółd mospanie znał regulamina:
 Znał że zasługa najpiękniejsza gaśnie,
 Jeżeli żołnierz reguł zapomina.

On by szefowi nie rzekł nic? — o właśnie!
 Taki tryb karcą nawet u Turczyna;
 A cóż dopiero w armii regularnej —
 Na cóż wojskowy sąd, lub kodeks karny?

Sam to widziałem, jak o ciemnym mroku,
 Trzech, co najtęższych wybrawszy z szwadronu,
 Kładł im do głowy coś długo na boku;
 A zgadłem z ruchów, postawy i tonu,
 Że to nie fraszka — — Podsunąwszy kroku,
 Widzę jak powróż dobywał z furgonu.
 Potem opatrzył oba pistolety,
 Na koń! i milczkiem przemknął przez widety.

Tu już naocznym przestaje być świadkiem,
 A opowiadam słowa bohatera
 Onej wyprawy; wątpię czy mu rzadkim
 Dowcipem sprostam; tem więcej, że ściera
 Czas owe rysy i powłóczy gładkim
 Jakimś pokostem — wszakże prawda szczera
 Zostaje prawdą, choć barw traci wiele,
 Jako kazanie miane nie w kościele.

II.

Jeszcze jak suseł zasypiał w baraku,
 Kiedy pan Jaszczóld nazajutrz wszedł do mnie,
 Zbudził — jam spojrzał w oczy nieboraku:
 Jakoś patrzyły ponuro i sromnie —
 I zaraz zgadłem, że coś nie do smaku
 Wypaść musiało. On zaś: — Tu kalomnie
 Na mnie puszczają! Jak psom we łby strzelę;
 Śliczni koledzy, śliczni przyjaciele!

— Jakie kalomnie? pytam, co cię stało?
 Nic nie wiem. A on: — wódkę masz? do ciebie!
 Nawzajem! — Łyknął aż oko zbiełało,
 Usiadł, i gniewny mruzczał sam do siebie: —
 Głupstwo! ażeby było się udało,
 Toby równego nie było mi w niebie!
 Żem podrwił, zaraz cały rejment w drwinkach,
 Brał i Napoljon czasem po tybinkach.

— Tylko wyobraź sobie poruczniku —
 Zaczął poważniej i głosem zmięczonym,
 Lulkę zaćmiwszy, która na guziku
 Zawsze wisiała z kapczuchem czerwonym —
 Wyobraź sobie, cobyś o młodziku
 Myślał szalonym, lub niedoświadczonym,
 Gdyby się jeden porwał na szwadrony.
 Rzekłbyś: że warjat, lub niedoświadczony.

I miałbyś słusznie! Lecz cóżbyś o takim
 Powiedział, który w obozach wiek sterał,
 A który burdą nie jest lub pijakiem,
 Gdyby plan jakiś w swej głowie wyszperał,
 A wyszperawszy, cicho, jak siał makiem
 Ten plan wykonał? — Rzekłbyś: to generał
 Niepospolity — a choć pokpi sprawę;
 Że plan był dobry, jeszcze ztąd ma sławę.

Znudzon, że stoim beczynnie czas dawny,
 Mimo że Szwaby w kupę się gromadzą
 I okopują — przyszedł mi zabawny
 Koncept: niech starsi nad mapami radzą,
 Ja nad fortelem; że nie mógł być jawny,
 I że go może wykonać nie dadzą,
 Więc wczoraj w nocy, zmówiwszy trzech zuchów
 Ruszam z obozu niby dla posłuchów.

Znając te strony, jakby kieszeń swoją,
 Mknąłem przez łąki i głębokie jary;

Aż naraz, widzimy, wóz i konie stoją:
 To chłop do miasta woził mandatary,
 A teraz wracał; więc powagą moją
 Zbrojną w nahajkę i wódczane czary,
 Każę mu jechać wprost na Zagrobelę,
 Choć w strachu szeptał: Oj, tam Niemców wiele!

Jedziemy milczkiem, gdyż w podolskim wozie
 Ani zdziebelka nie znajdziesz żelaza;
 Jedziem — wtem obóz, słuch puszcza, w obozie
 Cisza, jakby ich wybiła zaraza —
 Tylko gdzieś derkacz odzywa się w łożu,
 A bliżej szyldwach chrapie u przełazu —
 Skradam się — patrzę: wszystko śpi aż miło!
 W jednym okienku z dworu się świeciło.

Błogosławione światelko witałem,
 Jak gdyby panna dała mi randewu.
 Wiesz poruczniku, jak się kochiwałem,
 I dzisiaj przyznasz otwarcie, bez gniewu,
 Że w pułku sobie równego nie miałem
 W szczęściu do dziewcząt, do tańca, do śpiewu;
 A przecież nigdy serce tak nie drżało
 Jak wczoraj, gdy to światelko migało — —

Bóg wie jak długo byłbym stał jak wryty,
 Myśląc o wielkiem mojem przedsięwzięciu,
 Gdy wtem, koło mnie padł szyldwach przebity,
 I jęknął — minut nie było dziesięciu
 Już do stracenia. — Chwytam za dobyty
 Pałasz, i lecę w najkrótszym przecięciu
 Prosto ku światłu — ułanym zostawił;
 Chciałem sam wszystko sprawić — wszakżem sprawił.

Tę stronę dworu sad otaczał, przeto
 Warty nie było aż za płotem sadu;
 A ja, choć wcale nie jestem atletą,
 Wnet obliczyłem korzyści napadu:

Pewien, że w garści z taką szerepetą
Choć z batalionem, a trafię do ładu;
Więc z animuszem pod okno przyskoczę,
I widzę, jako wietrzyk niem chyboce —

Było otwarte — spojrzę: aż przy mdławej
Lampie, nad mapą Polski rozpostartą
Ślipał mężczyzna łysy i siwawy,
I jakby gniew swój wywierał nad kartą,
Kłuł ją szpilkami. — Basta z tej zabawy!
Nie chciałbym z twoją spotykać się wartą
Albo patrolem — i nie myśląc dłużej
Wpadam, jak brytan spuszczonej z obróży.

Nawet paryzka żadna baletnica
Lekce nie skoczy, jakem ja nań skoczył;
I pewnie łupu swego żadna lwica
Nie tłoczy silniej, jakem ja go tłoczył;
A choć tuż przy nim leżała krucica,
Bezsilną dłonią tylko ją powłóczył
A nie mógł ująć ni głosu wydostać —
Do śmierci będzie stała mi ta postać



Austryackiego generał - majora
Bikinga, wielu tysięcy hetmana —
Noc to pamiętna dla mnie! Takie wczora
Nie dałbym w zamian i za kosz szampana —
Więc go wyniosłem jak sieczki pół wora,
I ciężar w ręce oddałem ułana,
Który go związał, szczelnie zakneblował,
I na drabiasty chłopski wóz wpakował.

Skończywszy dzieło, już mi rozum radził
Co tchu użądzać z połowem nie lada;
Ale snąc dyabel na mnie się usadził,
Że w las uciekła pierwsza zdrowa rada.
Wracam: sad, okno, na nowom przesadził —
Jeszcze się lampa dopalała blada,

Więc rozpoczynam rewizyę papierów,
Krzyżów, sygnetów, fajek, repetjerów.

To nie rabunek, lecz prawo wojenne —
Liche zwycięztwo bez dział i bagaży!
Przytem te Szwaby bywają piśmienne,
Wożą papierów stos i kałamarzy;
Rzecz ważna, złapać raporta codzienne,
Szpiegów donosy, zgoła: co się zdarzy —
Owózem łapał co pod rękę padło,
A wszystko w kaszkiet ułański się kładło.

Już o odwrocie myślałem, gdy oto
Zegarek złoty i emaliowany
Ujrzę nad łóżkiem — pójdz i ty niecnoto!
Mówię — i tylko co zdjąć chcę ze ściany,
Z trzaskiem upada. — A wtem, z całą rotą
We drzwi się wali lejtnant rozespany,
W obozie larum słyszę: W bębny wałą,
Niechajże jasne pioruny mię spala!

Tu już nie rzemień w strachu był, lecz skóra —
Jak też szabelką zawinę się młyńca,
A poczęstuję raz, drugi, piechura,
Takem i wyparł precz na kraj dziedzińca;
A choć tył zabrać chciała Szwabów chmura,
Przecież dopadłem starego gościńca;
Przez okno, sady, rejteruję w szyku,
Śród gradu strzałów, bębnienia i krzyku.

Mój korpus z jeńcem, za stodołą skryty,
Dotrzymał placu — i duch wstąpił we mnie,
Gdym poznał w cieniu czapek naszych kity —
Narażało się, dał Bóg, niedaremnie:
Jenerał wzięty, piękny łup zdobyty!
Tak myślę, biegąc — aż wtem, jak niehremni
Szyldwach z za płota — z głowy czapkę zmiecie —
Już i nie pytam o szwabskie rupiecie.

Hazard wojenny! część łupu stracona —
 Lecz jeniec w ręku; byle dopaść szkapy!
 Dopadam — nogę kładę już w strzemiona;
 Chłopu na kuraż smolę trzy harapy —
 Lecimy — w nogach tryumf i obrona —
 Dobranoc! śpijcie panowie harcapy!
 Chiałbym zobaczyć jutro wasz ambaras,
 Gdy się bez głowy obaczycie naraz.

Wszystko w odwrocie zdawało się sprzyjać;
 Do naszych widet nie było pół mili —
 Kazałem zręcznie jarami wywijać,
 A często stawać na podsłuchy, czyli
 Pogoń nie idzie? Rzadko też popijają
 Dałem z blaszanki — — Jutro będziem pili,
 Rzekłem, za tryumf polskiego oręża.
 Jak nie pić, kiedy bez krwi się zwycięża?!r

Jak się nie cieszyć? kiedy dobra nasza:
 Dla was galonki, mnie szlifa nagrodą;
 Cesarz do gwardyi jeszcze pozaprasza —
 Tylko ty chłopie dobrze jedź, nie z kłodą
 Jedziesz to przecie! — cóż cię tam przestrasza?
 Nie bój się, od nas nie wyjdiesz ze szkodą —
 Hultaj! patrzajcie pod wóz mi się schował —
 Lancą go — z nami nie będziesz żartował.

Było to właśnie na samym zawrocie
 Z jaru na błonia — ułan, co na szpicy
 Wystrzelił — nagle skreślił ku nam w locie
 Krzycząc: że pułk nas otacza konnicy!
 Chłopek ów widać miał oczyska kocie,
 Że ich najsamprzód zobaczył w ciemnicy —
 Cóż po nim? w nogach jedyna obrona —
 Lecz z nim jeńcem liczba nieskończona —

W łeb mu wypalić! i — odwodzę kurek,
 Lecz bezbronnego zabić jako bydłę,

Tego by chyba dopuścił się Turek,
 Tego w żołnierskim nie mamy prawidle.
 Ot, lepiej wezmę, uwiążę na sznurek
 Pojedzie gładką błonią, jak po mydle —
 Czerkieski sposób — wiążę do kulbaki!
 Aż tu rotowym ogniem zagrzmia krzaki!

Ach daj go katu! tośmy w tarapaty
 Wleźli, gdzie spojrzysz, czy w lewo, czy w prawo,
 Z frontu i z tyłu sypią się psubraty —
 Umrzeć to umrzeć, byle umrzeć z sławą!
 Wiara, hej do mnie! Za broń stare chwaty!
 Jak utniem szarzę samoczwart — oj krwawo
 Gdzieś przypłacili! — nauczka na harde —
 Widzisz mój pałasz we krwi aż po gardę.

Zgoła, na sucho wyszliśmy z kąpieli,
 Na sucho bracie, choć w kwaśnym humorze;
 Łupy i jeńca wszystko kaci wzięli,
 I moją przyszłość. — W takim dyshonorze
 Trudno żyć; człowiek bądź w łeb sobie strzeli,
 Bądź gdzie braciszkiem zostanie w klasztorze.
 Hej, na frasunek! jest tam co w manierce?
 Jedyń kordyał na zranione serce — —

Łyknął — i żalów zalał się potokiem.
 Znając naturę onegoż dziwacką,
 Nie wyjeżdżałem z duchownym obrokiem;
 Aż kiedy skończył chryję desperacką,
 Wstał, niecierpliwem cisnął na mnie okiem
 I spytał: a ty, co na to? — Co? gracko
 Pan wachmistrz Jaszczóld spisał się i kwita —
 Wszystko sprzyjało — tylko konduita

Ledwiem to słowo wymówił, by wrząkiem
 Sparzon, wyleciał z mojego baraka,
 Ale nie z zemstą, ani też zawziętkiem;
 W duszy mi szczerze żal było biedaka,

Że nigdy koniec u niego z początkiem
Zgodzić się nie mógł. Natura już taka:
Rzuci się w zamiar śmiały — i osiągnie;
Cóż, kiedy w końcu przez lekkość ustrzęgnie.

Tą razą jednak tę chlubę wziął w zysku,
Że wróg przestraszony, taborem uchodził
Wciąż po bezwodnem, gołem stepowisku,
Aż pod Wieniawką znowu się ogrodził;
Lecz gdyśmy wodę przecięli w źródisku,
I gdy się Niemiec przez trzy dni wygłodził,
Kapitulował — — Wypijmyż panowie
Zdrowie Jaszczółda i wojsk polskich zdrowie!

MIMOZA.

POWIEŚĆ SENTYMENTALNA.

Ces deux personnes n'en font qu'une. Elles sont tellement entrelacées comme les deux âmes et les deux existences des deux époux, que la vie de l'un, est le contrecoup perpétuel de la vie de l'autre, et que le même événement ou le même sentiment, répercuté dans un double écho, n'y produit qu'un seul et même intérêt.

DE LAMARTINE.

I.

Nie lubię, gdy się romans zaczyna od balu;
Nie lubię heroiny wyciętej z żurnalu,
Na którą się modniarka składa i perukarz —
Bo najczęściej pod blichтром serca nie wyszukasz.
Zwłaszcza, gdy idealnej szukasz heroiny
Na szybach woskowanych, we mgłach krynoliny —
Lecz któż nie wie, jak rzadko spotkać ją w tym świecie,
Gdzie uczucia tak sztuczne, jak robione kwiecie,
Gdzie spojrzenia, uśmiechy i łzy wyklamane!
Jednakowoż bywają dusze tak wybrane,
Że żal patrzeć jak łańcuch, z pajęczyn uwity,
Przykuwa nie Maryle same, a Judyty — —

II.

Na przekor założeniu temu, moja powieść,
Chociaż nie tendencyjnej natury, chce dowieść:
Że na balu w Warszawie — — Przecudne tam bale!
Nie tylko w sam karnawał, i po karnawale
Ochota nóg się trzyma, z szlachetnej podniety,
Ażeby opisywać miały co gazety.

Otóż, na jednym balu — tak powieść dowodzi:
Był panicz i panienka — oboje zaś młodzi
I na świat wstępujący. Nie wiem czy się godzi
Nazwać ich? więc nie nazwę; lecz węzeł zawiążę
Gdy powiem: ona była pięknością, on — księżę.

Że zaś piękność — tu węzeł mój zadzierzgnę lepiej —
 Nie zawsze się na drzewie herbownej krwi szczepi,
 I nie zawsze z posagiem chodzi w jednej sforze — —
 Otóż wpadam w socyalizm! uchowaj mię Boże
 Od tej zmory, co dusi nasze powieściarze,
 I daj, niech bez tendencyi tę powieść domarzę.

III.

W potokach światła, woni, kolorów, gorąca,
 Parę tańczącą para prześciga tańcząca;
 Walc wirowaty salę jak uragan wstrząsa:
 Klarynety wciąż górz, bas niby się dąsa;
 Skrzypce, jak śpiew pastuszka w dolinie pod lasem,
 Rozlegają się echem i kłócą się z basem.
 To Strauss lubieżne tony do serca tak leje,
 Jakby napój miłosny — i wszystko szaleje. —

Girlanda tylko matron zbyt chudych, lub tłustych,
 Ustawiona pod ścianą cenzura dla pustych,
 W wysokiem nastrojeniu na kamerton cnoty,
 Przez podwójne lornetki śledzi te obroty
 Par tańczących i wrokiem pomiędzy nie wpada,
 Aż tancerka tancerza porzuca i siada.

Właśnie usiadła jedna sukienka białutka,
 Z twarzyczką, jak w mgłach księżyc lub w mleku jagódka —
 Wolę to porównanie bo nie osyaniczne —
 Słowem, dziewczę to było tak śliczne, tak śliczne —
 Lubo nie wiem, czy jasną pleć miała lub smagłą?
 Gdyż najpierwsze wrażenie bywa rzeczą nagłą,
 Jak działanie promieni słonecznych Daguerra —
 Wrażenie się przyjmuje, ale nie rozbiera.
 Najpewniej, że w niej wszystko było odpowiednie
 I w cząstkach i całości, i tak niepowszedne,
 Szczególniej ócz wyrazem, potem ust uśmiechem,
 Że zgubić dla niej duszę nie byłoby grzechem —
 Chociaż grzechem być może w tegoczesnym duchu,
 Co się rad zabezpiecza od tego wybuchu,

Przez wolne wydymanie sercowych wulkanów :
 W grze, sporcie i wożach naszych Anglomanów,
 Wychodzących z Infimy — —

Usiadła pod ścianą,

Słuchała nie słuchając, już przygotowaną
 Jakąś długą perorę, mówioną pół głosem;
 Zniosła ostre spojrzenie, rzucone ukosem — —
 Zniosła nawet — co dziw mi — na czoło zsunięty
 Promyk włosów; a wachlarz ma nierozwinięty,
 Choć po szalonym walcu chłodzić się wypada —
 Zwłaszcza, gdy pierś zmęczona wznosi się i spada
 Jak fala, co uderza o morskie krawędzie.
 Szumne to porównanie znalazłem w Ostendzie.

IV.

Gdyby tam jaki bystry dostrzegacz stał z boku
 I uważał niezwykłą odmianę w jej oku,
 Co z pod rzęsów jedwabnych długi promień słało
 W jeden punkt, tylko w jeden — bo nic nie zbaczało,
 Jak i słońce nie zbacza, patrząc w boże światy,
 Gdy odświeża je wiosną w zieloność i kwiaty —
 Pewnie by w lot pochwycił, jak wyżeł przepiórkę,
 Jakiś sekret i w serca aż zajrzał komórkę.

Szczęściem że go nie było! wreszcie trwało krótko;
 Bo oto przed pięknością, księżycem, jagódką,
 Młodzieniec wzrostem, czołem, profilem tak inny
 Od reszty, stanął przed nią; a jakiś pan zwinny
 Choć otyły, zapewne gospodarz zabawy,
 Przedstawił go, z tytułem księcia, do Warszawy
 Tylko co przybyłego —

Panna się spłoniła,

Odrzekła coś półgłosem i oczki spuściła;
 Choć pewnie weń patrzyła owem światłem duszy,
 Co widzi o mil tysiąc i co słyszy w głuszy. —
 Wszak bywają osoby o dwoistym wzroku,
 Co widzą w oddaleniu, nawet w nocnym mroku,

Lepiej niż na dniu — jest to organizm nerwowy;
 Wreszcie tak samo widzą i koty i sowy. —
 Lecz ja chciałbym tu skreślić stan dwóch serc niezwykle;
 Gdy się spotkały w tłumie i naraz przenikły
 W skutek prądów tajemnych ku sobie biegnących,
 I gdzieś się w napowietrznej drodze krzyżujących:
 Aż zawiązują węzeł, sympatyą nazwany,
 W moc którego nieznaną, już kocha nieznany.
 I zanim się ich oczy spotkają, dłoń zbliży,
 Już czują coś w powietrzu i krew bije chyżej;
 A wewnątrz się rozlewa tęsknota tak rzewna,
 Wszystkie myśli przenika harmonia tak śpiewna,
 Że co widzą, co słyszą, co dotkną — to wszystko
 Przedstawia się jak z innych światów pojawisko!
 Kwiaty lepiej im pachną, niebo błękitnawsze,
 I zieloność zieleniejsza, ludzie dobrzy zawsze
 Jak anioły — a ziemia istny raj przed grzechem —
 Można by świat spółbożyć takich serc uśmiechem!
 Lecz dobre się nie szerzy jak mór, lub cholera —
 I ten uśmiech na ustach ironii umiera!
 Cóż dziwnego, że para tak usposobiona
 Szukała się — znalazła — i w jego ramiona
 Gdy zaprosił do tańca, jak gołąbka biała
 Rozpostartemi skrzydły na piersi zleciała.
 I oboje w tłum wpadli.

V.

Próżno chcieć odemnie
 Bym opisywał, jak to walcować przyjemnie,
 Jak wonne technienie wciągać, oko topić w oku,
 I ulatywać w niebo w wirowym obłoku —
 Bo mógłbym jak raz trącić o płaską zmysłowość,
 Lub zabrnąć w Balzakową opiso-rzeźbowość,
 Z zasady rozdrabianą dzisiaj na atomy,
 Z czego treść arcy-kusa rośnie w długie tomy

I na łokcie się płaci. Ja tam tej metody
 Trzymam się, i co chwila wymyślam przeszkody,
 Zupełnie jak w gonitwach końskich z przeszkodami:
 Gdyż im dłuższa rzecz będzie, księgarz więcej da mi.

VI.

Wtem orkiestra ucięła, szmer powstał na sali:
 Ogólny szturm na biufet — —

VII.

Gdzież będziem szukali
 Pary naszej? Nie śmiałbym posadzić ich przecie:
 Przy szumiącym szampanie, truflowym pasztecie,
 W gawędce o miłości z krytycznym poglądem,
 Niemniej filozoficzno - estetycznym sądem,
 Co się często kochankom tegoczesnym zdarza,
 Że ławę namiętności leją z kałamarza.
 Tam — ich nie ma. Lecz gdzież są?

Gdzież by indziej byli
 Jeżeli nie tam, gdzie księżyc świeci, słowik kwili,
 Wody mruczą, a drzewa wieczorne pacierze?
 Zwykle piękna natura dziesiąty grosz bierze
 Z pierwszych uczuć; a zatem wniosek oczywisty,
 Że w każdym zakochanym trochę panteisty.

Zgadłem! — otóż ich widzę — w oknie. Cień firanek
 W połowie ich zasłania, a księżyc kochanek
 Znów w połowie oświeca. Podobnie ich miłość
 Teraz jasna — w przyszłości pochmurna zawilość —
 Ale gdzież im te myśli trapiące przyjść mogą,
 Gdy w tej chwili prócz siebie nie widzą nikogo?
 Bo i po cóż by mieli wyprzedzać tę chwilę,
 Gdy w niej upojen, szczęścia, zbiegło się aż tyle! —
 Cherubin przed jasnością bożą ócz nie mruży,
 Tylko mdlejąca wiara wciąż lęka się burzy.

Nie wiem co tam mówili; milczeli najpewniej.
 Milczenie się wyraża w miłości najśpiewniej
 I najgłębiej, jak cisza ukraińskich stepów,
 Gdzie niezmierna tęsknota od niebieskich sklepów
 Wieje w serce człowieka, pogrąża w zadumie,
 Że już sobie ze światem rady dać nie umie.

Milczeli — po cóż mówić, gdy wszystko do koła
 Tłumaczyło ich myśli. Włoskich topól czoła
 Kłaniały się, winszując narodzin Erosa —
 Od gwiazdek uśmiechniętych spadała rosa
 Wilgotnym pocałunkiem — róż pąkowie prysły
 I cudną woń posłały wietrzykiem od Wisły;
 A słowiczek, poeta odwieczny a nowy,
 Wyśpiewał dla nich sonet. Na cóż im rozmowy?
 Na co rozmowy, kiedy ich żrenie promienie
 Spływały się ze sobą, mięszało westchnienie,
 Usta drżały jak listki, a ściśnięte dłonie
 Gadały o najmniejszym drgnieniu serca w łonie.
 W kontemplacyi wzajemnej wszystko się zamyka;
 Jest to w sztuce miłości największa mistyka,
 O której ni Grek żaden, ni Owid nie wiedział;
 Chrześcijaństwa od pogaństwa najszerszy w tem przedział,
 Który znowu najnowsza chce godzić nauka:
 Że kto duszę posiada, ten i ciała szuka.

Jeżeli romanse grzeszą zbytnią gadaniną,
 Tedy niemy bohater, z niemą heroiną
 Tępo-by posuwali ten dramat miłosny,
 I każdy-by go cisnął, mówiąc: że nieznośny;
 Że autor niepotrzebne nasuwa domysły,
 Że i w miłości język powinien być ścisły
 Jak w algebrze; co słusznie, wszak dzisiaj kochanie
 Jakby algebraiczne wygląda zrównanie.

VIII.

Nie wiem czy książkę przecztał naszą niecierpliwość,
 Czyli też przyrodzona uniosła go żywłość,

Czy wreszcie powódź uczuć, tak nagle, jak wody
 Górskie, wśród najpiękniejszej wezbrane pogody,
 Nie mogła się pomieścić w piersi bez pęknięcia,
 Co się i malowało w rysach twarzy księcia,
 Bładych, skurczonych bolem tej wewnętrznej burzy —
 Bo się chwycił za piersi, i jęknął: och dłużej
 Milczeć mi niepodobna! — W nieaktorskim geście
 Znać było nieudane cierpienie. Nareszcie
 Przybrawszy wyraz twarzy spokojnie posępny,
 Rzekł: —

O przebac mi pani! jeżeli występnym —
 Jeżeli cię śmiałością moją mógł obrazić!

Tyś wybrana i święta — a czyż mógłbym kazić.
 Choćby cieniem złej myśli anielskość dziewczęcą?

Ku tobie mię coś niesło siłą tajemniczą —

O mil tysiąc przeczułem, że ktoś mię tu czeka

O mil tysiąc wiodła mię jakaś postać lekka,

Jak we śnie, kiedy człowiek po powietrzu lata.

Z tych słów wydał się książę, że jest dyplomata,

Bo odgadł sytuację, w którą go rzuciła,

Od wszelkiej dyplomacyi potężniejsza siła.

A że w tem odgadnięciu i ona postrzegła,

Jak się w jednym uczuciu z kochankiem swym zbiegła;

Więc milcząca, ku ziemi spuściła powieki.

— Pani! mówił znów książę, twój jestem na wieki!

Jedno mgnienie rozstrzygło, namysłu nie trzeba;

Bo czuję, że się na mnie spełnia wyrok nieba —

Nie wiem jakie przeszkody świat pod nogi ciśnie,

Lecz wiem, że łańcuch świętej przysięgi nie pryśnie;

I cokolwiek tu spotka, ślubów mojej duszy

Ludzie mogą naruszyć, niebo nie naruszy.

Ażebyś nie myślała, że w mózgu się pali

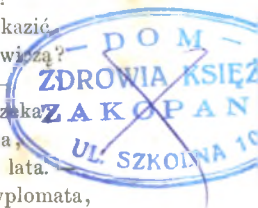
Szałencowi — daj mi tę gałązkę konwali;

Będzie to moich przysiąg świadek, i zadatek

Wzajemności twej, pani! — O daj mi ten kwiatek!

Położę go na sercu: gdy to bić przestanie,

W niego przejdzie nadzieja moja i kochanie,



I wonią mówić będzie, niż ja mówię tkliewiej,
 Że choć tu nieszczęśliwi, tam będziem szczęśliwi! —

Zapomniałem z początku, kiedym te osoby,
 Wyprowadzał na scenę, wymienić ozdoby
 I znaki szczególniejsze: kolor sukni, włosów,
 Czy w nich był powój, fiołki, lub girlanda z wrzosów;
 Jaka tusza, nos, usta jakiego rozmiaru?
 Do pisania paszportów widać nie mam daru.

Chcąc jednak to naprawić, potrzebna jest wzmianka,
 Że w jej włosach świeciła konwalii równianka,
 I że kilka gałązek, uciekłszy z szeregu,
 Leżało na jej szyi jak płateczki śniegu.
 Otóż do tych to zbiegów książę miał przemowę,
 I żądanie przy wstępie trochę romansowe,
 Co chyba wytłómaczy ta jedna uwaga:
 Że na wstępie szczególniej popłaca odwaga,
 Zwłaszcza kiedy tak jedna jak druga osoba
 Czuje pociąg i jedno w drugim się podoba.
 Jakoż książę zgromiony nie był; lecz przeciwnie,
 Słodko się uśmiechnęło dziewczę, i naiwnie
 Podało mu uszczkniętą konwalii gałązkę —
 Nie jak ów, co to znalazł zgubioną podwiązkę,
 I aktem komedyanckim dar skompromitował:
 Ona dała pamiątkę, a książę ją schował.
 Wszystko to się odbyło prędzej niż w tym rymie;
 A w takiej tajemnicy, że nawet jej imię
 Nie biegało po sali rzucone przez ciocię,
 Pytającą: gdzie Kocia? kto mi porwał Kocię?
 Pewność tę jeszcze lepiej ten wzgląd udowodni,
 Że ludzie się nie trudnią drugimi gdy głodni —
 Szczególniej, gdy zastawne czekają ich stoły.
 Wyjątkiem od reguły jest: głodny, a goły.

IX.

Cóż dalej? czytelniku zapytasz wraz ze mną —
 Cóż dalej? przyznam ci się, że dalej dość ciemną

Podano mi legendę, niby kropel kilka,
 W których może się zmieścić i pasterska chwilka,
 I balkonowe sceny Romea z Julieta,
 I porwanie klasztoru, i podróż karetą:
 Pogoń, odbicie, scena z zagniewanym tatą,
 Jakimsiś kontuszkowym zaciętym Sarmatą,
 Co się na sentymentach nie zna ani trocha,
 Co myśli, że dość kazać — a serce pokocha;
 I nawzajem, że grzechem kochać bez rozkazu —
 Słowem, tysiąc scen, rysów do tego obrazu
 Mógłbym brać, aby wypchać ten środek, jak ptaki
 Wypychają, w żołądek kładąc sierć lub kłaki —
 Aż ptak będzie jak żywy, tak złudną z piór szata;
 Lecz w tem sęk, że nie śpiewa, ani też nie lata.
 Te wszystkie kombinacje, jak panny do wzięcia,
 Przeciągały przedemną; lecz nic przedsięwzięcia
 Nie zmieniało mojego. Dwa skrzydła motyle
 Dano mi, więc je razem ze sobą zeszpilę,
 A o kadłub już mniejsza — bo cóż po kadłubie?
 W motylu każdy skrzydła lubi, i ja lubię.
 Tak samo i w powieści: gdy początek dany
 I koniec — to już mniejsza czem kadłub wypchany.
 Zresztą, źle jest wszystkiego naraz się wygadać;
 Co braknie, czule dusze mogą podokładać.

X.

Cóż robi nasza piękność po owym wieczorze?
 Co może: — A co książę? On również co może.
 A zatem nic nie robią oboje. W tym szale
 Wiele się wzdycha, marzy, przemyśliwa; ale
 Zwykle nic się nie robi; bo i robić trudno
 Gdy w samotności gwarno, a w gwarze bezludno;
 Kiedy jedno za drugim po obłokach goni,
 Szuka w kwiatkach i trawkach, gdzie igra Favoni,
 Bożek, którego tutaj wskresilem dla wiersza;
 Restauracya klasyczna, zaiste niepierwsza —

Wszak ktoś tam o klasyków warszawskiego księztwa
Nie darmo tyle kopij skruszył — bez zwycięstwa.

Otóż choć się szukają zrazu gdzie ich nie ma,
Choć miłość taką próbę dość długo wytrzyma,
Jednakowoż ból serce ugniata jak zmora:

Księżę się rozchorował, i ona też chora — —

Choroba jest potrzebna jak burza w naturze —
Serce jeżeli nie pęknie, wzmocni się przez burzę.

A widać, że obojgu wyszło to na zdrowie:

Bo się więcej zbliżyli odtąd kochankowie.

Jacy-ż z nich nowicyusze! jaki brak rutyny!

Dzisiaj rzadko kto chory z tak błachej przyczyny;

Pewny znanej recepty: klin klinem wysadza.

Gdy jedno serce chybi, drugim wynagradza.

Myśli takie na chwilę u nich nie powstały:

Jakoż są to wyjątki — albo ideały,

Tyle tylko z drugimi mające wspólne,

Że on chciałby w nią patrzeć — ona patrzeć w niego.

Zbliżyli się nakoniec! Lecz takie zbliżenie

Kochanek przedsięwzięczy miałby w niskiej cenie,

Bo i zbliżenie nawet różnie się tłumaczy:

Czyż Gustaw potępieniec na szczycie rozpaczy,

I po stracie nadziei nie chciał przestać na tem,

By Maryla z nim była jak «siostrzyczka z bratem?»

Któżby na tem nie przestał? Wszak to samo szczęście!

A jednak, gdy je mamy, marzy się zamęście.

Miłość jest, jak pragnienie niezgaszone niczem.

Mógłbym to poprzeć Biblią, Dantem, Mickiewiczem —

A nawet z życia wziętym przykładem okraścić:

Gdyby dziś nie umiano pragnienia tak gasić,

Że nie się ogniotrwałej piersi już nie czepi.

Rozsądźcie, czy to lepiej, czyli też nie lepiej? —

Nim trybunał miłości w sprawie tej orzecze,

Muszę wracać do wątku, bo jeszcze uciecze,

Jak z wiatrem nieć pajęczka, którą snuje jesień,

Niby ostatni kwiatek stygnących uniesień. —

XI.

Wracam tedy do rzeczy. A więc się zbliżyli,
 I widywali często, z daleka — lecz czyli
 Były jakie zabiegi ze strony księżęcia,
 Aby się ojcu panny przedstawić na zięcia?
 Tego nie wiem; zapewnie później to nastąpi —
 Wiemy jak zakochani zazwyczaj są skąpi
 W szafunku chwil, grą uczuć tyle zaprzątniętych,
 Ażeby po protekcyę gdzieś do wszystkich świętych
 Biegać, kłaniać się, ściskać, wyprawiać obiady,
 Układać twarz i mowę jak do maskarady,
 A na dobitkę robić z notaryuszem targi —
 Niżli to, milsze dla nich cierpienia i skargi.
 Jakoż o tem nie myślą.

Codzień ona błada:

Rumieniec znikł od balu — w otwartem usiada
 Oknie, po za kwiatkami, co w doniczkach rosną,
 A przed nią z naciągniętą kanwą stoi krosno,
 Gdzie haftuje: tradycya ta od Penelopy;
 Wszystkie tęskniące panny iść muszą w jej tropy.
 A jednak kwiatki, listki, pod jej paluszkami
 Jakoś wschodzić nierade — bo haftuje łzami,
 Główkę wspiera na dłoni, wzdycha raz po raz —
 Czasem klęknie, i rączki złoży do obrazu
 Częstochowskiej Madony — i wtedy, o cudzie!
 Coś ją ciągnie do okna popatrzeć. — Tam, ludzie
 Niby rzeka, ulicą płyną — obce twarze —
 Lecz chód jego w ulicznym wnet rozezna gwarze,
 I nigdy się nie zmyli. Bo oto młodzieniec
 Przesuwa się: wzrok podnosi — a na nią rumieniec
 Występuje tak nagły, serce drży, wzrok ćmi się,
 I nie wie czy to jawa, czyli też jej śni się?
 Takie jedno zbliżenie na cały dzień starczy;
 Nic by z nimi nie wskórał i język potwarczy.
 Lecz z czasem i on śmielszy; lubo się zdawało,
 Że już po pierwszym kroku nie wiele zostało;

Bo wstęp był impetyczny jak początek ody.
 Dziś spokojniejsza szyba tej głębokiej wody;
 Ich gwiazdy, chociaż stałe, wciąż dążą ku sobie,
 Że jedna doba, drugiej niepodobna dobie.

Książę coraz się częściej ulicą przechadza;
 Czasem bukiet ma w ręku, co myśl serca zdradza
 Symbolem purpurowym, żółtym, lub niebieskim.
 Czasem też na przepysznym bachmacie czerkieskim,
 Powoli po pod oknem przejeżdża, a zwierzę
 Zwykle karne i grzeczne, jakoś na kiel bierze,
 Wspina się, w miejscu kręci — nieraz popręg pryska —
 I spojrzenia ich dłużej sypią się z ogniska. —
 Aczkolwiek ócz wymowa ma swe cycerony,
 Uczucie się wymowniej wyraża przez tony,
 Najwymowniej w dotknięciu, w uścisku najdzielniej.
 Lecz tę skalę kto inny niechaj uzupełni.

To pewna, że miłości aż dwa są rodzaje:
 Jedna tutaj się kończy, druga nie przestaje
 I za grobem snuć swoich marzeń i nadziei;
 Jedna nienasycona, gdy druga się przeje.

Że kochankowie nasi do pierwszej należą,
 Widać to ze wszystkiego: bo cierpią i wierzą,
 I ulgi nie szukają w tem co ją przynosi.
 Przecież kto się chce zbliżyć do panny, ten prosi
 Rodziców, albo krewnych, o wolność bywania,
 Rozpoczyna formalne o rękę starania;
 Walczy z przesądem, upór, intrygę zwycięża,
 I chcąc być mężem, musi zdobyć imię męża.

Tryb to zwykły; lecz oni odmiennego kroju:
 Codzień przejrzyć się wzajem, jak słoneczku w zdroju,
 Westchnąć, zblednąć, zczerwienieć, kłaść rękę na sercu,
 Jakby się przysięgało na ślubnym kobiercu —
 Spotkać się na spacerze, lub w kościelnym tłoku,
 Usłyszeć nutę dumki miłosnej o zmroku,
 Znaleźć zgubiony bukiet, a wierszyk w bukiecie —
 To już dla nich wystarcza, to szczęście w ich świecie.

I tak ubiegło lato na sennem marzeniu,
 Niby anioł, co spłynął na złotym promieniu,

I przyniósł aż z Edenu kwiatów pełne kosze,
 Któreми posypywał wszystkie ich roskosze,
 I pragnienia człowiecze, że prawie myśleli,
 Iż mogą tu na ziemi kochać jak anieli.
 Lecz trafem, między inne, rodzaj niezabudki
 Wnięszął się i ostrzegał, że raj ziemski — krótki.
 Kwiat ten zowią przeczuciem.

A cóż jest przeczucie?

Oto najśłodszych serca roskoszy, otrucie!

XII.

W romansie tym przeczucie grało wielką rolę,
 I tak jej, jak i jego owładnęło wolę,
 Że naraz, i tej chwili, oboje wiedzieli,
 Jak we śnie magnetycznym, gdzie się spotkać mieli;
 I pewno nie chybili. Czy w Saskim ogrodzie,
 Czy w aleach, gdzie z ciotką o wieczornym chłodzie
 Wyjeżdżała powozem; czy na nabożeństwie;
 Wiedział gdy słaba, wiedział gdy w niebezpieczeństwie;
 Bo raz wpadł był do domu i narobił krzyku,
 Że gore! Ona również w swoim pokoiku
 Siedząc, naraz uczuła przestach niespodziany,
 W chwili, gdy go w nurt Wisły niósł koń rozhukany.
 Słowem taką sympatyą zrosły się ich dusze,
 Że przykład aż na braciach Syamskich dać muszę;
 Bo jeżeli się plecyma zrosć mogły bliźnięta,
 Czemuż dusza nie może z duszą być zrośnięta?

Przebaczcie, jeźlim znudził tą metafizyką;
 Wszak każdy ma pretensyę, zapewne dość dziką
 Tłómaczyć fenomena, co są nad pojęcie.
 Niedarmo filozofy brodzą w tym odmęcie;
 Od czasu, jak im Szekspir rzekł prawdę niemłą:
 Że są rzeczy, o których ani im się śniło. —
 Odtąd pyszny filozof wszystko rad tłómaczy,
 Z tą małą różnicą, że każdy inaczej.

XIII.

Nie wiem, czylim sympatyę zdobył dla mej pary,
 I czyli kto nie powie, że to sposób stary
 Kochać tak niedołąźnie i sentymentalnie?
 Nie przeczę — i już czuję jak mię krytyk palnie —
 Lecz cóż począć? tak było! nie moja w tem wina:
 Że bohater marzyciel, marząca dziewczyna,
 Po powietrzu latają jak Dantowskie duchy,
 Z kwiatów życia strząsają ledwie same puchy;
 Smutków, radości ziemskich, prawie jak nie dzielą,
 I żywi, gdzieś na gwiazdkach gniazdo sobie ścielą
 Z westchnień, spojrzeń, snów, rojeń, i pieszczót niewinnych —
 Jak gdyby mieszkańcami byli światów innych,
 Jak gdyby rzeczywistość w zębate swe koła,
 Nie śmiała jak człowieka, porwać i anioła? —

Gniewajcie się jak chcecie, lecz miłość prawdziwa,
 Rzadko jest działającą, częściej gnuśną bywa;
 Jej ogień nie hartuje, owszem serca topi:
 Najtężsi przy Omfalach, zniewieścili chłopi.
 Bo kiedy łyż do oka cisną się bez przerwy,
 A serce pierś rozsadza, rozstroją się nerwy,
 A za gardło ból chwyta, a gorączka pali —
 Czy podobna w tym stanie być mężem ze stali?

Mniemam też o niejednym wielkim bohaterze,
 Co zasłynął romansem, że kochał nieszczerze,
 A przynajmniej uczucie podzielił na dwoje,
 Między sławę rycerską, a kochankę swoją.
 Przeciwnie tam, gdzie miłość ma swój cel jedyny,
 Światy marzeń ogromne, a małe są czyny;
 Bohater, istne dziecko, co na koń drewniany
 Wsiadłszy, zrywa wędzidłem, naciska kolany,
 Miota się, rusza cały, a koń stoi wryty — —
 Grek niedawno z pian morskich postać Afrodyty
 Tworzył — a ztąd miłości symbol: morska pianka!
 I takim był mój książkę i jego kochanka.

XIV.

Ile ciemna legenda dostarczyła rysów,
Tylem o nich powiedział.

Pod cieniem cyprysów,
Arab fantazyi swojej może puścić wodze,
Bo ciekawych słuchaczy nie brak w nudnej drodze;
Zresztą puszcza bezbrzeżna, piaskami zasiana,
Wydaje tak powieści jak fata-morgana.
Lecz u nas, gdzie bez gazet żyć prawie występkiem,
Tym podobne androny, pół-uchem, pół-gębkiem,
Słuchają się i mówią. Salon nie pustynia,
Choć w puszczy, niż w salonie prędej muz świątynia.

Com słyszał, to powtarzam, zwłaszcza, że fakt pewny,
A nie bajka, gdzie wchodzą zakłète królowny.

Owóz jednego ranka, dziwny kaprys losu
Zburzył ten raj kochanków. Piorun bez rozgłosu
Spadł i rozciął jak mieczem dwie duszyczki bliźnie,
Że się już nie połączą, aż w wspólnej ojczyźnie;
Mówiąc jaśniej: — mój księżę wezwan telegrafem
Na dwór, wracał natychmiast. Również dziwnym trafem,
Ojciec panny zaniemógł; więc przysłano po nią,
I oboje w przeciwne strony, naraz gonią:
On na północ, daleko — ona o mil kilka — —
Chwilka ich połączyła, rozłączyła chwilka.

Czy złowrogie przecucie ostrzegło ich wprzód?
Czy sny były straszące, lęk serca i nudy?
Tego nie wiem; najpewniej, że coś być musiało,
Lecz nic by nie pomogło, kiedy tak się stało;
I konieczność ich wzięła jeszcze w takie kluby,
Że ni ona lubego, ani on swej lubej
Nie mógł nawet ostatniem pożegnać wejrzeniem.

Słońce dzień ten powinno było choć zaémieniem,
Niebo łzami obchodzić: kwiaty listki stulić —
Przecież wdzięczna natura mogła się rozczulić
Nad nimi, kiedy uczuć była powiernicą — —
A tymczasem, jak na złość, dzień nad okolicą

Rozpostarł lazururowe bez plamki namioty,
 Złote słońce świeciło, świecił księżyc złoty —
 I świat się uśmiechał jak dziecię z pieluszek,
 Nie bacząc na lzy krwawe rozdartych serduszek.

XV.

Grad tęsknic, melancholii, trwóg, gorzkich wyrzutów,
 Spadł na nich i okolił jakby klatką z drutów.
 Osobno przesadzone ptaszki, obojętnie
 Patrzą na świat do koła, choć wabi ponętnie
 Cukierkami rokoszy; choć przyrzeka zatrzeć
 Te rysy — co tam w głębi, choć nie każe patrzeć
 Po za siebie, a tylko w urocze obrazy
 Różowemi małżeństwa powleczone gazy;
 Piękne imię i statek, fowarki i cugi,
 I podobnych konjunktur szereg jeszcze długi —

Ten język dla obojga był niezrozumiany,
 I odpadał, jak grochy rzucone o ściany.
 Mimo tego, z obojgiem co chciano, zrobiono:
 On został cudzym mężem, ona cudzą żoną.
 Bez żadnej protestacyi spełnił się obrządek,
 Jakby tego wymagał społeczny porządek,
 Wola ojców; nareszcie, że to rzecz przyjęta,
 By chłopcy się żenili, za mąż szły dziewczęta.

Nie wierzyłem, wyznaję, w całe to podanie,
 Żeby się związek taki odbył jak śniadanie,
 Bez mdłości, przekleństw, szlochów i bez krwawej sceny;
 Lecz widać, że dziś rzadziej sztylet Melpomeny
 W życie nasze się mięsza; z czego wniosek taki:
 Że nie prawda, co piszą Sandy i Balzaki.

XVI.

Był dzień majowy, ciepły; mgła wilgotnych woni
 Wisiała nad sadami bzów, wiśni, jabłoni;

Słowik zaś te zapachy chcąc zagłuszyć w pieśni,
Przekonał, że duch-woni, duch-śpiewu — rówieśni
Są jacyś gieniuszkowie. Jeżeli woń odurzy,
To śpiew z serca wycisnie uczucie, jak z róży
Wyciskają na wchodzie olejek pachnący — —
Był to dzień — dosyc tego!

Na ganek służący

Przyniósł z poczty dzienniki, i list pod adresem
Samej pani. Gazety porwał pan obcesem,
I zatonał po uszy w dziennej polityce.
Pani list otworzyła —

Oblicze kobiece

Nie jest duszy zwierciadłem. — Niech to nie obraża;
Wszak oblicze z marmuru, pod dłutem rzeźbiarza,
Jedno-li poruszenie wewnętrzne wyraża —
Toż marmurową maskę gdy wdzieje kobieta,
Nie przez nią najciekawsze oko nie wyczyta,
Krom tego, że los jakieś popisał tam runy,
Za którymi cierpienia leżą, lub całuny — —

Czytała — a na masce marmurowo białej,
Nie drgnął jeden nerw więcej; i prócz plamki małej,
Co zrumieniła lice, nie znać plamki innej —
List pewnie obojętnej treści i niewinny.
Sam mąż, co zrazu zerknął nad arkusz dziennika,
Chcąc ją spytać zkąd list ma, i co tam zamyka?
Gdy ujrzał marmurowość, pytania nie wtrącił.
Dobrze zrobił! Na wieki byłby sobie zmacił
Wieśniaczy, czerstwy żywot. On, co się tem chlubił,
Że górnych sentymentów w kobiecie nie lubił,
Cenił w niej gospodarność przy zdrowiu, urodzie —
Za złe nie miał, chociażby hołdowała modzie,
Byle znowu wciąż nie szły sążniste rachunki.
On, co przyszedł do takiej, jak powiadał, żonki,
Co była i gospożą, ładną i posłuszną —
Musiałby teraz zgłębiać zagadkę jej duszną.
Sęk nie lada! Logogryf rozwiązywać taki!
Ztąd sądzę, najszcześliwsze podobne prostaki:

Bo co wewnątrz? nie dbają, jak ci antykwarze,
Ceniący Benvenuto rzeźbę na pucharze,
Nie patrzą w środek, myśląc że naczynie próżne.

XVII.

U gminu wieści noszą jaskółki podróżne —
I ta forma w poezji bardzo jest na rękę,
Bo ptaszkowi do dzióbka dość włożyć piosenkę,
Aby z efektem oddał smutną katastrofę;
Aktorka, gdy umiera, woli paść na sofę,
Niż na ziem; ja rad nie rad padam na podłogę —
I już list ten nieszczęsny powtórzę jak mogę!
Wprzód jednak maleńki szczegółek dołożę:
Dzisiaj właśnie, rok temu, na balu —
— Mój Boże!

Któż potrafi rozwikłać losu płataniny!
Dosyć, że dziś rocznica, niby urodziny
Miłości ekstatycznej, dziwnej, niepodobnej,
Upowitej promienną nadziei zagrobnej,
Kołysanej w najgłębszym dwojga dusz tajniku,
I pragnącej coprędzej na gwiazdy promyku
Wrócić znowu z kąd zbiegła — pomiędzy anioły —
Snać za czysta na ziemskie walki i mozoły!

XVIII.

I wybuch jej rozpacz prześzedł bez wybuchu.
Jakoż wszystko stłumiła w sobie, w piersiach, w duchu,
Gdy czytała wyrazy listu od kochanka —
Bo to był list od niego — —

«Pani! tego ranka

Lekarze byli u mnie; poznałem z ich twarzy,
Że już nic się spodziewać nie mam od lekarzy.
Ledwo kilka dni życia zostało mi; czuję
Jak duch mój gdzieś w daleką drogę się gotuje.

Dokąd pójdzie? sam nie wiem; lecz jeżeli choć trochę
Zatrzyma w sobie woli, to ku tej co kocha —

Do listu kilka zeschłej konwalii gałązek
Dołączam: pod ich godłem zrobił się nasz związek —
One moją przysięgę słyszały — te świadki,
Zasadź w ziemię — pielęgnuj jak zwyczajne kwiatki:
Jeżeli odżyją barwą i wonią po zgonie,
To znak, że ja w nich żyję i dla ciebie wonię — »

XIX.

I koniec. — Zakochani miewają pomysły
Tak dziwne, że je rozum nie przyjmuje ścisły;
I ja sam bym odrzucił, gdyby nie uwaga,
Że żadnej cudowności rozum nie pomaga,
Owszem depcze jak bajkę, i do chorób liczy
Wszelki z zagrobnym światem związek tajemniczy.
A jednak to zdarzenie wyszło z ust prawdziwych,
I heroina sama liczy się do żywych,
A niezmyślonych osób; istna *sensitiva*,
Od świata stula listki — ale w świecie bywa,
I pyta: co tu robię? — U wód za granicą
Spotkać się ze światową mogłeś samotnicą,
Gdyż jej dziwna historia z ust do ust krążyła.
Zapytana o prawdę — nigdy nie tała,
Owszem pokazywała dowód, ów uschnięty
Kwiat konwalii, pieszczony jak depozyt święty,
I nigdy nieodstępny. Liście, białe dzwonki,
Odżyły tak wspaniale, że ołtarz patronki
Niepodobna ozdobić nawet piękniejszymi;
A zapach wydawały jakby nie tej ziemi
Tylko inny. W legendach, gdy święty się zjawia,
W powietrzu taką wonność po sobie zostawia.

PRZESYŁAJĄC MIMOŻE

DO HR. J. P.

Pani, co rzadki posiadasz przywilej,
Że umiesz mówić i słuchać najmilej,
Często i nie wiesz w rozmowy zapale,
Jak sypiesz perły, djamenty, opale —
Niby z Tysiąca Nocy książkę wschodnie,
Gdy każe skarby miotać na przechodnie.

Los mi nadarzył jednego wieczora,
Żem miasto rupii, schwycił Koh-i-nora,
I rad nad podziw monarszej szczodroty,
Chciałem ten klejnot mieć w oprawie złotej.
Chępliwość srodze była ukarana,
Bo to był kamień z władzą talizmana,
Który mi zaraz dziwny figiel spletał:
Żem już po ziemi nie chodził a latał
Wirowym lotem wiatrakowych skrzydeł,
W zaklętym świecie bajecznych mamideł,
Goniąc a goniąc bez tchu, wypocznienia —
Jakieś dwa Diwy, dwie Peri, dwa cienia
Zrobione z woni, muzyki i tęczy —
Myślałem, że mię ta pogoń zamęczy —
Ale na szczęście dopadłem gdzieś soli,
I one cienie wziąłem do niewoli.

Sekret to bowiem jeszcze średniowieczny,
Że kiedy dręczy kobold niebezpieczny,

Lub czarnoksiężnik gdzie na zdradzie stoi,
Solą się tylko zły duch uspokoi.

Szeroko o tem legenda pisała:
Jak marmurowa Venus z piedestała
Zbiegłszy, goniła za artystą w tropy,
Przez całą drogę z Rzymu, po Alp stopy.
Jak po noclegach, spoczynkach, popasach,
Czy to w ruinach, czy w skałach, czy lasach,
W różnej postaci trapiła biedaka,
Mieniąc się: we lwa, rysia, wilkołaka,
To znów czarnego na koniu rycerza,
Co miał twarz trupią, skrzydła nietoperza —
Aż raz w zamczysku, gdy go noc napadła,
Ta sama Venus wieczereć z nim jadła
Lukullusową. Różne tam szatanki,
Siarczyste wino lały mu do szklanki,
Owoców, potraw, stawiały obficie —
Artysta zmiatał — był przy apetycie.
Lecz mu się jadło niesłone coś zdało,
Więc ze solniczki soli szczyptę małą
Wziął — i w momencie pękła czarów siła —
Tylko bogini w powietrzu zawyla — —

I ten talizman, i bogini ona —
To fikcja stara — tylko odnowiona:
Że kto ze światem fantazyi się zbrata,
Ten dla zwykłego jak stracony świata —
Pewnieby w końcu zamienił się w parę,
W błędny ogniczek, lub ponocną marę,
Gdyby ratunku nie było w tej soli,
Co z ziemską biedą godzi mimowoli —

Nie wiem czy garść jej nie zanadto spora
W tej tu powieści — i czy Koh-i-nora
Wartość nie zgasła w pośledniej oprawie?

Osądź łaskawie.

RAPSODY I POWIEŚCI.

TRĄBY W DNIEPRZE.

Stał obóz polski, stała Ruś w taborze,
A między nimi Bugu święte łoże.

Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawołoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złożone groty:
Obóz Rusinów jak położ się mienił.

Pod gołem niebem, w kozuchu baranim
Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim —
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.

W dzień pierwszy głązy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów:

— Ej ty tuczny wieprze!

Ażąc Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Ażąc żal sadła na ruskie pazury? —
Na tu, na wieprzu! ryknie Ruś, jak tury.

A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze:
Zaklął Peruna i wszystkie Kumiry,
Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery;

Rzucił zwierciadło — i woda po pasy;
 Igłę na rolę — wstały w okrąg lasy;
 Kamień na stepy — i góry na stepie.
 Trafiajże Lachu, choćbyś miał sto ślepie.

— Żle z nami, wiara! czart nas wziął do koła.
 I k'kopijniku król: Hejno! zawoła,
 Włóczy Maurycego i szabla anioła,
 Krzyż pański, imię Chryste i Marya!
 Ciał szablą w zmory, kopią mgłę przebija —
 Jak sen o świetle pierzchły precz tumany;
 Znow świeci słońce, i Bug płynie szklany.

— Bogarodzico! wiara wpław, koń łodzią! —
 Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,
 Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
 Tyłu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
 Strach im do szyków i oręży nie da!
 Lachy na karku siedzą, kołą, rąbią;
 Z martwych do Bugu krew wali się rzeką —
 Chorągwie w piasku; z ciał wstała mogiła;
 Pycha butnego w piasek się wtoczyła,
 Pycha Błudowa. A gdzie Błud? — daleko
 Wyprzedza wiatry —

Kniaziu Jarosławie!

Klasnąłeś w ręce po krwawej rozprawie,
 Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijewa.
 Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,
 Padły zdobyczą; z grodów biją łuny;
 Ba, Kijewowi on pożar dogrzewa,
 I sam Nowogród: Gorze mnie! zaśpiewa.

Tam, czy to zorza na dachy upadła?
 Czy góra złota siedzi wśród zwierciadła?
 Pytają Lachy. — To Kijew — gór trójca
 Czterysta cerkiew dźwiga, pasem z głazu
 Biodra mil siedmiu okręca; do razu
 Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.

A Lachy na to: Na głazy i bramy,
Mamy buksztele i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu,
Szable toczne, rumaki do lotu.

Stadami kawek czernieją dzwonnice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem —
Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem —
Wybija wnuków. Sokół zuzulice
Porzucił młode. Synu Włodzimierza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od sióstr i żony! — A gdzie dzwon wiecowy? —
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!

Uniż się grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejnował;
Zgasłeś! — Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w bramę ciał ze złota;
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota;
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza.

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiej ziemi!
Chleb, sól i kości świętych! — Pawołoką
Szlak ci wymościm; dzwony sofijскими
Odzwonim sławę. Ośm dziewic, jak oko,
Sióstr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, Chrobry po wsze czasy! —

I szedł król, za nim oszczepów szły lasy
W chram świętej Zofii. Pieśń: Bogarodzica
Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły:
A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.

Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą.
Jezdny czy drabant, brał proporce, tuły,

Opończe; resztę grzywnami doliczą.
 Skarbiec cerkiewny słał do kapituły
 Gnieźnieńskiej, kędy święty Wojciech w grobie.
 Sam król nie brał, tylko dziewczkę młodą
 Z branek książęcych rad podobał sobie,
 I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,
 Syny bojarów puszcza na swobodę,
 A sobie wybrał Błuda czarownika.

— Nie być Błudzie bojować językiem!
 Snać go pan w łaźni ochwoszcze winnikiem,
 I da mu ścierkę. — Bies wie, czy nie gorzej,
 Może rozerwą końmi na rozdroży? —
 Tak przebakali, dwaj: ciura z łucznikiem;
 Tak po Kijewie. Krzywym tropią torem —
 Król wyżej buja, niż Diw z białozorem.

Co mi za tuman? — Czy to turów stado
 Hasa na błoni? czy to hufce jadą?
 Co mi tam ciemno na Dniepru błękiecie —
 Czy wodni goście? Wstał-że Igor stary
 Zbierać nosady na latyńskie cary?
 Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzczicie?
 — Ni Ruś to chrzczimy, ni z Igorem płyną;
 Jeno król Lachów ze zbrojną drużyną
 Wjechał na zalew dniewowy w półkłęże.
 — Tu kres! — grzmiał piersią — tu kres! rykną męże.
 Tu słup żelazny! — Gdzie koń wrył kopyty
 Koń Bolesława, słup żelazny whity.

Na środek rzeki łódź wygnały wiosła:
 Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,
 Dziw będzie. Z łodzi wielkie trąby cztery
 Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
 I zatopiono razem w Dniepru wiry.
 Podwodną pieśnią zagrało powietrze;
 Taką ccił bojar pieśnią bohatory,
 Gdy wieszczym palcem bił o struny żywe.

Rusalki pieśń tę po szuwarach wtórzą,
 A białą pianę chwyciwszy za grzywę,
 Na czarne morze pławią się; a z burzą
 I wendska Odra i morze Waregów,
 Pieśnią tą grały gwoli laskich brzegów.
 Sam Lach, a nie kto, tę gęźbę rozumie.
 Lud ją podziwiał, a król rzekł: — Hej, kumie
 Błudzie! rzeka gra darmo, żeru głodna. —
 I wnet z kamieniem Błud porwał aż do dna!
 Błuda bies porwał. Stoi słup, a rzeka
 Chrobrego sławą gra z wieka do wieka,
 Niekiedy dumką tęskniącą zaśpiewa:
 Duchu Chrobrego przybądź! Dniepr cię wzywa!

POTRZEBA WARNEŃSKA.

Na namiocie czasu jutrzennego
 Usiadł kruk, i zakrakał królowi: —
 Z wieścią lecę od morza Czarnego —
 Morze ujścia broni Dunajowi.
 Dunaj mówi: puść, zatopię ziemię,
 Stanę morzem — morze zasie mówi:
 Nie puszczam cię, padalcześ ty plemię! —
 O! radź królu — bo jak Dunaj wzmoże
 To i morzu zatonać w Dunaju —
 O! radź królu! — A król: — czarny baju!
 Wzdy bezpieczniej djabła mieć w komorze;
 Poleć k'morzu, powiedz że pogrozę! — —

I król zgroził sny swoje: — Tfu mary!
 Patrona Ungariae! ptak kary
 Siadł na gałce i trąbił mi w ucho
 O Dunaju; a Dunaj, ot stary

Szklni zorzami by pogańską juchą,
 I w namiotach czeladka na poły
 Śpi, wrzkomo w ogroju apostoły —
 Jedno u mnie jakaś w myśli burka.
 Hej pachole! zwać przed nas wróżbita;
 Świecą gwiazdy, niechaj gwiazd popyta:
 Czy wyskoczyć przyjdzie na psa Turka,
 Czy nam doma nawrócić z kopyta? —

Przyszedł starzec — on praktyk cygański
 Z gwiazd aspektu ciemnie snu wykladał: —
 Morze krnąbrne: to świat chrześcijański;
 Dunaj — Turek; niechby w morze wpadał,
 Wszak zatonął wóz faraonowy.
 Kruk — przestroga (choć ma węch na koście).
 Głowa królu nie to kierz wierzbowy
 Raz ucięta, raz wtóry nie roście;
 Byś wysoko nie posadził głowy — —»

Stał na radzie Jankuł wojewoda,
 Wraz pochwycił: — Wojnę wróży woda!
 Więc utnijmy! nie wzroście łeb wtóry.
 Miecz karania dźwignie książąt zgoda,
 Buła rzymska rozwiąże u góry.
 Wojna, wojna, na pogan chrześciany!» —

Rzucił słowo — wrzkomo rękawicę,
 Przed biskupy, książęta, hetmany;
 Nikt, co padło, podjęciem nie kusił,
 Nikt słów rajcy wywrócić na nice —
 Sam król owszem sierzdystość przydusił,
 Jenó smętek wybieżał na lice,
 Jenó nie swój!

— Młody Krysztoforze!
 Okuj ducha na ocel k'przygodom,
 Snadniej brodzić przez utrapień morze.

Trąby wrzasły wojną po taborze;
Wiatr rozdyma proporce i kity,
Odlatuje z pożegnaniem do dom.

Król z zamiotu kraśnego, jen szyty
Perłami, potoczył w stepy wzrokiem,
W tuman — za dunajowym potokiem: —
Ej Dunaju! nie wróć jak i ty! —

Wrzeszczą surmy, więc bębny kołaczą,
Serca skaczą, więc rumaki skaczą:
Stadem żurawiewem rwą się woje,
Z bukowińskim szumem. — Piskle-ż swoje
Skrzydłaczę odleć w czystym polu
Śród stepów bułgarskich, w dusznym bólu?
Wzdyć to orlik! jako pierzem rucha —
Jemu rej wieść — w sławę on by w słonie
Wszystko patrzy. Rzekł: sławę ugonię —
Owo godna mym kościom pielucha,
W praszczurzędach jeszcze zbudzi ducha! —

Pod sztandarem świętym Ładysława
Król z biskupy, hetmany, rej wiedzie,
Powrzaskują surmacze, trąb wrzawa —
Skoczył tabor, tumanami jedzie.
Ziemie racką, bułgarskie pastwiska
Trą zagonem, u Dunaju piją;
Mimozjazdem łązbią na zamczyska,
Rzkomo w barcie, miód i trąd wybiją;
Łuny palą, harcują kwol spyże;
A do książąt do chrześciańskich listy
Wciąż strzelają o posiłki chyże;
Do Wołoszy, więc do Skanderbega:
Lud węgierski niemnożen, choć czysty,
Turek z więcej na łowy wybiega.

Szpiegrze chodzą do namiotu nocą,
Wieść od morza królowi markocą:
— Cma tam Turka! nie na czambuł ruszy.
Sam padysza, jen się dał w derwisze,

Stoi hordom — jakim dymem puszy,
 Gdyby prorok! — Znowu nocnej cisze
 Szpiegrze przyjdą: Czuć, że Grek okręty
 Turków wozi (wzdy miał czynić wstręty),
 A od głowy po dukacie bierze.
 Jeszcze nocą raz przyjdą szpiegierze:
 Widzieliśma sto tysięcy bez mała
 Na wzgórzach, na dołach — jak przewala
 Deszczowa z gór w doliny ku nam cieką.
 A gdzie goszczą — kur tam nie zapieje,
 Gdzie popasą — step nie zielenieje,
 Gdzie napoją — nurt nie płynie rzeką.

W poniedziałek, pod księżycą pełnią,
 Czy Dunaju prądy tak się welnią
 Na warneńskim przeźroczystym polu?
 Wzdy to pułki sprawione w półkolu:
 Stoją cicho; czy w śpiączki wybite,
 Czy bezpieczne, czy już boju syte?
 Ni syte, ni wybite — wszak w zbroi,
 Pełnej ussarz przy rumaku stoi,
 Za pawężą drabik z rohatyną,
 Łuczniki z łukami, król z drużyną.
 I rozgwor cichy chodzi z rosą:
 Ten przed księdzem wypowiada grzechy,
 Ów pozdrawia pannę złotowłosą
 Gdzie nad Wagą, kędy dworzec cichy,
 Dumającą. Ów pisze na mnichy
 Swe imiona, robi duże wota
 Do Loretu, tysiąc marek złota;
 Ów do świętej ziemi da Bóg z wiosną
 Rad popątnie. — Rycerstwo pacierzem
 Krzepi duchy, duchy w górę rosną,
 W znaku krzyża, pod wiary puklerzem.

Ej zaśwista zorze by krew — komu
 Świecisz to zorze, ku cześci czy sromu?

Oj ku cześci! cześć to nasza strawa,
Ze krwie roście. Sława chrobrym, sława!
Sława królu! —

Król z pod ręki w jare
Słonko patrzy, wstające nad szare
Garby. Co tam zestrachało kruki,
Czy wilkowie od ścierwa? toż dymi
Wrzkomo z piekła dymami czarnymi.
Toż tam huka! czy wyprawia tańce
Bies za górą? — Wzdy znamy te huki;
Wiara baczność! pogańskie to sztuki:
W dymie, w ogniu harują pogańce.

Król miał w poczcie chorągwie skrzydlate,
A jak z berła myśliwiec raroga,
Hufiec puścił na tatarską czatę;
Z czarnych szpaków nie ujdzie mu noga.
Hufiec raróg miał szpony koncerze,
Dwieście włóczni w dzióbie, z kolczych pierze.

I potarli niby siano suche
On zastęp. Król puszcza wciąż sokoły,
I tam i sam, ochotne na juchę,
Na turecką jak na miód. Padoly
Zasiały się trupem, bór się kurzy;
Jakby djabeł rozlał się we smoły.
I pancerni skoczyli do wzgórzy;
Pojrzą z garbów: ano tam mrowisko,
Ani przejrzyć — gwałt luda — wielbłądy —
Stany, dzidy, buńczuki — a rządy —
Wrzkomo w ulu, gdy dmuchniesz, wre wszystko.

Trzy dni giaurom Turek zbroje kował
Demeszkami — a we krwie hartował.
Trzy dni ussarz szył turbany kopią,
A chrzciał juchą. Co nocy kruk zjada
Oczy trupom, lisowie krew żłopią:
Owo w trzecim Jankułowa rada,



Gdy są starci pogańscy spahowie,
O nieszporach panu w słuch ozowie: —

Szczęśny panie dierz na razie czarta;
Raz ochynał, już się nie wybiega;
Ze ćmy onej mały kęs się warta,
Krom janczarów reszta ścierwem zlega.
Nad janczary pojrzej jeno w parów
U gór, cztery pływa tam sztandarów,
Jeden biały, wszystkiej mocy znamię,
Sułtan Murat stoi śród janczarów,
Sławę zdzierży, kto weń kopię złamie.
Kwap się królu, byś przodku nie stradał. —

Więc król harnasz dział świeży na siebie,
Pasał szarszun, bo drzewiej w potrzebie
Harnasz — szarszun — na kęsy się spadał;
Owo skoczył przed hufy na wronym,
I przeżegnał drogę hufcom onym;
Kopaliny w dół zwioda, a drzewa
W górę, a z pogonią propor wiewa
Nad nimi. Ej! byś się nie przed swaty
Wyrwał na pohańca cny junaszku:
Słup obłoku otoczył cię Laszku,
A w obłoku przybrany w ornaty
Święt' Stanisław: — Nuż w nie miły Staszku!
Król doń prawi: bywaj być psubraty! —
Na to biskup posochem poruszy,
Jakby z martwych krzesił Piotrowina;
I junoszka raźniej konia spina,
A nasuwa na twarz kopalina;
W janczary wraził się grotem z kuszy.

Janczarowie twardo leżą w sprawie,
Na wodnych wymólach za przekopy:
Gorze tobie królu Władysławie,
Twoje hufce lecą w dół jak snopy!

Błogo tobie Muracie padyszo!
 Twoje Turki każn chrześcianom piszą
 Za mir ływy. — Jakie konie, chłopy,
 By żubrowie w kolebę się kładą
 W onę krwawą; a tu nikt z posiłkiem —
 Sam ty Janku! z ussarzami chyłkiem
 W zad uchodzisz, dawszy pana zdradą
 Na rzeż krwawą!

Wdowaś Litwo ninie
 I Korono! pan na Cherubinie
 Twój posadzon; a jako dni nieba
 Stolec jego; a prochy koleba
 Wicher morski, co w tve zamki świszczę
 Z klechdaniami od brzegów Dunaju:
 Jako złaman bój, miecz, szczyt, łączyszczę;
 Jak tam czaszki rzkomo gęśle gędą,
 Jako gwiazdy éme latawców przędą;
 Jak tam jabłoń wzejszła przy ruczaju —
 Wonnym jabłkom uprosie do raju:
 Lachy, Litwo i ty Uherszczyno!

— Bój rozjęła noc, a mgła szarasa
 Rozwiesza opony nad płaszczyzną
 Dychającą. Krucy ciągną z lasa,
 Czają lisy, wilków cieką stada.
 Księżyc oczy zamrużył — omacka
 Przy ślepiach jarzących trwa biesiada
 I rozgwar.

Był janczar Kruky mianem,
 Podczas trupom grosze trzęsał z wacka,
 A rozumiał co niema twarz gada,
 Bo przyczajon słuchał. — Pod kurhanem
 Leżał rycerz sam, trupami w około
 Janczarskimi ostąpion; kruk w czoło
 Pod kopalin kował, czasem gwarzył: —
 Ej nieboże stradny! toś nawarzył

Piwa — pijże; zaś radził kruk stary: —
 Kędyż teraz twe pułki, sztandary,
 Krew junacka? — Kędy stany lite?
 A trzy stolce wdowie — młode latka?
 Toż serdeczko lubości nie syte,
 Ledwoć jako ziele pasożyte
 K'sławie przylgło, uschło do ostatka!
 Na pogrzebie nie krakowskie dzwony
 Dzwonią, wilcy wyją to z gawrony,
 Stypę kruk wyprawia! —

Kukry w skryci

Rozważa: król-że to? — ano świeci
 Zapona klejnotem — harnasz czysty,
 W lice pojrzał — a z lica król isty —
 I odrzezał z kopalinem głowę
 I pod nogi rzucił Muratowe.

Przed padyszą stało siła jeńców
 Zacnych paniąt, w straży u trzebieńców;
 Ku nim głowa pańska się potoczy
 Z bujnem pierzem, z wypitemi oczy.
 Nuż o ziemię dadzą cne panięta,
 Nuż uderzą w żałobne lamenta: —
 «Król nasz, on młodzieniaszek nieżywy!
 Szczep Jagiełłów wiatrom k'pogrzebieniu,
 Psom pogańskim twarz ku obelżeniu;
 O cudowna! nie twoje to dziwy
 Z jasnej góry, a czarcia robota! —

Murat wielce w radość się rozmiota: —
 Chwalać Ałło za zwycięztwo szczęsne! —
 Wraz pochwyci u boku miecz krzywy
 Pisan srebrem — i na jatki mięsne
 Ścinać zacznie rotmistrze i pany,
 Pokąd nie stał oną krwią pijany.

Ranek mgły zdjął, słońko śklni z ukosa,
 Co kruk liszył, doje zimna rosa;

Co wilk liszył, wiatr polny rozchwyta,
A o wieści guślarz nie dopyta.

Czej mu sprawy nie da one lice
Śród majdanu utkwione na tyce,
Wonną nardą i olejki tchnące,
Przyczesane, wiere by żywiące?

Bojowiskiem dwaj jeźdcowie jadą
Na natolcach; to patrzą w twarz bladą,
To pod nogi na trupy: «Azebie!
Jaką dziejeś, rzekł starszy, przygodą,
Że śród trupów nie ma ćwika z brodą? —
— O padysz! gdyby k'tej potrzebie
Giaury mieli jednego a ćwika,
Nas spotkało'b, co ich dziś spotyka. —

SAMUEL ZBOROWSKI.

I.

BURZA CZARNOMORSKA.

Na białej skale jasnopióry sokół
Siedzi nad morzem nad Czarnem, i w okół
Patrzy żałośnie i żałośniej kwili:
Że groźna tucza bałwany zamąca,
Że wszystkie gwiazdy zgasły w jednej chwili,
Że do pół w chmurę skrył się krąg miesiąca;
Że wichr od Niżu zerwał się szalony,
Sudna kozackie rozbił na trzy strony —

Jedną część w ziemię daleką agarską,
Drugą w Dunaju zapędza gardziele;

A kędyż trzecia część, z młodzieżą dziarską?
Przez czarnomorskie bije się topiele.

Z tą był Zborowski ataman kozaczy:
Miotan też burzą chodził wzdłuż pokładu,
Z czoła wycierał niby myśl rozpaczy,
Z piersi wyrywał niby żądło gadu —

Ówdzie na boku tuż przy samym sterze,
Siwy jak gołąb siedział dziad stoletni;
Miał twarz pogodną, uśmiech jak dzień letni —
Znają go wszyscy, bo grywa na lirze
Odwieczne dumy; bo radzi, bo leczy;
Acz prosty kozak, rej prowadzi w siczy:
Broń zaczarować, zdjąć z kogoś uroki,
Odgadnąć skryte niebieskie wyroki —
Wszystko to umie. — I teraz coś powie;
Powstał, dłoń podniósł, i tak rzekł: Panowie!
Ktoś między nami grzesznik tu nie łąda,
Kiedy nas chwila taka zła napada;
Niechże się naprzód Bogu wypowiada,
A potem morzu, więc atamanowi —
Jeden za wszystkich niech ginie, odpowie —

Skoro mołojce usłyszą zakłęcie,
Wolni od grzechu, milczą na okręcie;
Tylko Olexyj sam, pisarz wojskowy,
Popowicz, temi ozowie się słowy:

— Jam jeden grzesznik, więc mię bracia weźcie,
Kitajkę oczy zawiążcie, uwieście
Na szyi kamień, rzućcie w głąb bezdenną;
Niechaj nie ginie kozaczych głów dwieście,
Za jedną głowę grzeszną i bezcenną! —

Gdy to mołojce usłyszą, wraz rzekną
Do popowicza: Ty, co słowo boże
Czytasz, i prawisz nieraz rzecz tak piękną,

Ze wstrząsasz duszy najskrytszym tajnikiem,
 GodziłoŹby się rzucać ciebie w morze?
 Tyś nie największym z pośród nas grzesznikiem! —

— Choć pismo święte czytam i was kruszę,
 Jednak mam grzechy wielkie, wyznać muszę;
 Grzechy to stare, ale srodze kuczą,
 Nie darmo Bóg was karze za mnie tuczą —
 Gdym w świat wyjeżdżał z grodu Piryatyna,
 Błogosławieństwa nie dali rodzice,
 A przekleństwami żegnała rodzina —
 Boć niegodziwszy byłem, niż gadzina! —
 Nieraz-em konia wypuszczał w ulicę,
 Roztrącał starce, wdowy, niemowlęta;
 Jeszcze ich widzę we krwi — niebożęta! —
 A i przed Bogiem nie mniejszy ja zbrodzień:
 Przed cerkiew świętą przyjeżdżałem codzień
 Gdy lud się cisnął. — U mnie taka buta
 Żem czapki nie zdjął, nie ugiął kolana — —
 Otóż panowie! nadeszła pokuta —
 Nie darmo morze burzy się, wre piana;
 To modlitwa matczyna, płacz siostrzycy,
 W tym groźnym wichrze, deszczu, błyskawicy —
 Gdyby mi dzisiaj śmierci się wykręcić,
 Umiałbym ojców kochać, cerkwie święcić,
 Starce i dzieci nie deptać podkową,
 Zła nikomu nie robić, żyć na nowo —

Tak Olexyj gdy z grzechów się spowiada,
 Na Czarnem morzu wicher, burza upada,
 Gwiazdy zaiskrzą, księżyc oczy przetrze;
 Sudna kozackie ni to przez powietrze
 Niesie i niesie jakowaś moc cudna:
 Na Tentry Ostrów zawijają sudna.

Ztąd młódź kozacka stanęła w podziwie:
 Jakaż moc cudna wywiodła szczęśliwie

Z ostatniej toni?! — Radość niesłychana;
Wszyscy weseli, wszyscy, prócz hetmana —

Hetman przy maszcie złamanym stał wryty,
Ócz nie śmiał podnieść w gwiaździste błękity,
Jakby się lękał dziką iskrą wzroku
Zapalić piorun na siebie w obłoku —
Zkądże w niżowym hetmanie ta trwoga?
Czy go przeraził głos żywego Boga?
Palec widomy? — Czy grzech jaki ciężły? —
Czemuż pysznego ducha nie zwyciężył,
Win swych nie wyznał z grzesznym popowiczem,
Przed mołojcami, przed morza obliczem? —
Któż to odgadnie? głęb serca bezedna,
Co w niej się dzieje, wie Opatrzność jedna.

II.

WIĘZIENIE NA ZAMKU KRAKOWSKIM.

Rok był pięćsetny osiemdziesiąt czwarty;
Na zamku, na krakowskim stoją warty
Po plankach, basztach. — Widok to nieznany
By naszych królów strzegły partyzany;
Wierność narodu była im strażnicą.
Czemuż po kątach halabardy świecą,
I czujne hasło obiega noc całą?
Oj, coś dziwnego na zamku się stało!
Oj, że dziwnego nie wątpię nikomu:
Oto, jak słyhać — pojman u Włódkowej
Samko Zbrorowski, w starościńskim domu
Siedzi uwięzion i niepewien głowy.
Bo też ją nosił, aż strach, jak wysoko!
A choć banita, nie lękał się w oko
Zajrzeć królowi i prawu urągać;
Buntowne kupy na granicach ściagać;

Z carem, Rakuszą, zachodzić w konszachty;
 Huczno, buńczuczno, po kraju się zwiąć
 Z długim ogonem popleczników, szlachty,
 Najeżdżać dwory, klasztory rozbijać. —
 Tak to mówiono; i znów inne wieście
 Szerzyła partya przeciwna po mieście:
 Że kanclerz dumny, chce rej w Polsce wodzić,
 Wszak i tak z królem zaszedł w krewne związki;
 Że chciałby ścięciem tej jednej gałązki,
 Republikańską szlachtę w łeb ugodzić. —

Lecz wracam: wieczór z piątku na sobotę,
 Ruch się na zamku stał wielki; hajduki
 Precz rozganiaли uliczną hołotę
 Co się tłoczyła z okrzyki i huki —
 Gdy rum zrobiono, szmer powstał u brony:
 Kanclerz! ot kanclerz! — i szereg ściśniony
 Węgierskich drabów na dworzec się wtoczył;
 Z tego, znów mniejszy orszak się potoczył,
 Ku drzwiom od wieży. We środku orszaku
 Szedł kanclerz; znać go, z pióra na kołpaku
 Co siało dyamentowy odbłask w cieniu —

A cóż tam, wewnątrz? zajrzyj w okno ptaku
 Coś gniazdo uwił w okiennem sklepieniu,
 Zajrzyj i powiedz:

Zgiełkiem na podsieniu

Samuel zbudzon, we drzwi wzrok utopił;
 Zimny pot czoło wyniosłe mu skropił —
 Otarł i słuchał; choć bicie krwi w skroni
 Wrzawy zmieszanej odróżnić mu broni,
 Jednak wstał, czekał — acz wrzeczadź zadzwoni;
 Wszedł Uhrowiecki zamku podstarości
 I rzekł — Przychodzę oznajmić waszmości
 Boś o to prosił: że jutro o świcie
 Gardło dać musisz. —

— W sam czas przychodzicie!

Odparł szydersko, i czynił wyrzuty,

Że ledwo godzin kilka do pokuty
Zostaje; że chcą duch zgubić jak ciało,
Jakby jednego było jeszcze mało
Zemście kanclerskiej?

I po tym wybuchu
Snać, że z myślami pasował się w duchu
Bo długo chodził, niemy jak opona,
Wtórując krokom, jękiem z głębi łona.
I choć obecny Mroczek, rotmistrz pieszy,
Co rad zabawną krotocwilą śmieszysz,
Trzykroć zagabał — nie dał odpowiedzi,
Tylko: idź duszo w piekło bez spowiedzi!
Ciągłem powtarzał; bił czoło, darł włosy;
Potem przeklinał siebie, ludzi, losy —
Widząc to Mroczek, jał hamować srogą
Rozpacz grzesznika; cytował rzecz mnogą
Z pisma świętego: jako się nie godzi
Wątpić o łasce bożej, o zbawieniu;
By nie był wątpił i on Judasz złodziej,
Byłby niechybnie uszedł potępieniu;
Ale że wątpił, więc w piekle po uszy —
A ten że inny przykład czy nie wzruszy,
Łotra i Piotra? — Oba, acz zgrzeszyli,
Przecież zbawieni — czemu? nie wątpili —
Krótka przemowa widno, wzięła skutek,
Bo z twarzy więźnia spełzał gęsty smutek
By cień, rzucony od przepaści piekła,
I rozkajania długa ła pociekła;
A ciekąc, hardą zginała mu postać,
Rozkrzyżowała ręce, w kurzu zmyła
Czoło tak dumne, iż się nie mógł ostać
Żaden ze straży (a było ich siła),
By równie z więźniem nie padli na ziemię,
Pomagając mu dźwigać grzechów brzemię.

Gdy się to dzieje, znowu drzwi zaskrzypią:
Wszedł Uhrowiecki, a za nim się sypią:

Pan Drohojowski, Żółkiewski obożny
 Siostrzan Kanclerza; w ręku trzymał groźny
 Miecz obnażony; a za tym orszakiem
 Wszedł i pan kanclerz z gotowym pół-hakiem.
 Stolek wniesiono za jego miłością,
 Usiadł — i przygryzł usta sine złością,
 A z oka patrzył tryumf źle ukryty.
 I z powitaniem rwało się z pod wąsa
 Tłowo Stefana króla że: nie kasa
 Wściekły pies, Samku! kiedy raz zabity —
 Ja cię zabiję! — Kanclerz życiem trząsa! —
 Lecz się zhamował, snać wstydną popędu,
 I zaczął słodziej, coś niby z urzędu,
 Niby z przyjaźni: Ej Samku! Ej Samku!
 Myślałeś sobie, że ja pan na zamku
 Tylko krakowskim? — Wszak długie mam ramię,
 Co ja nie złamię, tego nikt nie złamię.
 Bardzoś mi bujał, wpadłeś na ostatku;
 Przyznaj: mężniejszym od ciebie mój bratku? —

— Co? ty mężniejszy? — Ryknął jak żubr w puszczy,
 Gdy go strzał utnie — kędyś je okazał
 To męstwo twoje? czy gdyś imać kazał
 W śnie, bezbronnego, twej ceklarskiej tłuszczy,
 Co dom napadła szlacheckiej matrony?
 Pięknyś mi hetman, i kanclerz korony! —
 — Piękny, nie piękny; lecz wilczek wpadł w jamę —
 — Nie twój to fortel — grzechy moje same
 Tak mię związały! Już się nie nadymaj,
 Trzymasz wilka za uszy, to go trzymaj,
 A nie myśl żeś już wygrał; nie gołębie
 W onem gniazdku zborowskim, a jastrzębie;
 Nad wszystkie ścierwo smaczne im — Jelita. — —

Kanclerz się zerwał, i za pół-hak chwyta,
 Iskrzącem okiem w pierś więźnia zcelował,
 Lecz przypadł Drohojowski i zmiarkował.
 — Dziękuję! — odparł — jak gdyby żałował

Popędu gniewu — byłoby za rychło.
 A gdy po chwili wrzenie krwi ucichło,
 Zaczął z powagą: Już wiesz co się czeka,
 Podróż choć krótka, a przecież daleka —
 Trzeba byś sprawił z grzechów się przedemną.
 — Tyś nie spowiednik — spuść mię już z tych pytek;
 Czas mój obróć na duszny pożytek. —
 — Nic nie pomoże. Mów, czemuś tajemną
 Przedsiębrał drogę i czynił zasadzki;
 Co znaczy język w liściach świętokradzki
 Przeciw królowi? Kogo zwiesz Baalem?
 O coś tam, w Lubku, targował z Moskałem?
 Mów, mów, połowę winy zmażesz żalem. —

A pan Samuel wciąż na to: Przez Boga —
 Puść mię, i nie męcz! —

Lecz kanclerz, by głuchy
 Pytał: — W Benderze kto narobił trwogi?
 Kto to podszczuwał niżowskie rozruchy;
 Jaka to trójka na zborowskiej trawie? —
 I wiele jeszcze; nie spisałby prawie
 Na wolej skórze wszystkiego co badał,
 Z kim bywał, jeździł, co robił, co gadał?
 A znał dokładnie miejsce, rok, dnia datę;
 Nieleddie jaką kiedy nosił szatę,
 I jadł potrawę —

Pan Samuel, zrazu
 Żwawo odcinał; lecz kiedy mu z cicha
 Kanclerz na ucho szepnął pół wyrazu;
 Staął jak wryty, z twarzy spęzła pycha;
 I choć go cisnął pytaniem, zgryzł wargi,
 Skrzyżował ręce; podobien do głazu
 Stał w obec sędzi bez gniewu, bez skargi,
 Nie już jak hardy przeciwnik, przed głównym
 Wrogiem, i z rodu szlachcicem mu równym,

Lecz jako chłopię, które ojciec łaje —
 Widać, że w duszy bitwę stoczył trudną,
 Gdy twarz w oziębłość przybrał nieobludną,
 Wyrok przyjmuje, do win się przyznaje;
 I nawet, kiedy kanclerz mu podaje
 Papier, i mówi: Pismem własnej ręki
 Napisz: Samuel Zborowski — napisał!
 Wszystko tak robił, jakby to nie męki,
 Gdy inkwizytor krew z niego wysysał:
 Gdy sławę w siczy nabytą, darł w sztuki,
 Toż pod Toropcem i Wielkimi-Łuki;
 Gdy zmuszał winy kłaść lasztem na braci;
 Gdy się przysięgał, że ich ród zatraci,
 Ród taki dawny! — Jakby żart był lekki,
 Potępić dom swych Jastrzębców na wieki?! —

Kanclerz z tryumfem odchodził — wszak w szkole
 Włoskich mataczy ćwiczon, umie w pole
 Bystrzejszych wywieść, nie dopiero taki
 Umysł dziecinny, z dymu i płomieni,
 Co by rad tylko mieć skrzydła jak ptaki,
 I bujać, szaleć bez końca w przestrzeni.
 Któremu szkołą tabor, a przygody
 Wojenne mistrzem; szabla i rumaki
 Książką, a zawsze serce w piersi młodej,
 Tęskniące wciąż do sławy, do swobody;
 Lepsze niż głowa. A winy — a zbrodnie?
 Gdy gmachy gorą, wiemy-ż kto pochodnie
 Pod dach podłoży? —

Pustą stała izba;
 Ale więźniowi duszno, jakby ciżba
 W okolo niego; jakby gniotła zmora —
 I na ramię spadała głowa chora —
 I westchnienie się rwało, jakby brakło
 Płucom powietrza; a może też łakło
 Wnętrznego uczucie widoku innego,
 Równin bez granic, sklepienia jasnego?

Bo nagłym ruchem zbliżył się do kraty,
Otworzył szyby —

Ulewa na dworze

Majowa szumi; wiatr nanosi szmaty
Chmur czarnych; miesiąc chowa się rogaty;
Gwiazdy zgasają. — A Kraków, jak morze,
Ryczy wód szumem i piorunów biciem. —

Więzień zbladł wszystek, czoło zgiął w pokorze:
O, znam cię burzo! mówił — tyś przed laty
Na Czarnem morzu darzyła mię życiem,
Które zapłacił swą skrucą — kto inny —
A jam tak milczał! jeden może winny;
A jam wzrok chował przed widmem, co w dali
Wciąż za okrętem, wciąż po szczytach fali
Goniło z jękiem, głośniejszym nad szumy
Bałwanów, majtków wrzaski, skrzyp okrętu;
Lecz nie głośniejszym od krzyku mej dumy! —
O, czemum w głębiach morskiego oddechu
Grobu nie znalazł! Wyrok padłby z nieba,
I dni mi dożyć nie byłoby trzeba
Takich jak dzisiaj — o, jak dzień dzisiejszy,
Dzień poniżenia, hańby — okrutniejszy
Niżli to jutro z mieczem i oprawcą —
A przecież mogłem sam być swoim zbawcą!
Trochę pokory brakło, dużo wiary!! —

Wtem też i burza minęła: obszary
Szafirowego nieba z chmur się czyszczą;
Znów księżyc świeci, znowu gwiazdy błyszczą;
I więzień dumął: — Ot, pogoda znowu;
Tak samo było, gdyśmy do Ostrowu
Tentry przybili. — Nic się nie zmieniło,
Tylko jak teraz, z nieba nie świeciło
Kilka promyków w moją duszę smętną,
Wówczas tak zimną, dziś nieobojętną.

Bo tu coś szeptce, że te wasze blaski,
To zdroj widomy zstępującej łaski — —

I długo z gościem bawił się promiennym,
Wyciągał ręce, rozkwilał, uśmiechał,
Rzekłbyś, że mówił z kim w widzeniu sennem;
I wciąż ku jednej stronie patrząc, wzdychał.
Zrazu ciężko, znów wolniej; urywkowy
Toczył monolog; coś dłońmi odpychał
By widmo: — Precz ztąd! przepadaj! — och, z głowy
Krew — krew — tu pryska. — Co robisz tam, w bramie?
Czemu oczy zawracasz? — kto zabił? — o kłamie! —
To nie ja. — Jednak, w tumultcie — niechcący —
Na Boga! zamknij tę czaszkę — gorący
Na mnie żar bucha — Przebacz! Bóg przebaczy —
Czego chcesz, czego? — ha trup! — w piekło haczy —
Nie! nie — to anioł, z nieba palcem ręki
Wieniec wskazuje — i narzędzia męki.
Z obłoku słyszę — cyt! słodkie wołanie —
Masz przebaczone —! Panie! Panie! Panie! —

Martwy na poły więzień upadł twarzą.
— Modli się — szmer był przy drzwiach między strażą.
— Niechaj się modli! mniej też będzie dłużny
Panu czartowi. Najlepiej wór próżny
Brać z sobą, prosić niebieskiej jałmużny;
Niech każdy święty dobre słówko włoży,
Klucznik niebieski zaraz drzwi otworzy. —

Gdy tak gadano, aż oto i dzionek
Zagląda w szyby. Z małżonką małżonek
W gniazdku jaskółczem na gzymsie go wita,
Szczebiocąc, życiem cieszy się — nie pyta
Czy ktoś za ścianą w podobnym przyspiewku
Zwita poranek, i ułoży sobie
Gdzie latać przez dzień, na którym sięć drzewku? —
Dla niego taki dzionek nie zaświta!
Przyjdźcie mu śpiewać, jaskółki, na grobie. —

SEN PASTERZA.

LEGENDA.

Był to sen, lecz sny takie od Boga zawisły.

NIEMCEWICZ.

Dzisiaj, gdy Pan Bóg cudów skąpi grzesznym,
I niedowiarkom, co radzi, pociesznym
Żartem nicują rzecz im niepojętą,
Choćby jak wzniosłą i jak arcy-świętą;
Dzisiaj, jak zawsze, ma Pan swoje wierne,
Którym: bądź prawdy objawia niezmierne,
Bądź ostrzeżenia, bądź zsyła widzenia;
Za życia łaską wieczną opromienia.
Lecz to się zwykle przed światem utaja,
Bo mędrak wydrwi, co prostak wybaja;
I na cóż perły rzucać przed bluźnierce?
Sercem-eś pojął, zamknijże to w serce —

K'temu, choć daję niniejszą legendę,
Niechaj za rozgłos potępion nie będę;
Bowiem w niej święte przeczucie się mieści
Tryumfu prawdy, skończenia boleści.
Więc, choćby człowiek wyszydził światowy,
Prostak, wieszczemi pokrzepi się słowy.

Owóz za naszych czasów — rzecz wiadoma —
Pilen stróż wiary i bożego doma,

Ubóstwu z czynów świętobliwych znany,
 Uczony, przytem Polak zawołany,
 Biskup Woronicz, rząd Pańskiej winnicy
 Piastował z chlubą w krakowskiej stolicy.

Pewnej to nocy, działo się — słyszałem —
 Święty mąż płakał i duszą, i ciałem
 Nad nieszczęściami ojczyzny, i w lutnię,
 Jak ów król Dawid, długo trącał smutnie — —
 Głuchem mu echem ściany odgwarzały:
 — I na toż przyszedł ten lud pełen chwały?! —
 Od łez, od czuwań potem mu powieki
 Z lekka się zamkły, i sen przypadł lekki,
 Sen sprawiedliwych, z chóry anielskimi,
 Co go nosiły wysoko od ziemi,
 Między wybranych, przed bożką obliczność;
 Hymny mógł słyszeć, widzieć rajską śliczność,
 I na tle samem, gdzie głębsze niebiosy,
 W księdze wyroków czytać nasze losy —
 Co tam w nich stało? — Nie wspomniał nikomu;
 Może sam nie mógł ogarnąć ogromu,
 Może nie było na to słów w języku;
 Dosyć że wiecznie zostało w tajniku.
 Ale nie wszystko; zapewne z rozkazu
 Pańskiego, jeden mały rys obrazu
 Wolno mu było objawić przed światem,
 Czy dla nadziei, czy przestrogi? —

Zatem

Nagle się ocknął: już gasnął knot świecy —
 On się w ubraniu ujrzał, przy łożnicy
 Jako był wczoraj, ukląkł do pacierzy.
 Więc zbiera myśli i oczom nie wierzy:
 Cud-li to jaki? widzenie-li senne? —
 Aż oto w okno zaglądająienne
 Szare promyki. — Jeszcze chwilę krótką
 Ukrzepiał ducha poranną pobudką,
 A w twarzy grał mu wyraz tak dziecinny,
 Jakby się nowo narodził, jak inny — —



Gdy skończył, ręką za dzwonek pociągnął,
 Prędko zdjął szatę, kotarę zaciągnął,
 Nie chcąc złych myśli w kim wzbudzać, surowy —
 Wtem też zapukał kapelan domowy;
 A biskup: Witaj, Bóg w porę cię zsyła!
 Która tam teraz? —

— Wraz piąta wybiła.

Już się zaczęło nabożeństwo ranne. —
 — Dobrze! waść widzę zawdziąłeś sutannę;
 Bieź do katedry, a prędko, a żwawo;
 Przed Matką Bożką w kaplicy, na prawo,
 Znajdziesz niewiastę co powiła dziecię,
 Pomoc jej dacie, a syna ochrzciecie.
 Rozumiesz wasze? — jeszcześ tu? — dla Boga! —
 Kapelan wryty stał chwilkę u proga,
 Zrazu się wachał, chciał niby coś pytać,
 Myśl skrytą z oczu pasterza wyczytać;
 Ale przywykły pełnić wyższą wolę,
 Jednym poskokiem prawie był na dole.

Biskup tymczasem zdawał sobie sprawę
 Ze snu; tłómaczył cudowną objawę.
 Choć zły duch czasem podsuwał wątpienie,
 Znów przemagało wewnętrzne rozczerzenie.
 Chwila pewności, chwila niepewności;
 Brak nadewszystko świętej cierpliwości
 Naganił w sobie — brewiarz otworzył:
 Jak proch się nisko przed Panem ukorzył,
 A rozważając potęgę wszechmocy,
 Prawie zapomniał o śnie zeszłej nocy —

Wtem znów zapukał kapelan.

— Ha! proszę —

Rzekł biskup — cóż mi donosisz?

— Donoszę,

Że wszystko według rozkazów spełniłem:

Przy matce lekarz, a dziecię ochrzciłem. —

— Czy chłopię?

— Chłopię, śliczne jako Cherub;
Matki nikt nie zna, jednak —

— Kto jest? nie rób
Wać poszukiwań — rzekł biskup skwapliwy —
I ja sam nie chcę wiedzieć; bo to dziwy,
Cud niesłychany Opatrzność nam zsyła —
Więc niech w ukryciu zostanie, co skryła.
Jednak waszmości, coś jest patryotą,
Mogę powierzyć tajemnicę: — Oto
Ów chłopiec — — jeszcze zaklinam waszmości,
Schowaj to w serca najgłębsze skrytości —
Otóż ów chłopiec — to nasz Zbawca! księżę —
Co się rozprzegło, on napowrót sprzęże,
Co w grobie legło, do życia powoła
Mieczem Chrobrego, trąbą archanioła —
A cudem świętej Dziewicy z Domremy,
Gdy sztandar wzniesie, z prochów powstaniemy. —

I na tem koniec słów mojej legendy.
Czy owe dziecię chowa się, i kędy?
Nikt o tem nie wie. Biskup sam nie wiedział;
A choćby — pewnie byłby nie powiedział.
Dziecię przeznaczeń — tajemnicą w czasie.
W nim się wylęże, światu poznać da się!
Wszak już przeczucia oddawna to wróżą:
Duszno i straszno czegoś — jak przed burzą.

TAJEMNICA.

Za dawnych czasów na zamku Kruszwicy,
Jakiś tam Popiel, książątko, panował:

był postrachem całej okolicy:
 Obdzierał, wieszał, chłostał i mordował.
 Naród, zwyczajnie opuściwszy uszy,
 Cierpiał zbytnika, choć przeklinał w duszy.

Przecież nakoniec kilku wojewodów,
 Którym za skórę dobrze sadła nalał,
 Uknuli skrycie i bez korowodów
 Skończyć z nim krótko, by dłużej nie szalał.
 Koniec ten, nie wiem, czy był romantyczny,
 Czy rasynowski, dosyć, że logiczny.

Kiedy spiskowi tak radzą na zgubę
 Srogiego pana, za piecem schowany
 Syn gospodarza, dziecię bardzo lubę,
 Słyszał przysięgi, namowy i plany.
 A że wyrostek i nie bity w ciemię,
 Zrozumiał sekret, schował jak pod ziemię.

Wiek to był ciemny; nie wiedziano bowiem
 Co są donosy, pensyjki sekretne — —
 O! dziś my stokroć szczęśliwsi się zowiem,
 Wartość cnót znamy przez cyfry budżetne.
 Ale nasz prostak nigdy by dla zysku
 Ojca nie sprzedał, choć wiedział, że w spisku.

Więc z tajemnicą, jak z ołowiu bryłą
 Biegał dnie całe, to polem, to lasem,
 A od swych stronił, bo ciągle korciło
 Choćby dwuznacznie coś bąknąć nawiasem;
 A że poganin, nie wiedział też wcale,
 Że można ulgę mieć w konfesyjale.

Nieraz dla ulgi chciał śpiewać po lasku
 Swą tajemnicę — a nuż echo zdradzi
 I gdzieś zanieśie? Nieraz i na piasku
 Chciał pisać kijem — a nuż się nie zgładzi?
 Przed wiatrem nawet chronił sekret owy —
 Nuż lodem spadnie? a wiatr był marcowy.

Lecz pewnej doby, gdy szedł nad jeziorem,
 Przyszło mu na myśl sekretu zbyć snadnie:
 Niech leci w wodę z kamieniem i worem,
 A nie wypłynie, co raz leży na dnie.
 Więc rzekł do wody: — Pod maćkową gruszą
 Księcia na łowach myśliwcy uduszą. —

Lekki jak piórko odtąd nasz prostaczek,
 Już się nie troszczył o ojcowską głowę —
 • Gdy w tem maj nadszedł: każda trawka, krzaczek,
 To w kwiat wystrzela, to w gałązki nowe.
 Jezioro również ubrało się w trzciny
 By wiatrem gadać o tajniach głębiny.

Tymczasem, nie wiem, przez jaki tam sposób,
 Wysmukła trzcina, wyrosła przy kraju,
 Gdzie Popiel zwykle pośród dworskich osób
 Przechadzać lubił; więc podług zwyczaju
 Idzie; a trzcina: — Pod maćkową gruszą
 Księcia na łowach myśliwcy uduszą. —

Odkryty zamach! Ot właśnie z ponową
 Miał Popiel jechać na łowy z rycerstwem,
 I odpoczywać pod gruszą maćkową —
 Teraz mu grożą takim przeniewierstwem!
 — Czekaście zdrajcy! ukarzę przykładnie,
 Za taki fortel tysiące głów spadnie! —

Był to pan, mówią, energiczny wielce;
 Dotrzymał słowa — Iłów skręcił nie mało!
 I nasz wyrostek, pomiędzy wisielce
 Mógł być odróżnić głowę ojca białą —
 Wpadł w wielką rozpacz, rzucił się w jezioro:
 Odtąd duch jego błądzi nocną porą.

KSIĘGA CZARNOKSIĘZKA.

Biedni poeci! państwo naszej wiary
Codzien napada zgraja profesorów,
Archeologów, i sztuk amatorów;
Pochodnią prawdy zwą swe okulary.
Słusznie! Erostrat przez swoją pochodnię,
Na nieśmiertelność zarobił wygodnie.

Kraków, naprzykład, kędy w grobach leżą
Nasi królowie — ach, pokój im w grobie!
Kraków — poezyi za grosz nie ma w sobie,
Z Sukiennicami i Maryacką wieżą —
Czy, że poetów duch Boży unika,
Czy, że zaklęty w opisie Węzyka?

Ani poeci, ni autor opisu
Winien tej prozie; lecz, jak rzekłem z góry,
Badacze prawdy. I tak, z onych, który
Wściekły bibliofil z rodu, czy kaprysu
Ów Twardowskiego otworzył fascykuł,
Choć inkwizytor łańcuchem go przykuł.

I czytał księgę, niepomny co ludzie
Mówili o jej czarnoksiężkiej mocy,
Że zaraz djabeł wyskoczy, jak z procy.
Ale bibliofil, nieulękły w trudzie,
Przejrzał do deski, i siłą powagi
Swej uczoności, rzekł: to Żydek z Pragi!

Żydek, nie Żydek — cóż kiedy zepsuta
Wiara w te dziwy! Cóż kiedy Twardowski
Został już Faustem, Niemcem z łaski bożkiej!
Kiedys w łeb weźmie łączyci Boruta — —
Niech swemi djabły Lach się nie przechwala —
Boruta — Borys — rieszyt go w Moskała.

Owóz za czasów, kiedy nasze światy
 Stały nietknięte, i kiedy wierzono
 W djabły i czary, a baby palono;
 Był żak w Krakowie, chudeusz za katy,
 Gdyż po kolendzie szedł codzień z bliźniaki:
 Krup, lub omasty wrzucił jaki taki.

Czasem przy święcie kapło kilka groszy,
 Te wnet obracał na papier, na świecę,
 Zwłaszcza, gdy księżyc zmieniał jasne lice —
 Biedak, niewiele zażywał rokoszy!
 Ztąd nieraz, nie sto, posyłał do biesów
 Siebie i swoich Arystotelesów.

Często o jego obito się uszy,
 Że w akademii pomiędzy księgami
 Jest Liber Magnus, dziwnemi znakami
 Pisana cała; że komu by duszy
 Nie żał dać piekła, niech się w niej rozczyta,
 A zły duch stanie — czego chcesz? zapyta.

Więc kiedy bieda dojęła mu ciężka,
 I głód dokuczał, i marznął pod strychem,
 Umyślił szczęścia popróbować z lichem,
 I jak mysz wkradł się, kędy czarnoksiężka
 Księga przykuta stała na łańcuchu —
 Otworzył — czytał i rzekł: jaw się duchu!

Na to wezwanie zatrzęsły się półki;
 Małe oktawy, in quarto, foliały,
 W taniec — a globy same wirowały.
 Żak nieustraszon, dalej swe formułki
 Cytował, pokąd w siarczystej zamieci
 Bies się nie ozwał: Do usług waszeci!

Czy niespodziane takie powitanie,
 Czyli też widok dość szpetnej postury

Z koziemi rożki, z koziemi pazury,
 Sprawił, że język jak kołem mu stanie,
 Coś tam bełkoce; djabeł krzyczy: prędzej!
 — Pietruszki daj mi! — a chciał rzecz: pieniędzy.

Piękna pomyłka! co rzekł, to się stało,
 Djabyły jak skoczą oknami i dachem
 Nosić pietruszkę, aż jednym zamachem
 Oną Wszechnicę zasypali całą.
 Szczęściem, że zawsze kur na djabyły pieje:
 Ten los by Kraków spotkał, co Pompeję.

KNIAŻ DYMITR WIŚNIOWIECKI.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
 Za kratami, na barlogu,
 Znosi ciężar mąk nieczule,
 Poprzysięga mścić na wrogu — —
 Jakby jeszcze na niewierne
 Stepem, hufce wiódł pancerne,
 Przy surm wrzawie i dum pieniu;
 Jakby nogę czuł w strzemieniu:
 A tu stepem — cztery mury,
 A dumami — jęk ponury,
 A drużyną — małe chłopię.

Hej pachole! oj ty tużysz,
 Już nie u mnie nie wysłużysz;
 I ja tobą nie wytropię
 Wroga w stepie, ni zatopię
 Bisurmańskie w Dniepr galary —
 Dość mi dałeś, dość swej wiary,
 Dość dzielłeś lichą dolę,
 Wróc pacholę na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczej jamie,
 Gdy cięciwa pryśnie w kuszy:
 Siada sokół wiern na ramię,
 Wierna strzała się nie ruszy.
 Ja ci strzałą, ja sokołem —
 Nie powrócę; cierpmy społem. —

Przyszedł sułtan z pychą pawia
 I tak kniazia sam podmawia:
 — Dam ci córę jak dzień jasną,
 Dam ci skarbów co niemiare,
 Tylko porzuć wiarę własną,
 Muzułmańską przyjmij wiarę. —

— Piękna córa, skarb bogaty,
 Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa giaura weźcie, weźcie,
 I za żebro go powieście! —

Już to trzecia wschodzi zorza,
 Na Gałacie, gdzie kraj morza,
 Książ na haku się kołysze,
 W oczach zemstę Turkom pisze.
 Patrzy w morze, to na szlaki:
 Nie pancerneż ciągną znaki?
 Czy nie czajki? ciężko wzdycha —
 Usta krzepną, mówi z cicha:
 Oj pachole wierne, młode,
 Wracaj, wracaj na swobodę! —
 — Ja ci strzałą, ja sokołem
 Nie powrócę, gińmy społem.

A książ oczy wiódł ponure:
 — Widzę w sadzie, winogradzie,
 Trzy sokoły przyleciały,
 Trzy rarogi jasnopióre —
 Hej pachole! daj trzy strzały;

Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I sułtana zmierzył — w ciemię,
A sułtankę — w samo brzemię,
A dziewicę — w same lice!

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaze na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku.

OBRAZ PANAGII W BURZY.

Ce qui déconcerte la sagesse humaine, ce
sont les perils: l'homme dans ce moment
devient religieux.

CHATEAUBRIAND.

Pewnego czasu, w pogody prześliczne
Chętka mię wzięła odprawić niedługą
Na morzu Czarnem, przy brzegach, żeglugę.
Okręt był grecki, na nim grono liczne
Osób zastałem, co na morskiej fali
Jak ja, na nowość wrażeń polowali.

Przy dobrym wietrze wybiegliśmy chyżo
Na pełne morze; brzegi się już ćmiły;
Z gajów Bosforu zalatywał miły
Powiew; a fale ledwo okręt liżą —
Takie spokojne. I w podróżnych duszy
Snać też harmonja; bo naraz się zbliżą
I w gadance nikt głowy nie suszy,

A rad ze swoich spowiada się wrażeń,
 Albo z słyszanych gdzieś w świecie wydarzeń.
 Ztąd też rozmowy urok był cudowny,
 I mruk największy stawał się wymowny
 W obliczu morza, tych miejsc historycznych,
 I towarzyszek podróży — prześlicznych.
 Przecież w regule musi być wyjątek;
 Taki wyjątek był i w naszym kole:
 Jakiś jegomość, z marszczkami na czole,
 Siedział na boku, przy nim ksiąg dziesiątek,
 W których wciąż grzebał, i tylko czasami
 Wzrok swój zawieszał między obłokami.
 Może się dziwił ich kształtów przemianie?
 Wątpię — najprędzej, że jakie zadanie
 Metafizyczne, rozwiązać zamyślił,
 Bo na powietrzu $a + b$ kreślił.

Z oryginała wszyscy się uśmieli,
 I prędko o nim wszyscy zapomnieli;
 Bo kiedy z duszy leje się rozmowa,
 Nawet złośliwy dowcip żądło chowa.

Wtem nasz kapitan. co stał przy sterniku
 I coś z nim mówił, wskazując ku górze,
 Krzyknął z płuc głębi: Burza, mamy burzę!
 Rozwijać żagle! — Z każdego kąciku
 Wyskoczą majtki, i jak po drabinach
 Pną się po masztach, po rejach, po linach.
 W mgnieniu, kawałka nie zoczyłbyś płutna —
 A nam też dziwno zkąd trwoga okrutna?
 Gdyż niebo zawsze pogodne się zdało,
 I tylko w dali coś niby tam wrzało. —
 Więc jaki taki skrył się do kajuty,
 Bo już pociągać zaczął wicher luty,
 I wielkie fale były w boki nawy.

Wchodzę — aż oto w sukience złotawej
 Obraz Panagii wyjął nasz padrone

I obżegnuywa każdą świata stronę —
Potem w kąciku zawiesza, i świece
Zatli jarzące —

Dźwigając książnicę
Całą ze sobą, wszedł i nasz literat,
Spojrzał po izbie: skrzywił się, coś nierad
Z tego, co widzi; bo się rozśmiał głośno
I mierząc obraz żrenicą ukośną,
Szemrał: Lud głupi! lud ciemny jak w rogu!
Nie stanął nawet w filozofii progu;
Dawniej Junonie, dziś kadzi Madonie.
O! cobyś na to rzekł bozki Platonie,
Powstawszy z grobu; co wy mędrce wszyscy?!
My tylko idziem, w miejscu stoją nizcy:
Ich świat — to cuda, świeczki i obrazki;
Nasz — filozofia, mądre wynalazki. —

Po tej tyradzie, burza się rozsroży;
Piorun maszt strzaskał; a wicher mocą całą
Gnał nas na skały. — Słów by mi nie stało
Malować trwogę; prawdziwy sąd boży!
Ci ręce łamią, owi krzyżem leżą
Najspokojniejsi, co najwięcej wierzą.
Majtkowie także pomp swych odbieżali,
Do świętej Panny o pomoc wołali
Z taką ufnością, i z poddaniem takim,
Że chociaż każda chwila grobem zda się,
Byliśmy pewni wzlecieć choćby ptakiem.
I ta nadzieja święta sprawdziła się.

Naraz nas łodzie rybackie otoczą —
Z tonącej nawy, ach jakże ochoczo
Każdy uciekał, jak niebu dziękował! —
A gdzież filozof? czy się wyratował
Spekulacyjnym jakowym wykrętem? —
Oto go widzę, leży w pół umarły —
Lecz cóż to? — z licem Panagii świętem
Szydercze usta pobożnie się zwarły!!

W trwodze mu zgasła pochodnia rozumu;
Lampą zbawienia, błysło czucie tłumu.

OPRYSZKI.

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka;
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka:
— Pij kumie — na zdrowie!
Bo droga daleka. —

— Nie będę pił wina
Choć w złotej dasz szklance;
Wysoka drabina;
Zagram na multance. —

I wysłał z niej głosy
Po niwach, po wodach;
Otrząsnął lzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

— Już szczeblów połowę
Zadzwonię w multankę;
Nim katu dam głowę,
Pozdrowię hochankę. —

I zadął jak z rogu
Na sioła, na bory;
Na każdym grał progę,
Z drzew zrywał bisiory.

— Drabina się kończy,
 Niech zagram raz jeszcze:
 Kto złączył, rozłączy —
 Z światem się popieszczę. —

I zagrzmiał głos gruby
 Jak organ grzmi farny,
 Aż zrywał chmur czuby,
 Aż nastał dzień czarny. —

— Gdzie stryczek? — kat woła
 — Gdzie szyja? wždy ciemno! —
 Oj strach był do koła,
 Kat wołał daremno.

Bo z borów, siół, szlaków,
 Głos wrócił, a z głosem
 Stu wpadło junaków
 Z watażką i krzosem.

— Gdzie wódz nasz? — grzmi rzesza;
 Straż broni zdobyczy —
 Kat, herszta co wiesza,
 Sam został na smyczy.

Przedmieścia zgorzały,
 Struchleli mieszczanie;
 A Tatry zagrzmiały:
 Górą Podhalanie! —

KONANIE KOZAKA.

Na kuczmańskim szlaku głucho,
 Tylko wciąż majaczy tuman,

I tę kopyt bije w ucho
Kozakowi, co zaduman,
Czy ubity u kurhana?

Ni zaduman, ni ubity;
Ognia krzesze, skałki pali,
Postrzałami wskroś przeszyty,
Porąbany wskroś od stali —
To tatarska — jedna rana.

Na niezabud miał chuścinę,
Drze, obwija — już nie stało!
W gardle sucho, łyka ślinę:
— Wody! wody! wiele, mało! —
Wody! w stepie odwołało.

Kary konik stał w pobliżu
Nie tknie trawy, łeb zwieszony,
Płacze pana — a na krzyżu
Siedzi orzeł, ostrzy szpony
Na mołojca białe ciało.

— Wiem ja, wiem ja, hen na błoni,
O trzy nieba ztąd źródliko;
Lećmy w zakład bracie koniu,
Ja wysoko, a ty nisko;
Jak prześcigniesz, skrzydła stracę.

— A ja czemże ci zapłacę.
Chyba potniesz mię na części? —
I step tętni, gdy koń skoczy,
Gdy ptak leci, piórmu chrzęści;
Ptak ochoczy, koń ochoczy.

Długo, długo ni o ptaku,
Ni o koniu wieści nie ma —
A tu stygnie duch w Kozaku.
Zmora siada nad oczyma;
Na kuczmańskim pusto szlaku!

Oj nie pusto! ziemia dudni,
I przemyka coś przez jary,
Konik z wodą drze od studni;
A gdzie orzeł, czy znikł w chmary?
Oj nie! orła wiezie kary.

— Bracie koniu! twa wygrana;
Daruj, daruj skrzydełkami! —
— Cyt, cyt ptaku! słyszę pana
Jak posyła świst z wiatrami
Lecz mdlejący, nie stepowy. —

Trzy polany, trzy parowy
Jeszcze przed nim; jak na lirze
Struny — w dwoje go przyrosło;
Schować orłom twoje pierze,
Jego wierne serce niosło.

I doniosło! — Przy junoszy
Padł, wyciągnął długą szyję —
— Pij, pij Panie! — Pan nie pije —
Trup z Kozaka, trup z rumaka.
Na żer orły! nikt nie spłoszy. —

WYPRAWA CHMIELNICKIEGO NA MULTANY.

Z Niżu wieje, cichy wietrzyk wieje;
Młódź kozacka w taniec iść gotowa:
Tylko Bóg wie, nim wyjdą przez słowa,
Jakie myśli Pan Chmielnicki grzeje!
Ni setniki o tem nic nie wiedzą,
Ni rotmitstrze, hetmany kurenne;

Bóg, co jeden zna serce bezdenne,
Zna w Chmielnickim jakie myśli siedzą.

Nad Dniestr przyszli; mieli trzy przewozy —
Pan Chmielnicki wyprzedził obozy,
Do Chocima skoczył, listy strzela —
Multańskiego wyzywa Wasyla:
— Po co długo słowami szermierzyć;
Albo bić się, albo mir uderzyć.
Na przymierze przyjmiesz mię w gościnę,
Lub Wołoszy oddasz połowę. —

Gdy Wasyli poczuł takie wieści,
Do Hetmana Potockiego pisze:
— Czy Hetmanie masz rozum niewieści,
Czyć gorzałka w drzemocie kołysze?
Czyś pancerne spoił towarzysze?
Ze dopuszczasz Chmielnickiemu broić,
Trupem naszym kraj Multański zgnoić,
Kraj Multański naszą krwią napoić? —

Lachy z grodu uchodzą, z Suczawy,
Wasylowi niosą wieść niesławy;
Po ich drodze płynie potok krwawy,
A ich trupy pilnują granicę. —
Wasyl patrzy na Jassy, stolicę;
Łza mu kanie: — Jassy, moje Jassy!
Jako dziewic krasa, twoje krasy.
Wiatr perzynę rozwiewa na szlaki,
Twoją krasę rozwieją kozaki! —

Pan Chmielnicki zahetmanił gracko:
Młódź na Siczy ucieszył kozacką!
Potarł Wołosz, Lachom zalał sadła!
W on czas sława jasna na nas spadła:
Kozak gonił, wszem cudzym na strachy,
W moskiewszczyznę, w Perekopce, w Lachy.

ZAPRZEDANA.

Na zielonej, na carynie
 Siedzą Turcy, lulki kurzą:
 Przy sorbecie i przy winie,
 A Romana winem durzą:

«Hej Romanie, kumie naszy,
 Przedaj siostrę Ołeneczkę,
 Dla Turczynów, dla kardaszy
 Za jedwabną, za uzdeczkę,
 Za koniki maści karej,
 Za siodełko, srebrne tkanie,
 Za czerwienie, za talary,
 Przedaj siostrę nam Romanie! —

Roman do dom wraca, siada
 Za stół, głowę wsparł na stole:
 Dumka w dumkę, w radę rada
 Dać, czy nie dać ją w niewolę? —

— Hej Ołeno, hej siostrzyco!
 Stół cisowy zaściel czysto:
 Pomyj misy, niech się świecą
 Pozłocisto i srebrzysto.
 Hej Ołeno! hej siostrzyczko!
 W białe owiń się rańtuchy:
 Rumianeńkie umyj liczko,
 Może zkąd napłyną druchy. —
 Siostra wyszła na podwórze
 I poziera w step szeroki:
 — Zkąd Romanie takie duże
 Dymy idą pod obłoki?
 Czy się orły skrzydły biją,
 Czy owczarze turmę żeną? —

— Ni się orły skrzydły biją,
 Ni owczarze to Ołeno;
 Ale Turki, twoje swaty
 Twoje druchy i bojary,
 Zawieją cię w kraj bogaty,
 Dadząc złota co niemiary. —

Usłyszawszy to dziewczyna,
 Ta różyczka, ta kalina,
 Jako chusta wraz pobladła;
 I o więcej już nie pyta —
 Do świetlicy tylko wpadła:
 Czegoś szuka — ot i chwytła
 Nóż ze stołu długi, ostry —
 Utopiła nóż w jelita:
 — Hej Romanie nie masz siostry! —

— Lepiej było się nie rodzić,
 Niż przebijać marnie łono. —
 — Lepiej marnie z świata zchodzić,
 Niż Pohańca zostać żoną! —

BRANKA TATARSKA.

Nie zapieją nocą kury,
 Nie czuwają ludzie w siele;
 A tu naszły dymu chmury,
 A tu naszło Tatar wiele.

Zrabowali, popalili,
 Poganiają lud w jasyrze,
 Powrozami upowili,
 Podcinają konie chyże.

Jedzie Tatar na bezdroże
 U strzemięcia brankę troczy;
 Stara branka iść nie może,
 Wyplakuje stare oczy.

Dniem i nocą, stepem, wodą,
 Jada, brodzą, w kraje Chana;
 Tatar stanął przed zagrodą,
 Żona wyszła przeciw Pana.

— Witaj moja! ot masz lite
 Złotogłowy, zausznice,
 I przywiozłem ci kobietę
 Z samej Polski niewolnicę.

Trzy roboty robić będzie:
 Niech oczami pasie trzodę,
 A rękami kądziel przędzie,
 A nogami huśta młode. —

Więc oczami pasła trzodę,
 A rękami przędzie snuje,
 A nogami huśta młode,
 A młodemu przyśpiewuje:

— Tatarczątko luli! luli!
 Ty po córce mi wnuczątko;
 Córka matki nie przytuli,
 Babki nie zna niebożątko. —

Tu Tatarka wstała, zbladła:
 — Zkąd ty znasz mię, niewolnico? —
 — Gdy cię niańka w kąpiel kładła,
 Iskra padła ci na lico. —

— Matko moja! zrzuć te łaty,
 Bierz jedwabie, bierz sobole;
 U nas taki kraj bogaty,
 Co masz tęsknić na Podole?! —

— «Lepsza moja plachta zgrzebna,
Niżli wasza szata złota;
Tobie tęsknić nie potrzebna,
Za Podolem mnie tęsknota. —

ODJAZD NA WOJNĘ.

Gomon, gomon po dąbrowie;
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać syna!
— Idź odemnie, matka powie:
Niech cię Turczyn w plon zabierze! —
— O, mnie matko Turczyn zna,
Dziarskich koni stado da. —

Gomon, gomon po dąbrowie,
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać syna!
— Idź odemnie, matka powie,
Niech cię Orda w plon zabierze! —
O, mnie matka Orda zna;
Srebra, złota dużo da!

Starsza siostra z koniem czeka,
Młodsza z szablą i kołpakiem;
A najmłodsza wciąż wyrzeka,
— Którym bracie wrócisz szlakiem,
Za rok, za dwa, za pół wieka? —
Wyglądają z wszystkich stron,
Czy nie jedzie z wojny on?

Weźmij siostro garstkę piasku,
Posiej piasek na kamieniu;
Codzień chodź o zorzy brzasku,
Płócz ten piasek w łez strumieniu,



Jeżeli piasek zejdzie, skwitnie
 Jak na wiosnę kwitnie sad,
 Wtedy z wojny wróci brat. —

Po dąbrowie grają głosy,
 Tuman polem się przewala;
 Przywołuje mać synała:
 — Wracaj synu! zmyjć włosy! —
 — O, mnie matko deszcze płuczą,
 Rozczesuje ostry głóg;
 Suszy wicher — ciężkom zmókł!

C Y G A N K A.

Cyganecka wróżka w boru,
 Z chrustu szalas grodzi;
 Młode dziewczę co wieczoru
 Do cyganki chodzi.

— Oj cyganko, oj co wróżysz,
 Masz na serce leki;
 Ty kozaka dla mnie zdurzysz,
 Niech kocha na wieki. —

Cyganecka koło toczy,
 I wróży wśród koła;
 I dziewczynie splot warkoczy
 Ustrzyże z nad czoła.

— Cyganecko, dalej, dalej,
 Mnie tęsknica taka! —
 Cyganecka kosę pali,
 I poi kozaka.

— Czemu w kubie mętna woda,
Czy wiatr na jeziorze?
Czego tęskni dziewczka młoda,
Czy się kocha może? —

Oj dziewczyno, złe to czary,
Kozak się wywinie!
Szumią łązy, szumią jary,
Liść po wodzie płynie.

Szumij jarze, szum bajracze,
Pokąd się zielenisz.
Ty dziewczęta zwódź kozacze,
Aż się i ożenisz.

P R Z Y J A Z D.

Szumią łązy, oczerety.
Gdzieś kozacze z drogi, gdzie ty?
Zjechał błędem, wiatry ściga,
Konia strudził, koń nalega.

Kozak leci górą, dołem,
To jaskółką, to sokołem;
Niezmordowan, niezatrzyman;
Aż mu drogę zaszedł liman.

Liman, gwiazda w ciemnym stepie.
Konia puścił, wodę chłpie,
A sam łzami zlewa lica;
Z drzewa kuje zazulica.

— Oj zazulo! dobre ptaszę,
Pokaż, pokaż szlaki nasze;
Kędy jechać do slobody,
Czy przebrodzić duże brody?

Czy tam góry, czy polany,
Do dziewczyny, do kochanej?
Ty leć przodem, siądź na drzewie,
I zakowaj mojej dziewie.

Jak usłyszysz, rzuci łoże,
O kozaku wspomni może! —
Zuzuleńka z drzewa kowa,
A pod drzewem trwa rozmowa:

— Lecę, lecę dniem i nocą,
A sam nie wiem jest-li po co?
Do niewiernej może jadę,
Po truciznę, lub po zdradę. —

— Ja tu płaczę dniem i nocą,
Płaczę, wzdycham, nie wiem po co.
Za niewiernym płaczę ja tu,
A on buja gdzieś po świecie! —

Ciszej! ciszej! u kozaka
Jak gwiazd w niebie, miłość taka;
A miłości u dziewicy —
Ile srebrnych łez w krynicy.

TRZY KUKUŁKI.

Wypadł sokół z lasu na caryny,
Pojrzy w koło, nie stało drużyny —
I wyskoczył z watażką na hale;
Za nim tucza, wystrzał po wystrzale.
Źle z junakiem! — Oj zielona sosno,
Skryj mię w kity co tak bujno rosną! —

Tucza szumi sosna się chybotą:
 Nie chylaj się sosno, ja sierota.
 Z mojej drużby bielą w dołach kości,
 Z mej rodziny nikt tu nie zagości,
 Chyba tylko strzał z rusznic doleci,
 Chyba orzeł po karmę dla dzieci. —

Tucza szumi — po halach się wspina.
 — Zdaj się zbóju! — z dołu napomina.
 Junak milczy; grają wciąż rusznice,
 I gałęzie ścielą mu łożnicę.
 Już sokolich skrzydeł nie roztoczy,
 I watażki we krwi nie ubroczy!

O świtaniu wieści znosi rosa:
 Trzy zuzule lecą przez niebiosą,
 Wszystkie siwe; zawodzą jak wdowy.
 Jedna siadła u bujnej mu głowy,
 Druga siadła przy nogach młodziana;
 Trzecia siadła przy sercu, gdzie rana.
 Kędy głowa — siedzi mać sędziwa;
 Kędy nogi — siostrunia spoczywa;
 Kędy serce — młoda narzeczona.
 Matka płacze — płynie łza skrwawiona;
 Siostra płacze — napęlnia krynice;
 Narzeczona suche ma źrenice.
 Matka płacze od roku do roku;
 Siostra płacze od rana do mroku;
 Narzeczona co pomyśli, wzdycha,
 A co westchnie, jak drzewko usycha!

ŚPIĄCY MILTON.

Do ***

Zbudziłaś mię — dziękuję! — Ale cóż mi potem
 Kiedy suknią szeleszcząc, zbudziłaś przelotem;

A jam widocznie na to położył się w gaju,
 Bym się obudził z myślą o straconym Raju.
 Zapewneś nie wiedziała, z jakiej to przygody
 Raj utracony powstał? Słuchaj: Milton młody
 Wyszedłszy na dumanie do jakiegoś lasu,
 Tak się znużył dumaniem, że zapragnął wczasu,
 Czyli, mówiąc po prostu, pod drzewem zachrapał.
 A byt to piękny chłopiec! zwłaszcza, kiedy zapął
 Ożywiał jasne oczy, na teraz zamknięte;
 Za to usta miał śliczne, jak karmin czerwone,
 Ząbki jak perły i włos pozłocisty, kręty —
 Tam, w lesie, za aniołka śmiało mógł być wzięty.

Owoż jakaś panienka — nie wiem, czy poetka,
 Dość że smukła jak trzcina, a jak sarna letka
 Biegła sobie gaikiem, a ujrawszy śpiocha
 Stanie przed nim, popatrzy — i bodaj już kocha.
 Serduszek w niej zadrżało, aż raczka upiekła:
 Chciała z razu uciekać, ale nie uciekła.
 Tylko — przebóg! ach, uszy zatulcie Angielki!
 Gdyby się dowiedziano, skandal byłby wielki. —
 Na ustach młodzieniaszka całusek gorący
 Wycisnie, i to głośno, choć pewnie niechcący:
 Bo, jakby przestraszona, w gąszcz największy wpadła,
 Ledwo ślad zostawując sennego widziadła.

On tymczasem błękitne przecierając oczy,
 Ustami czegoś szuka, jakby sen uroczy
 Chciał dogonić na jawie, i zgarnia ramiona,
 Lecz w nich tylko powietrze było, a nie ona.
 Sen-że to? ale jaki! Z raję anielica
 Zbiegła pewnie i skrzydłem trąciła o lica,
 Zkądże na ustach został jakiś przysmak miódny?
 I czuł oddech na twarzy palący, nie chłodny,
 I szelest — gałązkami zadrgała leszczyna —
 To nie duch, ale raczej Aniołek, dziewczyna!

Jej rysy, acz przez senne oglądane tkanki,
 Wyrwały mu się w duszy jak portret kochanki,

Wtem lepszy, że ni złodziej, ni przypadek jaki
 Mógł go porwać, lub zetrzeć ulubione znaki.
 On też z nim nierozdzielny nosił się po świecie,
 Lubego wzoru w każdej szukając kobiecie;
 A choć cudne spotykał, nie napotkał swojej:
 Nie wiem czyby się mieniał na Helenę z Troi.
 Dość, że poznawszy krajów i ludzi coś dużo,
 Zawiedziony w nadziejach, i zbity podróżą,
 Gdy nie znalazł przedmiotu swych westchnień na ziemi
 Rzekł w końcu: Ona w niebie, między wybranemi!
 I dalej w lot się puścił stropem ugwieżdżonym,
 Nie oparłszy się nigdzie, aż w Raju straconym,
 Gdzie spotkał ową piękność widzianą za młodu
 Poznał ją, i wyśpiewał — Ewę, matkę rodu. —

Spróbować snu Milтона, wzięła mnie pokusa:
 Położyłem się w gaju by dostać całusa;
 A chociaż ci sposobność dałem, jakiej mało,
 Bo i las, i samotność, i południe grzało —
 Przebiegłaś niedomyślna. — Oboje tracimy:
 Ja całusa, ty Pani, tracisz w zamian rymy. —

DUCH NAPOLEONA.

Na konferencyach w francuzkiej stolicy
 (Taka wieść chodzi w publiczności głucha)
 Obradowali raz pełnomocnicy
 Do później nocy — i ujrzeli ducha
 Napoleona! Kapotę miał szarą,
 Znany kapelusz i gwiazdę legionów,
 Rękę wzniesioną — jakby groził karą,
 Spojrzenie — jakby wywracał sto tronów —
 I zaczął mówić coś grobowym głosem
 O tamtym świecie, o ciężkiej pokucie:
 Że on tam z Polską cierpi wspólnym losem,
 Marznie Sybirem, boleje po knucie,

Gnije więzieniem, łzą tulaczą płacze —
 Że jego piekłem są Polski rozpacze.
 Mówił — i pono mówił bardzo ślicznie!
 Lecz szkoda było jego retoryki,
 Bo ministrowie i pełnomocniki,
 Nie hierarchicznie, nie alfabetycznie
 Wszyscy ze stołków spadli pod stoliki,
 I tam, w omdleniu leżeli jak dłudzy,
 Póki na hałas nie nadbiegli słudzy.
 U dyplomatów, szczęściem, głowa tęga,
 Więć i w trzeźwieniu niedługa mitręga.

Gdy do porządku grono powróciło,
 Każdy się pytał: Co to? co to było?
 I różni różnie sobie tłumaczyli:
 Jedni składali na wrażenie chwili,
 Drudzy widzieli w tem mistyfikację,
 A inni znowu polską emigrację.
 Byli i tacy, co nawet wierzyli
 W Od Reichenbacha, pukające duchy —
 W końcu ze siebie rozśmiali się, zuchy!
 I z zimnem sercem, a zimniejszą głową
 Do konferencyi zasiedli na nowo:
 Aż i warunki stanęły traktatu
 Na pocieszenie i zbawienie świata,
 Póki go lada nie zakłóci mucha —
 Taki to pokój — bez ducha.

1856.



OBJAŚNIENIA.

DO TRĄB W DNIEPRZE.

Bolesław Chrobry z ogromnem i dobrze sprawionem wojskiem ciągnął na kraje ruskie. Jarosław, syn Włodzimierza, zgromadziwszy równie potężne wojsko z Rusinów, Waregów i Sławianów, zastąpił Bolesławowi przy rzece Bugu. Poprzedziły przez kilka dni lekkie z obu stron harce kamieniami i strzałami, nim przyszło do walnej rozprawy. Pierwszy król zaczął potyczkę, rozgniewany grubiańskiem szyderstwem niejakiego Błuda poradnika książęcego, który, stojąc na drugiej stronie rzeki, samego króla dla otyłości wieprzem nazywał. Wojsko za przykładem króla w pław rzekę przeszło. Pośpiech królewski pomieszał Rusinów: po kilku godzinach krwawej bitwy zniszczeni prawie i starci pełne martwych ciał zostawili bojowisko; obóz z całym plonem dostał się królowi. Sam Jarosław, samoczwart uciekłszy z pola, ani w Kijowie widział się bezpiecznym, bo ztamtąd pomknął do Nowogroda. Bolesław podstąpił pod Kijów; po długiem oblężeniu zdobył szturmem, a wjeżdżając przez złotą bramę ugodził w nią pałaszem, który odtąd nazwę szczyrbea otrzymał. Z bramy udał się do monasteru ś. Zofii, gdzie go duchowieństwo przyjmowało niosąc krzyże i kości świętych. Zabrane skarby odesłał do Gniezna. Wydano mu macochę z żoną Jarosława; ośm siostr jego, z których jedną sobie upodobał. Król, na znak zwycięstwa swego i rozszerzenia królestwa, słupy graniczne żelazne w Dnieprze, gdzie do niego Suła rzeka wpada, powbijać kazał. Przydają także że powrzucał do tejże rzeki

misterną jakowąś robotą z kruszcu udziałane trąby, przez które sącząca się woda dźwięk jakiś dziwny wydawać miała.

Naruszewicz, His. nar. pol.

DO POTRZEBY WARNEŃSKIEJ.

Praktyk cygański. Praktykami nazywano wróżbitów; praktyki, czary.

Młody Krzysztoforze! Znana jest starożytna pieśń pobożna o Krzysztoforze: czytelnik znajdzie ją w księgach Bibliograficznych Lelewela. Rej mówi w żywocie pocziwego człowieka: — Bądź jak on Krzysztofor wielki a stały we wszystkich sprawach twoich. — Krzysztofora wyobrażano w średnich wiekach w postaci olbrzyma i stawiano go przy zamkach, kamienicach, jak to po dziś dzień widzieć można w Krakowie, w Kazimierzu, w Lubelskiem, niosącego na ręku dziecię Jezus przez wodę, podpierającego się drzewem.

Na ocel. Stal, z czeskiego.

Z namiotu kraśnego jen szyty perłami. Namiot Władysława pod Smederowem szyty był perłami, jak mówi Janczar Polak.

Łażbią. Łażbić, miód z barci, pszczoły podbierać. Po drodze w czasie tej wyprawy wyłamano kilka zamków, przy których dwaj Polacy dzielnie sobie poczynali, jak pisze Bielski, gdy Jan Tarnowski u Sumenu wrota wysiekl, a Leszek Bobrzycki naprzód u Petraszu na mur skoczył.

Harcują k' wol' spyże. Spyża, żywność, np. zamki naspyżować. Ztąd zapewne spiżarnia, skład żywności.

Lud węgierski niemnożen choć czysty. Nad 20,000 nie było pod Warną wraz z Wołoszą. — Lud czysty — znaczy dzielny, doborny. Dragula Wojewoda wołoski, zobaczywszy małe wojsko węgierskie powiedział: że Turek miewa więcej luda gdy na łowy jedzie.

Czambuł, z tureckiego, krótka wojenna wyprawa, bez wielkich przyborów na długą kampanię.

Padysza, jen się dał w derwisze. Miurad II. po

pierwszej straconej bitwie z Władysławem, z żalu wstąpił do klasztoru i pokutował; — lecz gdy powtórnie Władysław wojnę rozpoczął, wywlekli go ztamtąd Janczarowie.

Greki od głowy po dukacie bierze. Grecy zamiast bronić Turkom przejścia do Europy, przewozili ich na własnych okrętach, biorąc od głowy po dukacie.

Jak przeważa deszczowa. Straszny miał być pochód gońców Tureckich, czyli awangardy; autor pamiętników wyraża się: że gdzie przechodzą, tam kur wiele lat nie zapieje; w ich języku zowią się Akumdzie.

W poniedziałek — bitwa zaczęła się w poniedziałek o świcie.

Cztery pływa tam sztandarów, jeden biały, i t. d. Cztery są chorągwie cesarskie, które są pomiędzy dworzanami: jedna najprzedniejsza biała, złotem pisana. Nazywa się Alamsamdiat, jakoby kto rzekł wszelkiej mocy chorągiew. Druga czerwona, trzecia zielona z czerwonym, czwarta żółta z czerwonym. Gdzie te cztery chorągwie rozwinięte, tam cesarz się znajduje. — (Pamiętniki Janczara).

Nuż w nie miły Staszku! Objawienie to miał Władysław Jagiełło pod Grünwaldem i wyrzekł te słowa, które tu w usta syna włożyłem.

Z klechdaniami. Klechda znaczy tradycję czyli podanie; to słowo znane jest po całej północy. W tragedji pierwszej znanej u nas pod tytułem Pamela, mówi Pamela: «Klechdy, starych bab nauczyły, jak lubowników przez powietrze prowadzić.»

Wonnym jabłkom uprosicie do raj. W jednej z powieści gminnych pomnę, że dusze pobitych zamienione zostały w wonne jabłka.

Kukry. Według Collectaneów Sękowskiego ów Janczar nazywał się Kodza Chyzyr.

Rozumiał co niema twarz gada. Na wschodzie podanie jest że znajdują się ludzie, którzy rozumieją język zwierząt, nawet kwiatów.

Trzebieńce. Eunuchy, tak ich nazywa autor Pamiętników Janczara.

Chwała, Alło za zwycięstwo szczęsne! Miurad II.

uradowany zawołał te słowa: El-ham du lillahi allaz-zefer! Chwała bądź Bogu za zwycięstwo.

Śród majdanu. U Turków ulica obozowa, u nas miejsce w lasach wycięte, gdzie jest mała osada, majdanem zowiemy.

Wiere, rzeczywiście, prawdziwie; patrz Reja.

Bojowiskiem dwaj jeźdźcowie, i t. d. Po bitwie sułtan w towarzystwie Azeb-Beja przejeżdżał po polu bitwy i obracając się do niego: «Co znaczy — rzekł — Azebie! że pomiędzy tyłu niedowiarkami żadnego nie widać z siwą brodą? — Padyszachu, odpowiedział, gdyby się pomiędzy nimi choć jeden sędziwy znajdował starzec, nigdyby się z nimi to nie stało. (Z Collectaneów).

DO SAMUELA ZBOROWSKIEGO.

Pierwsza część tego rapsodu: Czarnomorska Burza, jest poniekąd naśladowaniem dumy małoruskiej ze zbioru Maxymowicza; lubo poczynione są w niej znaczne odmiany, stosownie do głównego pomysłu, zawartego w tym poemacie. Wiadomo jest z dziejów, iż Zborowski robił z Kozakami wyprawy morskie i że był nawet ścigany przez galary tureckie. Ciekawy opis dzieł jego na Niżu znajdzie czytelnik w Paprockiego Herbach Rycerstwa, a mianowicie w Zbiorze pamiątek o Samuelu Zborowskim, wydany przezemnie w Poznaniu 1844. Do tegoż dzieła odsyłam wszystkich, którzyby chcieli rozpatrzeć się bliżej w tym dramacie XVI stulecia. O żadnym historycznym wypadku nie mamy tyle historycznych dokumentów, tak bardzo szczegółowych, ile o śmierci Samuela Zborowskiego; każdy nieledwie krok jego i słowo jest tam zapisane. Z tego pokazuje się, że sprawa ta ogromnie obchodziła naród, że coś więcej wchodziło w nią niż proste ucięcie głowy burzliwego szlachcica. — Najtrafniejsze tu będzie zdanie Mickiewicza z katedry słowiańskiej: Że to podobność była walka uczuć narodowych przeciw doktrynom Batorego i Zamojskiego.

PIESNI, ELEGIE, SONYTY.

MOJA GĘŚL.

Zawierucha szumi, szumi,
W okna bije śnieg;
Moja gęśla to rozumie
I zabrząknie w mig:

Coś o słońcu, coś o maju,
Coś o kwieciu łąk,
O szemrzającym też ruczaju
Wciąż tylko brząk, brząk.

Czarne tucze wiatr nanosi,
Piorun bije z chmur;
Moja gęśla w dłoń się prosi,
Cichy dzwoni wtór:

Coś o szczęściu, o pogodzie,
O spokoju dusz;
I o rajskim coś ogrodzie
Bez gromów i burz.

Czemuż w słońce, czemuż w ciszę,
Strunką ani drgnie?
Tylko smętna się kołysze
W najpiękniejsze dnię —

Nie ma wtóru dla słowika
 Ni dla gajów, wód —
 Czemuś gęśło taka dzika,
 Nieczuła jak lód?

A rozumiem! Teraz w siebie
 Wciąga blask i woń:
 Słucha co tam mówią w niebie,
 Co tam szepcze błoi.

A nabrawszy z wiosny, z lata,
 I dźwięków i farb,
 Kiedy jesień zakolata
 Otworzy swój skarb.

I wonnością, zielonością,
 Olśni zimny dół,
 Abym z wiarą i miłością
 Przyszłość naszą snuł.

WIARA W PRZYSZŁOŚĆ.

Na mogile puhacz drzemie,
 Puhu! w noc zakrzyczy.
 Czej Kozackie wskrześnie imię
 Na Niżu, na Siczy?!

Co dzień tęsknim przez wiek długi,
 A każdy okłaman.
 Wróci-ż Polska? wróci-ż drugi
 Nasz Daszko Ataman?

Grzmiały nasze samopały
 Na czajkach, w taborze —
 Syn kozacki lackiej chwały
 Zapomnieć nie może.

Rdza pojadła szable ojców,
 Rusznice bez kurków;
 Lecz jest serce u młojców
 Na Moskwę, na Turków.

Ż E G L U G A.

Chodź kochanko, chodź na morze
 Wiatr nam w żagle dmie!
 Nowe gwiazdy, nowe zorze
 Będą witać cię! —
 Miniem porty i zatoki
 Kotwię rzucim na obłoki,
 Precz od lądu, precz!

Kto ma duszę niewolniczą,
 Temu światem, ląd;
 A nam stropy nieb graniczą,
 Królem wiatr i prąd.
 I bez świadków tu kochanie
 Tajemnicze jak otechłanie —
 Precz od lądu, precz!

Nieraz siądzie na maszt mewa,
 Wieści niosąc z ziem:
 Że tam burza łamie drzewa —
 Nie smucim się tem.
 Co nam ziemie, co nam burze!
 Nam tu gwiazdy lśnią w lazurze.
 Precz od lądu, precz!

J U T R O.

Serca pojone piołunem,
 Dusze boleścią zranione,
 Patrzcie na drzewa zielone
 Poobalane piorunem.
 Patrzcie na chmury, tam w górze,
 Jaka z nich tęcza wykwita;
 Przejdą pioruny i burze,
 Jutro nas słońce powita.

Pielgrzymom do ziemi słońca,
 Gościniec zaległy głazy:
 Majaczą wody, oazy,
 A piaski, piaski bez końca.
 Czy dojdziem, czy nie? — iść trzeba
 Ku gwiazdce, co tam przybita!
 Krok jeden — zdejmie ją z nieba:
 Jutro nas słońce powita.

Jutro — lecz jakże dziś przeżyć
 Tę noc, bez chleba, przytulku?
 Patrzajcie, iluż w tem kółku
 Przestaje w to jutro wierzyć!
 A przecież lada jagódka
 Może nakarmić do syta,
 Przytulić trawka mięciutka —
 Jutro nas słońce powita.

O wierzymy! tylko niewiarą
 Pielgrzymy w tych puszczech giną —
 Burze i noce przemina,
 I ty się skończysz, Saharo!
 Kto o swą drogę gwiazd pyta,
 Bóg mu otworzy lazury;
 Niewiernym da noc i chmury —
 Jutro nas słońce powita.

P O D R Ó Ż.

Kiedyż, kiedyż do was wrócę?
 Bracia moi, siostry moje! —
 Ranną rosą pierś napoję,
 Z głosem dolin gęśl nastroję,
 I na całą błoń zanucę:
 Kiedyż, kiedyż do was wrócę?

Oto księżyc, oto gwiazda —
 W okno skrada się promykiem;
 Och, nie powiem nic przed nikim!
 Promyk będzie mi konikiem;
 Dosiędę go — jaka jazda,
 Przez błękity wprost do gniazda!

Toż im sprawię niespodziankę —
 Jaka radość, jakie płacze!
 Pisklę wraca się tułacze!
 Lżej umierać jak obaczę
 W koło siebie z siostr równiankę,
 Matkę, druhów i kochankę.

Każde czyta w mojej twarzy:
 Jak się zmienił — ach, włos siwy!
 Czy tam byłeś nieszczęśliwy?
 Mów, czyś żywy, czy nieżywy?
 Dobrze czasy ujrzym, starzy —
 Co Bóg zechce to przeważy.

Biegaj, biegaj, rozpatrz-że się
 W całym domu; czy jak było,
 Czy się dużo odmieniło? —
 Wszystko dawne mi odżyło,
 A porosło, jakby w lesie,
 A ku ziemi domek gnie się.

I zaglądam w każdy kątek —
 Zegar wita mię kukawką,
 Na podwórku lipa z ławką,
 Gdziem dziecinną grał zabawką;
 Duszą chwytam dawny wątek,
 Z końcem wiąże się początek.

Aż czeladka mię oskoczy:
 Panicz! panicz! — ci ściskali,
 Drudzy z boku poglądali:
 My już pana oplakali!
 Z nami będzie ci ochoczej,
 Tylko nie jedź w świat za oczy.

Darmo! darmo! — póki skryty
 Księżyc w chmurze — czy widzicie?
 Póty z wami wasze dziecię —
 Lecz jak stanie na błękanie,
 Spłynie po mnie promyk lity,
 I poniesie przez błękity.

I znów biegnę między sady,
 Z kwieci na skroń trząsam rosy,
 W chłodnem tchnieniu kąpię włosy,
 Z pól i dolin chwytam głosy:
 Jeszcze, jeszcze — nie ma rady!
 Ot już zjeżdża promyk błądy.

Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi! —
 Zostań, zostań, synu! bracie! —
 Próżno, próżno mię wołacie,
 Dłoń łamiecie, rozpaczacie.
 Już i za to ktoś odpowie:
 Głowę utną księżycowi.

SKARGA WIESZCZA.

Biedny wieszczu bez słuchacza,
Bez strun żywych gęśli biedna!
Jak ta ptaszka, co rozpacza
Na pustyni sama jedna.

Cóż ci potem, że do koła
Marzysz taki raj prześliczny?
Oko płacze, serce woła —
Odpowiada gwar uliczny.

Cóż ci potem, że w podniebie
Myśl wyrывa się skrzydlata?
Chcesz co ziemskie zrzucić z siebie —
Ciemna więzi cię komnata.

Strumyk brzękiem, echem skała,
Kwiatek wonią się odzywa;
Tobie pióro, karta biała —
Jeden tylko wieszcz nie śpiewa.

Oj! śpiewali niegdyś oni
Za słowiańskich starych czasów,
Kiedy gęśł im drgała w dłoni,
Śród Peruna świętych lasów.

Oj! śpiewali korowodem
Na teremie Włodzimierza,
Gdy róg żubra krążył z miodem
Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z sioła w sioło
Szedł na gody, wieczornice;
Pieśnią rzewną, to wesolą,
Rozpromieniał, chmurzył lice.

Dla młojców i dla dziewic
 O kukułce śpiewał chwilę;
 Znowu śpiewał, jak królewic
 Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepru, od Dunaju,
 Znowu dumkę Haliczanek —
 Jako dziewczka kwiatki w maju,
 Duch słowiański splotał w wianek.

Tak bywało za Lumira,
 Za Bojana — teraz jeszcze
 Serbska gęśla, ruska lira
 Konająco zaszeleszcze.

Chwytaj, chwytaj czuciem, uchem,
 Dźwięk w powietrzu, zanim skona,
 Piewco młody! z silnym duchem,
 Gęśli nowo nastrojona!

Twój świat ciasny się rozszerzy
 W stepy, góry, nieboskłonem;
 Gdy zapiejesz, gmin się zbieży
 Abyś wstrząsał jego łonem.

Kiedyż, kiedyż dnie przeminą
 One czarne — kiedyż przecie
 Pieśni wieszczów znów popłyną
 Z sioła w sioło, wskrós po świetle? —

PAMIĘĆ SERCA.

Gdyś wszystko zegnał u chaty twej proga,
 Ile też przysiąg na stałość, na wierność!
 Czy to rozdzieli lądów, mórz niezmierność,
 Zawsze powietrzna zostaje nam droga;

Przez nią polecą nasze myśli, chęci —
 Nie wstrzyma wicher przeciwny, ni mgła;
 Wierzcie nam, wierzcie, ze wszystkich pamięci,
 Najdłużej pamięć serca trwa.

Od pól rodzinnych, od sióstr i kochanek,
 Ledwo los pomiótł — a nieć uczuciowa
 Im dłuższa, dalsza, tem cienie się snowa,
 Że od pajęczych nie grubsza dziś tkanek:
 Rzadko wieść jaka po niej się zakręci,
 Rzadziej dopłynie westchnienie lub łza;
 I mimo przysiąg, ze wszystkich pamięci,
 Najkrócej pamięć serca trwa.

Każdy głos z domu, to jak krzyk pułacza:
 Tam brat z ojcowskiej wyzuwa cię włości;
 Kochanka, trudnej zbywa się miłości;
 Owdzie ktoś sławę nicuje tułacza — —
 A wy rzucacie, na krzyżu rozpięci,
 Płomienne słowa w dusz ostygłych dna;
 Próżne łyzy, słowa! — ze wszystkich pamięci
 Najkrócej pamięć serca trwa.

O! gdybyś duchem zapytał, pielgrzymie,
 Tych drzew, wód, dolin, gdzieś młodość przeskakał
 Czyć pamiętają? — Kamień' by zapłakał,
 Woda zadrżała, las oddał twe imię;
 Bo dzień odjazdu każde ziółko święci,
 Na każdej trzcinie wietrzyk żale gra;
 Tylko u ludzi, ze wszystkich pamięci
 Najkrócej pamięć serca trwa.

ZA CZASEM WZDYCHASZ.

Mamo! ty wzdychasz za lepszym gdzieś krajem,
Mówisz: tam będziem szczęśliwi i wolni
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkiwie polni —

I czemuż my tu zostajem?

Powiedz mi mamo, kędyż takie życie,
Czy tam, gdzie w polu pomarańcza rośnie,
Cały rok wiosna, i lato po wiosnie? —

— Oj, nie tam dziecię! —

To może mamo, tam, jak w książce pisze:
Kędy w upały chłodek nieustanny;
W szklanych pałacach wciąż biją fontanny,

Sto dziewic do snu kołysze?

Gdzie rajskie ptaki siedzą na palm szczycie;
Perły wyrzuca na brzeg morze samo,
A rzeki złoto — czy tam wzdychasz mamo? —

— Oj, nie tam dziecię! —

To wiem, ty wzdychasz na twoje Podole,
Za temi łąny, co się kłosem ~~kwieją~~ kwieją;
Za białym dworem — i lubą nadzieją

Ośladzasz nieraz tve bole.

Nie bierz mię z sobą, tam — śnieżne zamiecie,
I kruków stado ślania się nad groby —
I ty tam wzdychasz do ziemi żaloby? —

— Nie wzdycham dziecię;

Lecz wzdycham, synu, za ojczystą stroną —
Oby w wiosennym odżyła powiewie;
A wszystkie ptaszki na rodzinnem drzewie

Witały wiosnę wróconą.

Wtenczas już, synu, nie westchnę daremno!
Będziem wśród swoich, szczęśliwi i wolni,
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkiwie polni —

Dziś, wzdychaj ze mną! —

POCIECHA.

Nie skargami, ani łzami
 W kres wznioślejszy dążyć nam;
 Łza i skarga jak rdza plami,
 Nie przemoże piekła bram.

Jeżliś prawdzie przysiągł wiarę,
 Pod jej znakiem walkę wiódł;
 Dziś, choć gorzką pijesz czarę,
 Dla potomków składasz miód.

Oj, nie trudem kilku chwilek
 W świat, atomy można zlać;
 Szczęście wspólne, nie motylek,
 Wieki rośnie, aby trwać.

Żle na losy zdać się z wszystkim;
 A gdy zdasz na losy coś,
 To coś jeszcze pal ogniskiem
 Własnej siły, duchem wznosi!

Gdy wytrwanie nie przemoże,
 Nie powstanie Polska z nas;
 Wtedy zamień nas, o Boże!
 W jeden wielki bólu głaz?



ZAKŁĘTE KOŁO.

Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi —
 I żeglarz śpiewa na wezbranej fali;
 Biedny wyrobnik, z piosenką się budzi,
 Żołnierz ponuca, oparty na stali.

Kochanek, pieśnią łącz z oczu wyludzi —
 Skarży się drzewom i wiatrom się żali;
 Mnie, choć te wszystkie dokuczają bole,
 Nie mogę śpiewać w tem zaklętem kole! —

Ptaszki codziennie, kiedy wstają zorze,
 Dźwięcznemi chóry gwiazdę dnia witają;
 A mnież co słońce najżywsze pomoże,
 Gdy zewsząd takie chmury naciskają?
 Darmo! choć palce na struny położę,
 Brzękną raz dziko, i wnet się zrywają —
 Kiedyż w harmonię przerodzą się bole,
 Kiedy zaśpiewam w tem zaklętem kole?

Niegdyś, gdym wierzył w gorączkowe szale,
 Bywał dla pieśni tajemny zakątek;
 Zwodnicze życia w około mię grały,
 I napowietrzny wił się jakoś watek.
 Dziś, one postać szatanów przybrały,
 Burzących świata nowego początek;
 Zewsząd czyszczone dojmują mi bole —
 Jakżeż zaśpiewać w tem zaklętem kole?

Baśń o łabędziu chodzi dawnej treści:
 Że pieniem, zgonu zwiastuje zbliżenie,
 I tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,
 Że z lekka, w wieczne przenosi go cienie — —
 U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!
 Zaśpiewam — może śmierć przyjdzie na pienie —
 Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,
 Nie mogę śpiewać w tem zaklętem kole.

CZAS DO BOGA.

Ziemijskim potęgom tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień;
Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
Razem uderzy, a pole odłogiem — —
Czas było z Ojców połączyć się Bogiem.

W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
A choć śród cierpień i jęku rozpaczy,
Na promień łaski człek baczył tak mało,
Tak bezrozumnie dufał w szal junaczy,
Że myślał niebo zwalić pychy rogiem.
Czas było z Ojców połączyć się Bogiem!

Odkądem z starą wziął rozbrat osobą:
Ścieżki mych Ojców, jako drogi mleczne
Widzę za sobą, i widzę przed sobą
Ścieżki przyszłości ni to tęcze śliczne.
Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiem,
Czemużem z Ojców nie łączył się Bogiem?! —

Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci;
A ta ich wolność — to na duszę śruby,
W miłości ojca najwolniejsze dzieci;
I głów nie ugną, nie klękną przed wrogiem —
Czas nam, czas bracia połączyć się z Bogiem!

Kto wiarą idzie, zwycięstwo z nim kroczy;
Wódz trzyma duchy na ostrzu swej stali;
Naród ogarnia jakiś duch proroczy —
Co odbuduje, nie prędko się zwali;
Święci za ziemskim pomagają progiem:
W wierze, miłości, połączmy się z Bogiem! —



DO RENU.

Wody Renu zielone,
 Czemuż, czemuż nie w stronę
 Mej Ojczyzny płyniecie?
 Jabym co dzień jej w darze
 Puszczał myśli — korsarze —
 Jak swe czółenko dziecię.

Jabym co dzień w twe źródło
 Mieszał skargi, łzy moje,
 Wraz ze łzami tułaczy.
 Niemi fala wezbrana,
 Niechby w pałac szatana
 Niosła potop rozpaczy.

Lud pijący twą wodę,
 Piłby Alpów swobodę —
 Dziś spragniony umiera!
 Ona by mu śpiewała,
 Że w kołczanie jest strzała
 Na każdego Geslera.

Renie, Renie zielony!
 Czemuż nie płyniesz w strony
 Mojej ziemi, mej matki?!
 Nie obciążysz swe fale —
 Nie chcesz zemsty, nieś żale
 I na grobowiec kwiatki.

A Ren na to: Cyt synu!
 Zanim przyjdzie do czynu,
 Niechaj wam duch urośnie.
 Wprzód lud stopić i śniegi,
 Potem wylać nad brzegi:
 Tak Ren robi o wiosnie.

Serc i duchów płomieniem
 Wzniesicie się nad zgorszeniem
 W szczyt sztrasburskiej wieżycy —
 Wtenczas porzucam łożę,
 Was na grzbiecie przewożę,
 Aż do Wisły siostrzycy.

1839.

CZY JUŻ WIOSNA?

Mury, dachy wszecz i dłuż,
 Nad dachami dym i kurz;
 Ani nieba, ani łąki,
 Ani mówią tu skowronki:
 Czy to wiosna już?

A, tam w oknie coś zieleni?
 To wazonki
 Pełne lilji, róż.
 Biedne kwiatki
 Z swojej klatki
 Zapytują tych kamieni:
 Czy to wiosna już?

Czy już wiosna, kto nam powie?
 Czy nietoperz pan ciemnicy?
 Czy powiedzą krzyki sowie
 Z pustek dachu? Źle, kto budzi
 Duchów nocy! — Spytaam ludzi.

Ot tam, widzę, ogrodnicy
 Z koszykami na targ śpieszą,
 Z wiosny się cieszą,
 Bo z wiosny żyją.

Mają ogórki, sałatę, groch młody;
 Tętna przyrody pierwszej dla nich biją —
 Jak dzieci wiszą u piersi przyrody.
 Ich zapytam.

Czy już wiosna?

Czy się rozmaile lasy,
 Łąki w majowe ubrały atłasy?
 Czy dużo kwiatków? kukulka miłośna
 Czy kuka?

OGRODNIK.

Nam co po wiosnie?

U nas bez wiosny, a wszystko rośnie —
 To sztuka!

JA.

Ależ drzewa, murawa —?

OGRODNIK.

Tylko dla oczu zabawa
 Ogród angielski; u mnie warzywny,
 Nie piękny, lecz pożywny. —

Żłem trafił! on zysku kłem
 W ziemi ryje, jej przerabia soki
 Zgnilizną, szkłem;
 I myśli, że Bóg obłoki,
 Że stworzył ziemię i światy
 Dla ogórków i sałaty!

Tam — grono miejskiej czeladzi
 W święto niedzielne rade się prowadzi
 Od warsztatów, na wioski, na błonie,
 Wyszłe piersi poić zdrowiem.
 Lśnią się oczy, radość w łonie,
 Od nich o wiosnie się dowiem.
 — Moi panowie! pewnie z przechadzki?

JEDEN Z CZELADZI.

Tak, ze wsi.

JA.

Czy tam już wiosna? nie wiecie,
 Czy jak dziewczica wieniec sobie plecie,

Rozwiesza perły i motyle cacki?
 Czy się rumieni rumieńcem róż?
 Czy zerka oczkiem strumyków?
 Powiedźcie czy wiosna już?

JEDEN Z CZELADZI.

Któż to zgadnie! ogrodników
 Pytaj panie czy tam wiosna;
 Tam — masz piwo,
 I Marysię czarnobrewą,
 I zieleni się tam sosna,
 Godło karczmy.

Słuchaj kumie!

Bo to waszeć wszystko umie;
 Jeżliś widział, powiedz panu.

DRUGI Z CZELADZI.

Nie widziałem — —

— Czcza mozola!

Duszą, ciałem, lgną do dzbanu.
 Świat im krąży po pijanu
 Oni osią tego koła.
 Klnę tęsknotę!
 Z ust prostaka, w szczerozłote,
 Fantazyjne chciałem ramy
 Ująć obraz; jak zwierciadłem
 Porozświecać głąb mej jamy
 Słońcem wiosny — i w noc wpadłem!
 Bądź co bądź,
 Choćbym miał się lodem ściąć,
 Zapytam jeszcze. Widzę młodziana
 Z książką w ręku, wraca z pola,
 W oku myśl wielka wplątana
 Czytał Żan - Pola.

— Młodzieńcze! z nóg twych, okurzonych pyłem,
 Wnoszę, żeś był za miastem?

MŁODZIENIEC.

Byłem.

JA.

Ha! czy tam wiosna! schwytałżeś wietrznice
 I tulisz w zmysłach, jak w oku źrenicę,

Barwę, cień, blaski ? jak w zaklętym domie
 Sił rozpowiem grałać niewiedomie,
 A tyś dźwięk łowił, trzymał w dzwonie ucha,
 Aż w rym odegrał dzwon ducha?
 Czy tak? wiosna — młodzieniec —
 Myśl jedna: milion kwiatów w jeden wieniec.
 Ty mi objaw wiosny cud.

MŁODZIENIEC.

Cud wiosny? — Po deszczu coś trochę zielono,
 To fenomen; ziemi łono
 Resztką ognia topi lód.
 Czytam wulkanów systema,
 I powiadam: wiosny nie ma
 I być nie może; w jądrze żar przygasa,
 Z wierzchu rośnie lodów masa —
 Słońce toż samo w lody się zamyka,
 I znowu chaos nastaje dziedziczny.

JA.

Więc wiosny nie ma? Dowód śliczny!
 Jam go wzniosł nad brak uliczny!
 A on mu nie wart rozwiązać rzemyka!

Jest wiosna, bo jest miłość;
 Rozpowiecie, bo zawilość.
 Pierwej krąży sok pod korą
 Nim wystrzeli maju wiankiem:
 Zgaduj czuciem, a przed porą
 Staniesz się wiosny kochankiem.

1834 w więzieniu.

ITALIAM! ITALIAM!

Poeta, młody, a Włochy tak blisko!
 Bierz kij pielgrzymi, zwiedź bogów siedlisko,
 I sztuk kolebkę, pomniki i groby,
 I Rzym chrześcijański, ten posąg Nioby.

Spiesz, spiesz za Alpy, choćbyś nic nie zyskał,
Jak, żeś trzydziestu wieków prochy ścisnął.

Nie kuś szatanie mową twą zwodniczą,
Nie budź tęsknoty mgłą gór tajemniczą.
Jakby tam, za nią raj sielski Tybulla
Głuchy na dźwięki gineów John - Bulla;
Jakby tam głązy nie były głazami,
Choć tylu wieków mówią językami:
Jakby zbawienie czekało pielgrzymą? —
Prochy i groby! — Gdzie dziś grobów nie ma?!
A ty mnie jeszcze, z duszą rozbolełą,
Każesz iść płakać nad przeszłością całą
Rzymskich rozwalin, szukać ognia wiary
W dyplomatycznym chłodzie tej tyary,
Co twarz odwraca od Polski męczonej,
Na krzyżu whitej, cierniem oplecionej,
Tej najwierniejszej strażnicy kościoła!
Na to, by zyskać względy — u Mongoła —!
A może śmieszniej, bym jak Elgin wtóry
Z fresków, płaskorzeźb poobdzierał mury,
I niemi zdobił, śniegami zawianą,
Na naszych stepach lepiankę słomianą? —

Więc nie chcesz gruzów? — Czleka badaj, czleka,
Duch jego w formę troistą tam ścieka:
Religii — niebios błękitnych — umnictwa —
Trzy najwspanialsze Italji dziedzictwa!
Bierz kij pielgrzymi; choćbyś nic nie zbadał,
Jak żeś z krwią Bruta, lub Rienzych gadał.

Marna to wielkość onych bożków Rzymu,
Których sława nie stoi za kłęb dymu,
Co się z męczeńskich stosów w górę ciągnął,
Gdy gołąb orły w wóz tryumfu wprzągnął.
A jednak państwo miłości, pokory,
Ma swą purpurę i swoje liktory;

Wrzącym przesądem, jak słońce równika
 Pali wśród siesty czaszkę lazaroną,
 Co pod kolumną rzymskiego portyka
 Utracił wolę do życia — i kona!
 Piękne mi niebo, piękny cud Madony!
 Dziwni umuicy: Rafał i Torkwato,
 Co swoim pędzlem, swoimi bardony
 Ubogacili ziemię tak bogatą,
 Działwę jej karmiąc dziewięciu muz mlekiem.
 O wy niebaczni! Śród takich pamiątek
 Zabyć wam było Romuła początek,
 I wilczym wnuków nie nakarmić szpikiem?
 Krew bohaterów byłaby w nich wciekła
 Na wykupienie z Dantowego piekła. —

Patrzcie! śnią teraz — jak w nudów świątyni,
 Duchy ich wstrząsa smyczkiem Paganini,
 Improvizator, skoczek, lub kastrata —
 Wodzą na pasku dawnych królów świata.
 O ziemio bogów, wieszczów i malarzy!
 Stopa pielgrzyma ciebie nie znieważy.

r. 1840.

PRZYSŁUGA.

Grzmią po mieście tarabany;
 Lud się roi, jakby z uli.
 Więzień wyszedł okowany,
 I w śmiertelnej był koszuli.

Szereg zamknął się z stron obu;
 Bronie błyszczą, gra kapela.
 Kiedyż staniem tam u grobu,
 Mego brata, przyjaciela?!

Znaliśmy się dziećmi w domu,
Potem w szkole, w związku bratnim;
Teraz każą mi dla sromu,
Jego katem być ostatnim.

Ot plac kary. — Stój! i staniem —
Więzień żegna się z tym światem,
I ostatniem pożegnaniem
Ze mną bratem, ze mną katem.

Zawiążą mu chustką oczy,
Już nie kończy ksiądz pacierzy —
Na komendę wraz wyskoczy
Podoficer, ośm żołnierzy.

Cel! — i dziewięć łuf zmierzono,
Pal! — i w tłumie płacz, a jęki —
Osiem strzałów poszło stroną,
Mój dziewiąty skończył męki —

ZIMA I LATO.

I.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
Posępno, głucho, jakby wśród truny;

Ponocne mary wyją w zamieci —
Matka ukradkiem do boru leci.

Samotna chatka stoi tam w borze;
Puka: Otwórzcie! — Oj nie otworzę —

Ofukła wróżka, niedobra jędza.
A matka: Syna los mię przypędza!

— Losów nie zmienisz, jakie bądź padną,
Ni siłą woli, ni sztuką żadną;

Już policzone lata, dnie, mgnienia,
Wiem co go czeka, z ksiąg preznaczenia. —

Cóż tajemnica słów wróżki znaczy?
Matka dłoń łamie. — Krzyk sów, puhaczy,

Ze starych zwalisk, coś złego wróży —
I mary jęczą w śnieżystej burzy —

II.

Słoneczkiem letniem gorą niebiosy,
Z błoni wesołe wstają odgłosy;

Skacze co żywie: muszki, motyle,
I cyprys wesół, choć na mogile.

Jeden tam młodzian chmurne miał czoło,
Jakby w zakłęte wpisany koło —

Unikał słońca, biegał w puszczy ciemnie,
Starca o rady pytać tajemnie.

Starzec miał długą, po sam pas brodę,
W oku gwiazd blaski, w czole pogodę. —

— Niech cię zła wróżba, synu, nie trwoży;
Idź — drogę życia wskaże duch boży;

A z sercem prostem, i wolą silną
Życzysz szczęśliwość tutaj niemylną. —

I po tych słowach rozwił się w parę,
Lecz słowa starca, natchnęły wiarę.

— Niech los nasyła męki, łzy, bole,
Znam drogi pańskie, w piersi mam wolę. —

Odtąd polubił jasne niebiosy,
Świat mu się wdzięczzył i w kropli rosy.

WIEJSKI KOŚCIOŁEK.

Jakież to wdzięczne wita mię ustronie!
Śród lasu łąka, przez łąkę rzeczulka,
Wzgórek — lipami wieńczone ma skronie,
Nad wieńcem liści, błyszczy krzyż kościółka.

Ot, na mszę dzwonią! — Strząsnę kurz pielgrzymi,
Przestąpię długo omijane progi;
Lud wiejski ciągnie — pomodłę się z nimi;
Wszak najbogatszy w wiarę lud ubogi.

Tutaj konają świata dźwięki próżne;
Jakoś na duszy ochoczo i lekko. —
Szały namiętne, zapędy bezdróżne,
Zostańcie za mną daleko, daleko!

Wybrani idą do świętego stołu,
Przyjmować w skrusze ciało i krew pańską;
Ja jeden stoję — ach szczyptą popiołu
Posyp kapłanie tę dumę szatańską.

Może mnie łaska ożywi niebieska,
Wypchnie zwątpienie z mej piersi ściśniętej,
I jaka łezka, z lat dziecinnych łezka,
Wróci mi pokój niewinny i święty.

Aż wtem, śród wiernych zagrzemiał hymn niedzielny;
Głos mój połączę z tych prostaczków pieniem: —
O święty Boże! święty nieśmiertelny,
Zmiłuj się —! Łzy mi pociekły strumieniem —

Och! bo lat wiele, upłynęło wiele,
 Jak ucho moje tych pień nie słyszało
 W ustach współbraci, i w takim kościele —
 Młodszem wspomnieniem serce zapłakało.

Bo któż bez żalu może w przeszłość patrzeć,
 Kto wolen cierpień, goryczy tajemnych?
 W obliczu Pana, ktoby nie chciał zatrzeć
 Łzami, na karcie życia rysów ciemnych? —

I Pan przemówił do mnie w onym śpiewie,
 Wiara, nadzieją, i miłości mocą;
 Pan mię uczynił liściem na tem drzewie,
 Co świeżym wiankiem połyska nad nocą — —

NIE SŁUCHAJ PIOSNEK.

DO ***

Nie słuchaj, dziewczę, piosneczek guślarzy,
 Choć ucho głaszczą słowiczemi dźwięki;
 Zatruty oddech kwiat twej wiosny zwarzy:
 Guślarz dba tylko o sławę piosenki.

Piosnka guślarza — to uścisk upiora
 Co w śnie niewinnym krew dziewic wypija;
 Z jedwabnych rzęsów, rumieńca, kędziora,
 Piosnkę uprzedzie, spokojność zabija.

Słyszałaś w bajkach, jak wędrowca zdradą
 Wabi na bagna szatan w złota blasku;
 Tak guślarz wabi w swoje Eldorado,
 Aż wyprowadzi na pustynię piasku.

Bo serce jego — jak wulkan spalony,
 A ideały — jak pajęczce sieci,
 Westchnienie jego — jak rozbite dzwony,
 A błędny ognek, do kresu mu świeci.

Nie słuchaj piosnek dla dusznej swobody.
 Każda z nich wagą uczucia się ceni;
 Uczucie wielkie — djament cudnej wody,
 Ozdoba koron; rozbity — pierścieni. —

DZIECIĘCE LATA.

Piękne to były dziecięce lata,
 Kiedym zaledwie odnikł od ziemi;
 Myśl moja często ku nim ulata,
 Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki rękę —
 Kolano ojca było konikiem;
 W sercu woń taka, i tyle dźwięku!
 Oj, nie płakało jeszcze po nikiem! —

Świat wtedy dla mnie taki był mały;
 Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;
 Gwiazdki milionem oczek mrugały:
 Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyrzał nad wzgórze,
 Biegłem ku niemu — już, już go chwycę —
 Znowum po niebie jeździł na chmurze,
 I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słońko, jako się kładło
 W złote łóżeczko z chmurką pod głowę;
 Jak go jezioro potem odkradło —
 Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór, jam myślał sobie:
 Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki
 Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
 Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I co dzień rano, wieczorem co dzień
 Mówilem pacierz razem za mamą:
 Boże! niech będę darów Twych godzien,
 I niech Cię kocham zawsze tak samo.

Za dawców życia, za zmarłych krewnych,
 Za tych co cierpią, za Polskę całą,
 Jam się tak modlił! — Chociaż w niepewnych
 Rysach, to wszystko się malowało.

O gdzież te lata?! — Na pełne morze,
 Jak od wybrzeży fala odbita,
 Odbiegły — znikły. Kiedyż, o Boże!
 Anioł lat młodych, we mnie zawita? —

S O N E T Y.

I.

Petrarcha, Michał Anioł, Szekspir, Filikaja,
 I krymskich sadów śpiewak — moi przewodnicy!
 Promieni z ich obrazów pełno w mej źrenicy —
 Czyż nie jedno uczucie gęśl naszą nastraja?

Kiedy zwierza obsaczy w kniei gończych zgraja,
 Jedna myśl was unosi łowów zapaśnicy:
 Ręka chwyta kordelas, oko cel rusznicy —
 Zwycięzca, kto się pierwszy krwią zwierza upaja.

Który wygrał w tych gonach na miłośnem polu,
 Nie wiem, ani zgadywać napróżno się kuszę —
 Najpewniej rymy wasze, są to dzieci bólu,

Co krzykiem napęlniają ciemną serca głąszę.
 Lecz świat sądzi inaczej: w Kapitolu wianki
 Znajome, nieznajome, wplata wam kochanki.

II.

Któż o miłości śpiewa, a jeszcze w sonetach!
 Anachronizm, dziś ledwo studencka rozrywka;
 Dzieje serca powtarza każda pozytywka,
 A romanse w socyalnych smakują atletach.

Dawniej były kobiety — dzisiaj o kobietach
 Nie słyhać, na ich miejscu w spódnicach ideje;
 A bohater, gdy bardzo już się rozszałeje,
 Każe się postrzydz w Turka, tyje na sorbetach.

O, biednaż wasza dola, piosenki sieroce!
 Ronione razem z łzami w nieprzespane noce —
 Cóż poczniecie, gdy zimno i wzgarda was zwarzy?!

Co poczniem? wszak ptaszyna i na mrozie śpiewa;
 A śpiewa pod okienkiem, i nikt się nie gniewa —
 A nuż śpiew nasz posłyszysz Ona — i zamarzy.

III.

Jam tak o ludzkie sądy mało dbały,
 Że czy mię sławią, czy mię też nie sławią,
 Spoglądam z brzegu jak na morskie wały,
 Co żwir i namuł po sobie zostawia.

Bo i cóż znaczą swarliwe bazgrały?
 Kto mózgu nie ma, pewnie go pozbawią;
 Kto nieobronny, padnie pod ich strzały,
 Za co mu pomnik z papieru wystawią.

Tylko o jeden głos twój, luba! stoję,
 Kiedy samotni znajdziem się oboje,
 A ja ci czytam, lub coś rozpowiadam:

Ust twych i oczu śledzę wyraz każdy:
 Jeżeli się zchmurzą — jak od gromu padam;
 Jeżeli uśmiechną — lecę ponad gwiazdy.

IV.

Samotny, nagromadzam w duszę takie dziwy,
 Jakich w Seherezady powieściach ni słychu:
 To wyspy pływające, to gaje, zdroj żywy,
 A wonno, miękko, błogo, jak w róży kielichu.

A jaki na doręczu mam dowcip szczęśliwy!
 A jak umiem z słabości zdjąć i pozór grzechu!
 O, już dzisiaj podbiję ten duch uporeczywy,
 Połamię ten twój oręż ironii i śmiechu. —

Wchodzę — i zaraz oko uwięźnie w jej oku,
 Wrząca żądza na dołkach usteczek się wiesza,
 Myśl się płącze w warkoczów rozwianym potoku.

Głowa, serce, krew, wola, wszystko tak się mięsza,
 Że nie umiałbym nigdy powiedzieć na dobie:
 Czy ja jestem sam sobą, czyli tylko w tobie?

V.

Dwojakie dzisiaj chcę obchodzić święto:
 Królowej nieba zapalam gromnicę;

A mojej ziemskiej otwieram skarbnicę
Nieuronioną i mnie niepojętą.

O byleś chciała spojrzeć w odemkniętą!
Znajdziesz myśl-djament, i rubin zapału,
Smaragd-nadzieję i kawał kryształu —
Łzę skamieniałą ze sercem zrośniętą.

Błagam cię, bierz z niej, o bierz mój Aniele!
Nic mię nie żałuj; wiele, tylko wiele!
Bo te djamenty, rubiny, szmaragi,

W zamknięciu świecić nie mają odwagi;
Lecz gdy ozdobisz niemi pierś i skronie,
Podwójnym ogniem każdy z nich zapłonie.

VI.

Że za tobą przepadam — i cóż ci to szkodzi,
Gdy przepadam z daleka, milczący jak kamień?
Przecież ja król wszechwładny w świecie mych omamień,
Jak śród morskich przestworzy rozbitek na łodzi.

Gdy w tęsknocie za tobą dzień po dniu mi schodzi;
Gdy oczy wypatruję za wieścią o tobie,
Gdy gwiazdę powiernicą tęsknot moich robię,
A imię wiatrom rzucam — i cóż ci to szkodzi?

Czyżby jęk mój daleki, jak widmo w Makbecie,
Przecinał dwa westchnienia ku sobie płynące,
I w drodze mylił usta siebie szukające?

— Gdzie jest dwoje szczęśliwych, niepotrzebne trzecie.
O masz słusność! cierpienia krzyk zawsze dochodzi,
Choć sto sążni pod ziemią — to szkodzi! to szkodzi!

VII.

Akt piąty, katastrofa! Izy — sztylet — trucizna —
 Zwykle stoją w programie, lecz dziś to nie moda —
 Natomiast lekka w mowie ironja — i woda —
 I zwykłych uprzejmości trzydniowa pańszczyzna.

Ktoby się był spodziewał! jednak któż nie wyzna,
 Że kiedy go uniesie raz namiętność młoda,
 Stokroć prędzej w wątpliwość świat i Boga poda,
 Niż przypuści, że zgoić mogłaby się blizna

Sercu zadana. — Miłość, dopóki marzeniem,
 Jak ptaszek w złotych piórkach, po powietrzu lata,
 Póty wierzysz w uczucia tego nieskończoność —

Lecz niechaj rzeczywistość do drzwi zakołata,
 Mgły życia na majową upadną zieloność —
 Młodość, wiosna i miłość — zostaną wspomnieniem!

r. 1837.

 NAD RENEM.

Zamki nadreńskie, olbrzymów łożyska
 Ze skał wykute! gdy was okiem mierzę,
 Gotyckie łuki, sklepienia i wieże —
 Małość dzisiejsza o ziemię mię ciska.

A cóż dopiero, gdy sztuk dziwowiska
 Oglądam: śpiące w granitach rycerze,
 Rzeźby kamienne, lekkie jako pierze —
 Zazdrość mi z oczu łzę gorzką wyciska,

Że na mej ziemi, na tej białej księdze
 Nie ujrzysz — tylko kurhan, a pustkowie,
 Łzy bezowocne i bezśledną nędzę —

Natenczas niebo wyzywam: niech powie
 Czyśmy wyprzedli wszystką życia przedzę,
 Czyśmy dopiero wyprzedli w połowie?

NA LIŚĆ Z WIEŃCA TASSA PRZYSŁANY Z RZYMU.

Uszczkniony w San-Onofrio liść z wieńca Torkwata
 Przysyłasz mi. — To nie liść, a jedno cień krwawy,
 Co się w wawrzyn przerzucił, skroń wieszczą oplata,
 Gdy go całun powija pieluchami sławy.

Czyż nie cierniem mu była jego dworska szata?
 Nie cierniem te canzony na książęce sprawy?
 Nie cierniem fawor pański, lub więzienna krata?
 Nie cierniem Leonory uśmiech na pół łzawy?

Zaprawdę — kogo Pan Bóg posłał tu na ziemię
 By wiązał, i grzał serca, myśli kruszył pęta —
 Biczowanie go czeka w świecie, jak w eremie;

A dni jego, jak burzą miotane okręta —
 Ale cóż go obchodzi ostry cień, lub brzemię?
 Jego dusza w żywocie, a już w niebo wzięta! —

DO TEOFILA LENARTOWICZA BAWIĄCE- GO W RZYMIE.

Chcesz zapewne mój bracie, by jakie odgłosy
 Z ojczystych doszły cię stron?
 Wonie kwiecistych sadów, lub traw w sianokosy,
 Lub wiejskiej piosneczki ton.

A może chcesz obłoczków, co jak białe trzody
 Okryły błękitny smug;
 Chcesz światła, ognia, powietrza i wody
 Wszystkiego, co dał nam Bóg,

A źli ludzie zabrali. — I cóż ci dać mogę,
 Chyba stłumiony jęk?
 Lecz na cóż go posyłać w tak daleką drogę,
 I jeszcze w liście? — to sęk!

I jeszcze komu? tobie, co wiesz, ile boli
 U siebie, a obcym być —!
 Niczego nie wyglądaj od ziemi niewoli,
 Tu nie żyć każą — lecz gnić.

Ot lepiej, gdy ci poszlę inwitację za to —
 Lekko jej sobie nie ceń:
 — Punkt o siódmej czekamy w Krakowie z herbatą,
 Przez całe życie, dzień w dzień. —

DO **

— Hej! hej! pierzechliwe Postumie! Postumie!
 Zbiegają lata — ni modlitwa nasza
 Zmarszczków z oblicza odstraszyć nie umie,
 Starości, ani śmierci, nie odstrasza. —

Taką piosenkę w napadzie splinowym
W sadach Tyburu Horacy gdzieś składał —
Toż ja, w humorze jak on nieróżowym,
Tę jego strofę dla ciebie przekładał.

I mnież się trapić, że z drzew mego sadu
Jeden mię Cyprys na grób odprowadzi?
I mnie, że z piwnic dziedzic mój bez ładu
Drogą Cekubę powysącza z kadzi?

Wszak jam z tych rzędu, co przyszli zapóźno,
Gdy Zeus już lenne porozdawał włości;
Co bez dóbr ziemskich, żyją sobie luźno,
Kroplą nadziei, wiary, i miłości.

Cóż mię obchodzą cyprysy, cekuby?
Byle gęśl nasza, ta wdowia orlica,
Strzegąca sławy ojców od zaguby,
Godnego w tobie znalazła dziedzica.

Oby niepłonnem było to przecucie:
Że pod twym palcem gęśl jak rumak skoczy —
Hymny popłyną zwyciężkie, koronne —
I mnie mogilna ziemia lżej przytłoczy.

DO ODJEŻDŻAJĄCEJ NAD REN.

Jeżeli Pani będziesz w nadreńskiej dolinie,
Radzę zwiedzić Moguncję; znajdziesz tam świątynię,
A po prostu katedrę romańskiego stylu,
Kędy, pośród zabytków budownictwa tylu,
Zachwyci cię czworobok krużganków zamknięty,
Zaciszny, i budzący w sercu spokój święty —

Bo to jest Campo-santo mogunckiej przeszłości.
 Tam — pod rzędem nagrobków leżą sławne kości
 Burmistrzów, profesorów, możnych patrycyuszy;
 Każdy ma szumny napis, który cię nie wzruszy —
 Pomiń je, a uważnie zwróć oko na jedną
 Gotycką płaskorzeźbę, wcale niepoślednią,
 Która wiem, że się pani odrazu spodoba:
 Będzie to skromny pomnik wieścza Frauenloba.
 Grono niewiast mogunckich z głowy spuszczeniemi
 Trumnę jego tam niesie do święconej ziemi.
 Że go płaczą — o, znać to w fałdzie każdym szaty —
 Bo i jakże nie płakać tak serdecznej straty!
 Z nim miłośne piosenki zstąpiły do grobu;
 Ochocić się bez niego już nie ma sposobu —
 Żadne z wesel ni biesiad pewnie się nie uda! —
 Minezenger, miłości umiał śpiewać cuda,
 Nią zapalać serduszka, łagodzić tęsknice;
 Płakać z wdową, do ślubu prowadzić dziewicę;
 Słowem, wdzięcznemi rymy opiewać te dzieje,
 Kiedy serduszek skacze, rośnie, albo mdleje —
 Pięknyż mu hołd oddały wdzięczne Moguncyanki,
 Gdy go niosły do grobu i sypały wianki!
 Toż i Pani, nie wątpię, ta myśl się spodoba,
 Byś westchnieniem uczciła pomnik Frauenloba.
 Acz to Niemiec — cóż szkodzi? lecz kochał, więc za to
 Jedno łzawe spojrzenie będzie mu zapłatą —
 Bo i ja, gdybym rymów naskładał tysiące
 Na usteczka z koralu, na oczy mówiące,
 Na liliowe kibicie i krasne jagody —
 Och, i jabym się obszedł bez większej nagrody,
 I miasto jakiejś sławy głośniejszej, niepośledniej,
 Wolałbym na mym grobie łzę tylko — od jednej.

DO P. R.
MÓWIĄCEJ SWOJE POEZYJE.

Chociaż w poezyi różne są gusta,
I tyle sądów, co głów —
Przecież to lubo, gdy piękne usta
Grają harmonią słów —

I każdy obraz, myśl, porównanie,
Ilustruje wyraz lic;
Przy tej poezyi wszelkie pisanie
Nie warté nic a nic.

Tom myślał sobie, gdyś wczoraj Pani
Mówiła piosenki z gór;
Istny skowronek, kiedy najraniej
Wzleci, i śpiewa z pod chmur.

Tyle tam było świeżości wonnej,
Tyle dziewiczych snień;
Że chociaż dzisiaj do prozy skłonny,
Uczułem tych kilka drzeń,

Jakich w młodości mej doświadczałem,
Gdym skrzydła u ramion czuł;
Tryumf nie mały, natchnąć zapalem
Tego, co wierzy na pół!

Więc ukarany za mą niewiarę
W czarowną poezyi moc:
Orlice białe, czarne i szare
Marzyłem przez całą noc.

Marzyłem łódkę Dunajcem gnaną;
Białą dziewicę wśród fal —
W tem bije ósma godzina rano.
Marzeń tych, jakże mi żal!

PAMIĄTCE

ZGASŁEGO PRZYJACIELA

JÓZEFA DUNIN-BORKOWSKIEGO.

Zgasłeś bracie, piewco młody,
 Polsce, druhom, wcześnie!
 Ni cię żegnał dzień swobody,
 Ni koło rówieśnie.
 Zgasłeś bracie, piewco młody!

Życieś zbrzydził — oj wiem czemu!
 Bo się wlokło nudnie;
 Tyś ku słońcu gnał jasnemu
 W najburzliwsze grudnie.
 Życieś zbrzydził — oj wiem czemu!

Komu w sercu duch Hellady
 Tlił, jak lampa w grobie;
 Temu pewnie świat nasz blady,
 Temu tak — jak tobie,
 W sercu gorzał duch Hellady.

Duch Hellady, co posągi
 Krwią i życiem poi;
 Co na okrzyk: Missolongi!
 Krocie Kleftów zbroi;
 Duch co wskrzesza i posągi.

W świecie duchów bój tak ciężki:
 Każda zbroja pryśnie;
 Choćby płatnerz czarnoksiężki
 Ukuł ją umyślnie.
 W świecie duchów bój tak ciężki!

I my pójdziem tam gdzie i ty
 Jutro, dziś, w godzinę,

Aż gościniec zrobim bity
 W piękniejszą dziedzinę.
 I my pójdziem tam gdzie i ty.

A tymczasem z swych obłoków
 Spływaj w bratnie koło;
 Z ócz nam otrzyj chmurę mroków,
 A ze znoju czoło.
 Spływaj, spływaj nam z obłoków!

Jak chcesz, w tchnieniu, czy promyku,
 Jaw się wieszczym głosem,
 Kiedy dumam gdzie w kąciku
 Nad mej ziemi losem.
 Jak chcesz, w tchnieniu, czy promyku.

Wieszczej sławy tam nie trzeba;
 Gdzie przyszłość na dłoni;
 Lecz gęśl ziemską bez tchnień nieba
 Nic, nie nie uroni.
 Wieszczej sławy ci nie trzeba.

DO KS. M. C.

ODJEŹDŹAJĄCEJ Z KRAKOWA.

W czyim ogrodzie słowiczek siada,
 I melodjami zczaruje,
 Temu się wiosna z cudów spowiada,
 I za tysiące ten czuje.

Na czyim dachu gniazdo założą
 Przelatujące hociany:
 Znać nad dobytkiem opiekę Bożą,
 Kwitnie pomyślność bez zmiany.

Lecz gdzie najmiłsza z Bożych posłanek
 Miłość bliźniego zawita,
 Serca jak kwiaty, wiążą się w wianek
 I przyszłość, mniej już zakryta.

Czary słowicze, bocianów wróżby,
 Dłoń litościwą, a mężną,
 Kto w gród nasz przyniósł z sobą? O kóżby
 Jeżeli nie ty — o Księżno!

Kto nas ożywił, podniósł, ześpiewał,
 W serca wlał świeży krwi strumień —
 Któż, jeśli nie Ty! Kto się spodziewał.
 Że zadrgną prochy tych trumien?

Opuszczasz, Księżno, miasto-sierotę,
 A nuż w noc dawną zapadnie —?
 Próżna obawa! Twe ziarna złote
 W sercach zostaną choć na dnie!

ŻYCZENIE.

Chciałbym w gałązkę zamienić
 Każdy suchy drewna kawał,
 Aby się mógł zazielenić,
 Kwiecie i owoc wydawał.

Chciałbym kamienie i bryły
 Silnie do piersi przycisnąć;
 Ażeby z ukrytej siły
 Mógł życia strumień wytrysnąć.

Chciałbym mlekiem Muz dziewięciu
 Każde serduszko napoić;
 By wlać wyższe czucia, chęci,
 I razem tworzyć i roić.

ZAGADKA.

Rozwiąż zagadkę — zagadka nielada!
 Jaka to woda, to z nieba nie spada?
 Jaka to woda, co nie tryszcze z ziemi;
 Gorzka, a przecież walczy z najśłodszymi?
 Zwierciadło serca, czasem bałamutne,
 A częściej szczere, wesołe, lub smutne?
 Kiedy ją usta wypiją miłosne,
 Życie się budzi w tobie jak na wiosnę?

To nie zagadka, ale prawda żywa;
 Ta woda u nas łzami się nazywa,
 Które, choć nieraz smakują goryczą,
 Nawet truciznie słodkości użyczą.
 Kiedy serduszko, roskoszą wezbrane,
 Na rzęsach perły porozwiesza szklane,
 Wtenczas złocistych tyle słońce ci wschodzi,
 Ze się roztapiasz w ognistej powodzi.

Lecz za to nieraz udaną rozpaczą,
 Jak krokodyle, obłudnice płaczą,
 Wtedy zwierciadło pokazuje krzywo. —
 Niechże źrenica zadrga łzą prawdziwą,
 Ujrzysz głąb duszy jak na dnie krynicy:
 Miłość, lub boleść w sercu krasawicy —
 I rosę łzawą zebrawszy ustami,
 Jakby ambrosją dzielisz się z Bogami. —

OSTATNIA PROŚBA.

Potrząśnijcie mię kwiatami
Bo już ze mnie duch ulata;
Pomięszany z ich woniami,
Do lepszego przejdzie świata.

Woń konwalii, bzów, fiołków,
Jakże lekko mię unosi,
Ni to złotych rój aniołków —
To mój luby tak mię prosi.

Jego słowa i westchnienia
Ta woń żywo mi tłumaczy;
Widać nic się tam nie zmienia,
Krom cierpienia i rozpaczy.

Sypcie kwiaty koło czoła,
Tu, na piersi — jeszcze, jeszcze!
Tem ci prędzej do anioła
Mego wzlecę i popieszczę. —

Mnie kochanie tak zabiło,
Więc mię zbawi też kochanie —
I co ledwo tu snem było,
Tam mi w pełni zmartwychwstanie.

O D J A Z D.

O już nieraz coś mi wróży,
Że ta miłość się rozwieje;
Krew wykipi w takiej burzy
Serce na nie spopieleje.

Któż tych oczu blask wytrzyma,
 Kto ten uśmiech, ten głos rzewny?
 Nawet schronić się gdzie nie ma;
 Jam dni moich tu niepewny.

Wyznam — może po wyznaniu
 Umniejszą się moje męki.
 Trudno przestać na wzdychaniu,
 I nie zostać panem ręki.

Więc otwieram usta drżące,
 Słówko: kocham! już, już padnie —
 Lecz spojrzenie błagające
 Na mych ustach zamek kładnie

I tak męczy bez ustanku
 Pałac, burząc spojrzeniami —
 Aż pewnego też poranku
 Odleciałem z jaskółkami. —

1838.

ZŁOTA CHWILA ŻYCIA.

Różnie się wiją życia koleje
 Od kolebki do smętarza;
 Na jednej miłość do nas się śmieje,
 Kochaj, o kochaj! powtarza.

Życie, jak kwiatek, cudnie się stroi
 W chwili miłośnych uniesień;
 Póki jak pszczołka się nie wyroi,
 Póki nie zwarzy go jesień.

Jeśli dwie dusze, po okwitnieniu
 — Kocham cię! — sobie powiedzą;
 Mogą coś wiedzieć o sprzyjażnieniu,
 Lecz o miłości nie wiedzą.



Tylko gdy kwiecie ma woń i farby:
 Miłość, jak motyl skrzydlaty,
 Nad bezcennemi wciąż lata skarby
 W puszków się stroi szkarłaty.

I czarne losu chmury przewierca,
 I w oddaleniu nie snowa —
 Duch niewidomy spaja dwa serca,
 Bo to jednego połowa.

Czy dusze nagle płomieniem buchną,
 Gdy się raz pierwszy gdzie zbiegną,
 Czy też nieznacznie, zwolna, lekuchno,
 Ogniem skłonności zażegną —

Wszystko to jedno; lecz jest wyjątek:
 Gdy jedno gore, a drugie
 Zimne jak kamień; taki początek
 Rokuje szczęście niedługie.

Co mówię! szczęście — chorobę raczej
 Udręczającą okrutnie;
 W miłości rozstrój — jedno się znaczy,
 Co dzwonić w niestrojną lutnię.

Lecz gdzie prawdziwą harmonią dźwięczy
 Stopionych z sobą dusz dwoje:
 Świat dla nich wezmie kolory tęczy,
 Aniołków otoczą roje.

To raj, jakiego pędzel nie stworzy;
 Stworzy go tylko wspomnienie
 Gdy w jeden obraz blaski gwiazd złoży,
 Tęcze i słońca promienie!

Kto choć na chwilę takiej słodczy
 Nie zakosztował na świecie;
 Niech skarby liczy, godności liczy,
 I słynie w swoim powiecie. —

PRECZ Z MARZENIAMI!

Zakazuje się wyraźnie
 Pod Sybirem i knutami,
 By nie trapić wyobraźnię
 Rojeniami, marzeniami.

Marzyć Polskę — rzecz obrzydła!
 Kiedy w naszej Moskwie świętej
 Tyle śniegu, tyle bydła,
 Tyle stepu, co nietknięty —
 Marzyć Polskę — kiedy w Rusi
 Rzeczywistość piękna wskrós.
 A choć z góry Car tam dusi,
 I ty sobie drugich dus.

Zakazuje się wyraźnie
 Pod Sybirem i kutami,
 By nie trapić wyobraźnię
 Rojeniami, marzeniami.

Marzy wolność Polak głupi —
 Czyż w Rasiei nie swoboda?
 Kto ukradnie, ten nie kupi;
 Cudza własność tam, jak woda.
 I sumienia kajdan nie ma,
 I nie trapi duszy grzech —
 Co kto porwał, to i trzyma;
 Kto popadnie — to i śmiech.

Zakazuje się wyraźnie
 Pod Sybirem i knutami,
 By nie trapić wyobraźnię
 Rojeniami, marzeniami.

Marzyć jakąś tam oświatę,
 Jakby w Moskwie jej nie było!
 Wszak Bojary tam bogate
 Mają, co się wam nie śniło.
 Po francuzku pańskie dzieci
 Szczebiotają jak u was —

Wrzeszczcie Car nad wszystkim świeci,
Na oświatę da ukaz.

Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami

Dość tych marzeń! Sto lat blisko
Jak marzycie nadaremnie —

A jak było, tak jest wszystko;
Bo nie będzie nic bezemnie —
W Moskwie tylko przyszłe życie;
Bez Moskala jakież świat?

Cóż lepszego wymarzycie
Nad kwas, dziegieć, Sybir, bat?! —

Zakazuje się wyraźnie,
Pod Sybirem i knutami;
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami! —

r. 1856.

WESTCHNIENIE ZA POLSKĄ.

(Z powodu artykułów dz. Times w r. 1856.)

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie
Ziarno skradziono, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie:
Przeklęta ziemia, rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć cię o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Wskazan, policzek dostaje od kata —
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wichler rozmiata.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
 Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
 Słyszac ich: słońce świeci tu inaczej,
 I ludzi nie ma — tylko dzika tłuszcza,
 I kraju nie ma — tylko ciemna puszcza,
 Wyjąca rykiem rozpaczy.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
 I Tyś Jobowi na wypróbowanie
 Brał syny, zboża wybijał i stada —
 Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
 Przeto litości ich nie już nie wzbudzi.
 Biada sądzonym, biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
 Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
 A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku —
 Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
 Ile dziś nisko, o tyle wysoko,
 Staniem w narodów świeczniku. —

PIEŚŃ DO NAJSW. PANNY.

O Maryo! moja miłości,
 Moja nadziejo złota;
 Słońce w ciemności,
 Źródło żywota!
 Gdy spojrzę w Twoje niebiosą
 Zaraz weselszy być muszę:
 Szczęście, jak rosa
 Spływa mi w duszę.
 Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
 Błogosław Maryo!

Kto się do Ciebie poleci,
 Choć w burzy, na Oceanie —
 Jak nie przeleci
 Wiry, otchłanie.
 Kogo wzięść raczysz w obronę,
 Ten lekko, na tym padole
 Z cierni koronę
 Nosi na czole.
 Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
 Błogosław Maryo! —

Jak pokos w polu ucięty
 Prosi, by związał go rolnik, *
 Tak włóż mi pęty —
 Jam twój niewolnik:
 I przyjm to serce w ofiarze,
 Którem ci dawno poślubił,
 Bo w świata gwarze
 Łatwobym zgubił —
 Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
 Błogosław Maryo! —

KTO WSPOMNI?

Burzami gnany wędrowiec,
 Czyż swoją ziemię powita?
 Czy się o jego grobowiec
 Blizka potomność dopyta?

Jeżeli miejsce spoczynku
 Nikt z druhów nie zwilży łezką —
 Kalino, różo, barwinku,
 Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwróć lica;
Przyświecajże mu łagodnie
Cichy promieniu księżycu.

Jeżeli nakoniec, nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni;
Wspomnijcie gaje i niwy,
Wspomnijcie ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękiecie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie.

OKRUSZYNŲ.

Ἐν ποταμῶν ἱερῶν χωροῦσι παλαιοὶ
καὶ δικὰ καὶ πάντα πάλιν στρεφεται.
(Εὐριπίδης: Μήδεια.)

NASZA OJCZYZNA.

Ojczyzno! tyś jest dla nas, czem u Greków była
Macierz ziemia, dla syna swojego Anteja:
Kiedy w życiu odbiega nadzieja i siła,
Dotknąć cię, zaraz wstąpi siła i nadzieja.

POWRÓT.

Mówisz, że chciałbyś ujrzeć bodaj blady
Dym nad Itaką, i zaraz paść trupem —
Ej! tyś nie Odys; dla cię nie ma rady,
Jak kraj odkupić krwi i cnót okupem.

DAWNE STRONY.

Piękne to strony! jakżeż piękniejsze bywały
Oczom młodym, patrzącym przez tęcze i szale,
Na te smugi dziś głuche, niegdyś takie głośnie
W słowiki, kwiaty, wonie, westchnienia miłośne!
W duszy młodej letniemi kołysanej snami
Uczucia są tęsknotą, myśli uczuciami.

ZMIANA.

Czuję to — spoważniałem; już ja nie ten samy
Co dawniej, kiedy humor wesół nie znał tamy,
Myśl się rozbryzgiwała w dowcipy, żarciki,
A od śmiechu się kładli moje rówienniki.
O, bo też w Polsce naszej wszystko się zmieniło!
Od niej padł cień i na mnie, choć mię w niej nie było;
Z resztą, im bliższy zachód, tem dłuższy cień pada,
Tem głębsza cisza, w której głos z za światów gada.

KOLEJ ŻYCIA.

Jeżeli śmierć celem? czemuż kwiaty cudne
 Spotykać, żegnać, w ciągu krótkiej drogi?
 Jeżeli życie? — czemuż takie trudne
 Z ostremi głazy, raniącemi głogi?
 Śmierć, albo życie — na jedno wychodzi;
 Czy straty płaczesz, czy nadzieja zwodzi.

POLKI.

Cudzoziemcze! cierpienia Polski chcesz policzyć?
 Spójrzij na twarze naszych siostr i matek:
 Jakich męk trzeba było, by je wydziedziczyć
 Z tego, co daje młodość, chęć życia, dostatek!
 Białe lilje grobowe! na dnie ich kielichów
 Już nie ich, ale naszych spoczywa część grzechów,
 Które myją pokutą. Wszak ojczyzna cała
 Bez zmazania win swoich z martwych by nie wstała!

Koncha cierpi na perłę w swem łonie zamkniętą:
 Za ból, co cię uzacnia, wielbij wolę świętą.

KTO UMIE CIERPIEĆ?

Kiedy nieszczęście w mężczyznę uderzy:
 Żłyma się, ciska, żal i skargi szerzy,
 A obwiniając i losy i ludzi,
 Najcierpliwszych przyjaciół w końcu znudzi.

Kiedy nieszczęście uderzy w kobietę,
 Cicha tam skarga i łzy płyną skryte;
 I choćby skonać, wszystko w sobie stłumi —
 Bo też kobieta tylko cierpieć umi.

MIŁOŚĆ.

Czysta miłość w pokornej jawi się postaci,
 Nigdy ślubnej obrączki djament nie bogaci.

ZAWÓD.

Nie żal mi słońca gdy chmurą spowitę,
 Bo wiem, że znowu wejdzie złotolite.

Nie żal, gdy kwiecie osypie się z drzewa,
 Kiedy rumiany owoc zeń dojrzewa.
 Lecz żal, gdy wszystkie złożysz w kim nadzieje,
 A on twą wiarą i czuciem zachwieje.

NAJSROŻSZY BÓL.

Ciężka zaiste męka
 Smarzyć się w ogniu powoli;
 Lecz znam ból, co gorzej boli,
 I bardziej nęka:
 A tym jest, umierać co dzień,
 Przez długie i długie lata,
 W zimnem objęciu świata.

EGOIZM RODZINY.*

Powinność po próg domu; dalej, droga pychy.
 A ojczyzna? trud dla niej? ofiary? — to grzechy!
 Mówi świętoszka, ręce umywszy od winy,
 I czi bożyszcze swoje: Egoizm rodziny.

KOLEJ ŻYCIA.

W życiu nie ma crescendo; ztąd powód rozczeru:
 Po wielkich, idą chwile małego rozmiaru.

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ.

Niesprawiedliwość, jak strzecha dziurawa,
 Jak drzwi skrzypiące, o trzech nogach ława,
 Musi się sprzykrzyć śpiącym i leniwym,
 A cóż dopiero żywym, sprawiedliwym?

SĄD KRZYWOPRZYSIĘŻNY.

Jeśli cię niecny trybunał powoła:
 Bądź zimny i milczący — kamień zgoła.
 Ten sąd dobranych katów na to siedzi,
 By pytał — twoich nie chce odpowiedzi.

MANIFEST REWOLUCYJNY.

Wolność przyrzekasz, jakiej w świecie nie bywało!
 Pewnie nie nie dotrzymasz, albo bardzo mało.

C'cemu? bo nie wiem gruntu na którym ją sadzisz,
I czy sam, dziś lub jutro, z nią się nie powadzisz?

KOŚCIÓŁ I WOLNOŚĆ.

Póki kościół nie ochrzci wolność, dziś poganek,
A wolność nie zaślubi religję wygnankę;
Póty siać będziem wiatry, zbierać same burze,
I świat znudzon złą siejbą, da kark pod obróżę.

WOLNOŚĆ STRONNICTWA.

Stronnictwo głosi wolność szeroką, nieplonną.
Chciałbym wierzyć — nie mogę wierzyć w wolność stroną
Pod żywe przekonanie upór się podszywa:
Z czego idzie duch stronnictw i nauka krzywa.

PUSTA WYMOWA.

Złote prawdy mówimy, a nikt ich nie słucha. —
Boście goręci głową, zimni z ducha.
Żywe słowo zgłuszono wymową obłudną
Przeto o żywe słowo dziś tak trudno.

PRAWDA.

Nie ma prawdy bez fałszu, jak światła bez cieniu.
Czysta prawda na wiary spuszcza się promieniu.

NIEMYLNOŚĆ.

Są ludzie, którzy nigdy się nie mylą —
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

ZŁUDZENIE.

Nam się zdaje że prawdę zdobyliśmy całą,
Gdy ledwo cząstki głupstwa pozbyć się udało.

ISTOTNE BOGACTWO.

Bogactwo ducha, to mi prawdziwy skarb życia!
W wszelkiem innem strapienia więcej niż użycia.

HISTORJA.

Sam Bóg w sumieniu człeka na wskroś czyta;
Historja sumienie stronnictw tylko chwyta.

PIEKŁO.

Z sprawiedliwością Bożą nie zgadza się piekło,
Rzekli mędrki — i piekło na ziemię uciekło.
Dziś Boga ubieramy w łaskawsze przymioty;
Coraz też brniemy w liczniejsze niecnoty.

METAMORFOZA.

W starym zakonie był Bóg absolutny,
Karzący wiecznie, mściwy i okrutny;
Konstytucyjnych pełen dziś mieszanin —
Niebawem przyjdzie Bóg-Republikanin.

HEREZYA.

Prawdziwa wiara maluczkich przyciąga.
Herezya do wozu możnych się zaprzęga.

BŁĘDY KOŚCIOŁA.

Kto nie chce, błędy wytyka w kościele;
Czemu? bo się sam błędów opił wiele.

ŁATWY POWRÓT.

Z wszystkich punktów na kole w środek mierzy droga.
I z najbłędniejszych zboczeń powrót jest do Boga.

BEZŻEŃSTWO KSIĘŻY.

— Niechby się nasze żeniły kapłany;
Z bezżeństwa idzie żywot oderwany;
Kapłan zły obywatel. — Myśl fałszywa:
Czyż żona, dzieci, bardziej nie odrywa?

PRZESADY.

Odrzuciłeś przesady, tradycje odwieczne;
A natomiast wprowadzasz własne, nedorzeczne.

Źle ten czyni, kto wiarą swych ojców pomiata;
Gorzej, kto nią nicości polityczne łąta.

OGROM GŁUPSTWA.

Gdy spojrzysz w głupstwa bezdenne czeluści,
Niezlomna wola nie raz cię opuści;

Bo chociaż wniosłeś światło w głąb ciemnicy,
Przez grube mroki nie dojrzeć tej świecy.

NOWA ERA.

Starego świata godzina wybiła
Ostatnia — gruzy pokrywa mogiła,
Ale się ukwieconą barwą nie zieleni.
Miłość i wiara jeszcze bez promieni.

ZDRAJCY.

Kto dzisiaj wolność zdradził? oto jej kapłany;
Dzwonią sławnie, lecz przy mszy istne zakrystyany.

STARE ZŁŁ.

Ładu świat woła, a nieład się szerzy,
Jak przy budowie babilońskiej wieży,
Bo ster sumieni wypadł z ręku wiary:
Namiejętności władną, i świat jak był, stary.

FORMY.

Gdy się wszystko rozrasta w całkiem nowe życie —
Za cóż o starych formach rządów mi prawicie?

Różne są formy: ta najlepsza bywa,
Co najprościejsza, a żywa, a żywa.

Życie, to strumien: przelej go w naczynie,
Wodę mieć będziesz martwą — nie popłynie.

ZŁY RZĄD.

Złe rządy porównałbym z owemi trupami,
Których własne zepsucie trzyma nad falami.

ZBROJNY POKÓJ.

W zbrojnym pokoju zostać chcieliby książęta.
Mniej straszna wypuszczona strzała, niż napięta.

BIEG WYPADKÓW.

Wypadki się ścigają i my je ścigamy.
Na tak olbrzymie płótna gdzież są ramy?

KOMUNISCI.

Wspólności chcecie w imię cielesnej wygody?
 Między biedaki, zgoda! Możliwym nic do zgody.
 Więc wydrzem! i wam wydrą ci, co w większej biedzie.
 Darmo! wóz o trzech kołach daleko nie jedzie:
 Czwartego trzeba, co się miłością nazywa,
 Głębie dolin wypełnia, a góry zrównywa!

SOCJALIŚCI.

— Nie uznajem prócz naszej powagi rozumu.
 Jakby-to społeczeństwo składało się z tłumu,
 A nie w moc myśli Bożej było społeczeństwem.
 Za cóż codzień wyjeżdżać z nowem sprzeciwieństwem,
 I to, co Pan Bóg związał, w niwecz rozwiązywać,
 By fuszerską robotą po swojemu zszywać?

PSEUDO-DEMOKRATA.

Żeś tam pryncypiów chlipnął na bruku paryskim,
 Myślisz, żeś lud nasz odgadł z gruntu i ze wszystkim.
 Aleś ty starą łatę nową pokrył łatą
 I jesteś liberalnym dlań arystokratą.

NOWE DWORACTWO.

W imię ludu je, pije, chodzi i oddycha,
 I płaszczy się i schlebia. Dworak? co u licha!
 Jam myślał że dworactwo z dworami przepadło;
 Nie! z przedpokojów wyszło, na rynku zasiadło.

PROPAGANDA.

Do ludu trafiać ciężko wam, acz chcecie,
 Bo lud prostaczek, maluczki jak dziecię:
 A wyście mądrzy postępy cudzemi —
 Stańcież się dziećmi choć raz własnej ziemi.
 Kiedy Kaniowski żydy, baby strzelał,
 Wiercie mi, mniejszy przedział go rozdzielał,
 Niż was od ludu. O nim lud ma pieśni,
 Was nigdy nie znał, o was ani nie śni.

UBIÓR.

Sajeta cię nie kryje, lecz żupan, sukmana;
 Snadź że i w twej duszy zaszła wielka zmiana.

Ej! byle nie z chwilowej jakiej maskarady.
Strzeż się dzieło odrodzeń zaczynać od zdrady.

NARODOWOŚĆ.

Lada pszczołka, a hardo stawia się w potrzebie;
Bo ma czucie swej rzeszy, a za nie ma siebie,

NASZA FILOZOFIA.

— Nie mamy filozofii, w ślepą babkę gramy!
Za to katedrę z ruin, mogił i krwi mamy.
W tej szkole wielkich nieszczęść: gdzie sam Bóg naucza,
Snadniej by do mądrości skarbów dobrać klucza.

CIEŻKIE OFIARY.

Dobrze to wilki sycić, i kozę mieć całą;
Ale gdy wilki mamy, a kozy nie stało,
Cóż rzucimy na pastwę? Historia o smoku.
Już królewską dziewicę dajemy w tym roku. —

KROK STANOWCZY.

Kiedy trzeba, ostatek na kartę masz stawzić:
Śmiercią dzieje zakończyć, lub się zbawić.

Nie targuj się dla sprawy o żadne ofiary,
Wszak ty Bogu oddajesz tylko Boże dary.

ŚRODECZKI.

Ludzie małego serca środeczki doradzą;
Mężę z ducha na Bożej prawdzie się osadzą.

SILA.

Tyle już Pan Bóg zrobił, zrobi jeszcze tyle. —
A ty czelku narzekać śmiałyś, żeś nie w sile?
Różne są siły, i różnie je liczem:
Widziałem wielkie siły zbite niczem.

BOHATERY.

Darmo spleatamy wieńce wawrzynowe,
Kiedy bohater w końcu nas okłamie.

Łatwiej o wieńce, niżeli o głowę,
Łatwiej o bułat, niż o chobre ramię.

ZMIANA DYNASTYI.

Tytanów Bogi, Bogów ludkowie wyparli —
Niegdyś Grek śpiewał. Gdyby za naszej żył chwili,
Byłby dodał: a ludków wypędzili karli,
Wet za wet, jak ludkowie bogom uczynili.

NASI REFORMATOROWIE.

W łoże Prokrusta wciskasz, choć co wleźć nie może.
Ten u mnie reformator, kto rozszerzy łożo.

ŚMIAŁOŚĆ I ROZSĄDEK.

Śmiałość z rozsądkiem piękny owoc rodzi;
Lecz o zgubę przyprawia, gdy samopas chodzi.

SZKOŁA ŻYCIA.

Nie jednej rzeczy pojąć nie umiem —
Żyjmy dłużej, a zrozumiem.

Gdzie się obrócisz, najczęściej się zdarzy
Z dobrem zmięszane, słyszeć głupie baję.
Bo młódź powtarza, co mówili starzy,
I to, za swoje sprzedaje.

PYCHA I GŁUPOTA.

Patrz! jak czwają przez jary i błota.
Któż oni jeźdce? to z Pychą Głupota.
Szczęśliwej drogi! nikt was nie wyprzedzi:
Z tyłu za wami Wstyd ze Szkołą siedzi.

MOWA I MILCZENIE.

Acz pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust twych ochotę.
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.

Puszczasz się na niezwykły i styl i wyrazy:
Czemu? bo i pomysł zwyczajny i obrazy.

KRZYKACZE.

Krzyczysz, występnych pod pręgierz byś stawiał. —
Samżeś od wczoraj na włos się poprawił?

SAMOPOZNANIE.

Wtenczas siebie poznajesz, skoro więcej w sobie
Odkrywasz ułomności, niż w innej osobie.

DE MORTUIS.

Jedno imię zostaje — reszta na zgniliznę!
Zostawże umarłemu tę jedną spuściznę.
Szczera skrucha, pokuta, gniew Boży przebłaga;
Człek tylko winowajcę i za grobem smaga.

HART WOLI.

Ogrom składa się z cząstek; myśl topisz w ogromie;
Cóż potem? gdy twa wola i słomki nie złomie.
Łamiąc się z drobnostkami zahartujesz wolę;
Z taką zbroją wyciągnąć łatwiej w wielkie pole.

Kto tylko raz się przełamie,
Ten się zwycięży raz drugi;
I zaraz ma wolne ramię,
I żądze ma na usługi.

KTO MĘDRZEC?

Któż mędrzec? jeśli nie ten, co pychy się zrzeka,
I uczy się choćby też od prostego człeka?

MOCARZ.

Kto mocarz? jeśli nie ten, co sam się zwycięża;
A nie ten, co gród bierze przemocą oręża.

BOGACZ.

Kto bogacz? jeśli nie ten, kogo żywi praca;
Kto ku swemu zbawieniu, co Bóg dał, obraca.

POSTĘP.

Postępem nie nazywaj swych poszóstnych cugów,
Pysznych karet, lokai w galonach i długów.

Lepiej z Chrystusem doczesnych dóbr nie mieć,
Ale na duchu, na cnotach zolbrzymieć.

WŁADZA.

Nie mamy naszej władzy, utwórzmy moralną.
A jednak czcimy jedną władzę materyalną!
Wszelka inna do buntu wyzywa rozumy.
Najmilsze panowanie własnej naszej dumy.

— Niech dobosz będzie wodzem! jestem mu posłuszny,
Byle Ojczyznę wskrzesił! — tak mówi napuszny
Młokos — a z wszelką władzą zostaje w rokoszu.
Wprzód się naucz krok stawiać po łaďa doboszu.

O Przekłęci! przekłęci! Bogu liczbę zdacie;
Żeście nas z wszelką władzą trzymali w rozbracie.

Rozdwój i panuj — sekret władzy to czartowskiej.
Pogódź i prowadź — prawda władzy z łaski Boskiej.

DOŚWIADCZENIE.

Młodzian na schwał się rzuca w doświadczenia ciernie,
Choć w tych, co je przebyli, żywe ma przykłady.
Historya nic nie uczy, acz maluje wiernie —
Zawsze drogę ludzkości krwawe znaczą ślady.

GENIUSZ.

Snadno złe w nic obrócić, lecz pracy geniusza
Nie zetrze żadna siła ludzka, ni katusza.
A gdy myślisz żeś geniusz okiełznał, toś chybił;
Tyś trupa, z którego duch uszedł, tylko przybił.

Wielka myśl, lecz w zasłonie, w każdej piersi drzymie:
Geniusz zbudzi ją tylko, i zasłonę zdejmie.

DOKĄD IDZIEM?

Trudno byś dał odpowiedź mojemu pytaniu:
Czy dziś ludzkość w porodzie, czy też na skonaniu?
Bo i jedno i drugie postrzegam symptoma:
Znowuż, jak niegdyś hordy rykną: Roma! Roma!

NICOŚĆ.

W nicości wieść żywot grzechem.
 Czemuż nie walczym z nicością?
 Bo stoim między pośpiechem,
 A między opieszałością.

Stoicie wahajaco, ruszcie się z kałuży;
 Dość z niej wybrnąć, a mniejsza już o cel podróży.

SĄD TŁUMU.

Tłum tylko zdolny by sypać oklaski;
 Lecz sądzić? sądu nie wydadzą wrzaski.

Kuglarz nie lada, kto na sąd brukowy
 Zda się — klaskaczy ma hufiec gotowy,
 I areopag, najczęściej się zdarza
 Do Kapitołu zanosz kuglarza.

Gdzie Sofokl w wieńcach chadzał, tam rząd nie był z gminu,
 Lecz tam, gdzie skroń partaczy zdobi liść wawrzynu.
 Dwie siostry: gmin z tyranią, zwykle w parze chadza;
 W wolności gmin przepalony, na lud się przeradza.

GŁOS TŁUMU.

Któż by tłumowi chciał się opierać?
 Ja mu oporu nie stawię.
 Tłum będzie krzycheć, zżymać się, spierać,
 Ale ucichnie po wrzawie.
 Lepiej oświecić, niż go zbyć pogardą.
 Trudno mój bracie, gdy ma czaszkę twardą!

WSPÓŁCZUCIE PUBLICZNE.

Jeżeli cię w utrapieniu pociecha odstąpi,
 Cicha i za w samotności pociechy nie skąpi.
 Niechże cię spotka jaki gwałt uliczny,
 Zaraz się ujmie za tobą tłum liczny.
 Na innej krzywdzie tłum nie zna się prosty;
 Zna co krzywdy cielesne: mordy, turmy, chłosty.

ROZUM ZBIOROWY.

Nie wiem co znaczy rozum narodowy
 Jeżeli go nie ma w mózgu jednej głowy.
 Ni trochę w rozum nie wierzę zbiorowy.

JEDNOŚĆ.

Potrzeba spójni duchów; bo i sejmy walne,
 Mowy wzniosłe, celebry też pontyfikalne
 Na niewiele się zdadzą: pycha swoje rogi
 Wciąż wystawia, i wiecznie tryumf mają wrogi.

PARTACZE.

O, tylko chwal partaczy w każdej sposobności;
 Umieszczą cię, gdzie przyjdiesz w rzędzie pierwszych gości.

SĄD NIEWIEŚCI.

Czuciem dobre lub piękne odgadnie niewiasta —
 Niech się puści w dowody, stul uszy i basta.

CIASNY ZAWÓD.

Nie skarż się w swym zawodzie na związane ręce. —
 Za czyn stanie głos pełnej duszy, choć w piosence.

CENZOR.

Maż i wycinaj w cenzorskim zapędzie,
 Aby myśl ludzka nie przeszła twej miary:
 Zastanów zegar — a nocy nie będzie.
 Darmo! czas bieży, choć stoją zegary.

PTASZKI.

— Kupuj Pan, kupuj te ptaszki wraz z klatką! —
 Leśni poeci śpiewają jak rzadko! —
 Jam kupił, puścił: lećcie w Imię Boże!
 Kto śpiewa w lesie, w więzieniu nie może.

NATCHNIENIE.

Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni,
 Co po wodnem zwierciadle biały żagiel goni,
 Nie jest własnością drzewa, ni żeglownej łodzi;
 Bo ten, co mu wiać każe, ten i wiać przeszkodzi.

Tak natchnienie, co w niebo myśli twoje wzbija,
Bóg daje — bo natchnienie to własność niczyja.

Rozumkowanie poezję zabija,
Chociaż poezya rozumowi sprzyja.

ASTRONOM.

Wiem żem proch, proch śmiertelny; lecz gdy wzrok utopię
W gwiazdy, i bieg ich ścigam po bezbrzeżnym stropie,
Zda mi się że nogami ziemi nie dotykam,
Tylko u stołu Zeusa ambrozyę połykam.

POMNIKI KRAKOWSKIE.

Cudneż groby, świątynie, w tym naszym Krakowie!
Póki tacy w kamieniu rzeźbili Stwoszowie;
Lecz wstręt bierze na one doleпки późniejsze.
Co czysta wiara tworzy, wszystko najpiękniejsze.

TWORY POEZYL.

Gdzież nad Zorynę, Maryę i Maryłę
Świetniejsze gwiazdy na naszym błękanie!
Poeci! czemuż tak mało tworzycie?
Chociaż was tyle.

KAWKI NA KOŚCIELE.

Na Maryackim kościele, czy latem, czy w zimie,
Stado kawek się czerni. Jest wieść, że na Rzymie
Tej karczmie, gdzie Twardowski miał diabłu wpaść w szpony,
Cały dach zaczerniły i kawki i wrony.
Cóż wnosić? Że z Krakowem źle, jak z kuternogą;
Djabli chcą go brać gwałtem, ale wziąć nie mogą.

DOWCIP POLSKI.

Lekki Francuz słoweczkiem dwuznacznem cię szczypnie.
Polak myślą dwuznaczną uderza dowcipnie.

PRAWDZIWA POEZYA.

To u mnie nie poezya, jeżeli się gdzie spotka
W pozlepianej osnowie myśl dobra, lub zwrotka.

Piewcę prawego w lada pół-słówku dojrzycie:
Jędrny, jakby myśl swoją wykował w granicie.

PROWINCYONALIZM.

Prowincjonalizm jakby w febrze zimnej
Ciało schorzałe rozbiera do kości.
Nikogo nie stać na wspaniałe hymny,
Za to stek plotek i prywatnych złości —
To się zwie: pisać w miejscowym kolorze;
Czytać ich w miejscu; za miejscem — broń Boże!

OBFITY PISARZ.

Gdyby w drobnych utworach ducha nie rozdrobił,
Wzniósłby chwały monument i do gwiazd się dobił.
Gdyby się nie wysilił grunt na żółte kwiatki,
Byłby jaki aloes wystrzelił zeń rzadki.
To fałsz! rzekniesz — więc pierwsza myśl także fałszywa:
Nigdy kryształ, lecz kropla zawsze się rozplywa.

ORYGINALNOŚĆ.

Ktoś rzekł: do żadnej szkoły nie należę,
Nie naśladuję, i w mistrzów nie wierzę.
Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?
Znajomość z nimi — to naśladowanie.
— Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:
Chcesz głupcem zostać na własny rachunek.

STAROŻYTNI I NOWOŻYTNI.

Do starożytnych trzeba komentarza,
Objaśnień, glossów, notat, odsyłaczy.
Z nowożytnymi toć gorzej się zdarza,
Że się i autor sam nie wytłumaczy.

RUTENIZM.

Cztery wieki mieliśmy wspólną dziejów kartę;
A dzisiaj, kiedy ciało ojczyzny w proch startę,
Garstka prochu złym wichrem w tumany wybucha,
I zaczyna historię narodu — bez ducha.

Gramatyka fundament państwa co się stwarza;
Reszta wyrośnie z popa, albo z pałamarza.

NOWY TYTAN.

— Cóż to za straszna odwaga
W tytaniem piórze!
Stare sławy do krwi smaga,
Wlecze przez błotne kałuże.
Jeżeli to nie jast blaga,
Ja mu wielką przyszłość wróżę. —

— Nie znasz pyszałka; próżnobyś się łudził
Jego tytaństwem, choć się do Tytanów
Sam rad przyznaje: on się tylko znudził
Własną nicością i szuka kompanów.

METAFIZYK.

Chcesz w nieskończoność wkroczyć myślicielu —
Wprzód w skończonych rzeczach szukaj celu.
Chcesz się nasycić w całości ogromie —
Wprzód tę całość odgaduj w atomie.

W zaciekach swoich musisz o szkopuł uderzyć —
Jakiż cel filozofii? że potrzeba wierzyć.

GRÓB SOFOKŁA.

(Z ANTOLOGII.)

Na mogiłę Sofokła pnij się bluszczu cichy,
Miętko ją wyściel murawo zielona;
Róże, trzęście nań roś wonnemi kielichy,
Szczepy winne, składajcie na niej grona!
Bo to mistrz, co urokiem oblał myśli szczyty:
Jemu sprzyjały Muzy i Charyty.

PLATON.

(Z ANTOLOGII.)¹

Najwymowniejszy z Aten mownych! czyjeż słowo
U mędrców Panhelleńskich brzmiało jako owo,

¹ Francuzkie *La blague*.

Jako twoje Platonie? Jednem okiem w Bogu,
 Drugiem w życiu, na ziemskim zawieszony progu;
 Masz szczytność Pitagora, ironię Sokrata —
 Jeszcze się w tę harmonię polemika wplata.

SERAPIS.

(Z ANTOLOGII.)

Jakiś zbój spał pod murem co ledwo się trzyma,
 Gdy śpiącemu Serapis stanie przed oczyma
 I ozwie się z przestrogą: uciekaj nieboże
 Co tchu złąd, bezpieczniejsze wynajdź sobie łoże!
 Więc się zrywa, i ledwo z miejsca się oddalił,
 Aż i mur — cud to sławny! na pował się zwalił.
 Rad niezmiernie, obiadę stawia jeszcze do dnia,
 Pewny, że ono Bóztwo przyjazne dla zbrodnia.
 Lecz w nocy znów Serapis w śnie mu się objawił.
 — Co myślisz — rzekł — hultaju! żem ja zbójcę zbawił?
 W błędzieś, jam śmierć oddalił słodką, niespodzianą,
 Aby cię w wielkich mękach na krzyżu wieszano.

RZYM.

(Z ANTOLOGII.)

Co tchu Zeusie zatrzaskuj na Olympskim dworze
 Wrota spiżowe, obstaw gród czujnymi warty,
 Bo już pod berłem Romy uległ ląd i morze,
 Tylko jeden do nieba gościniec otwarty.

WIESZCZ.

Wieszcz nie echo swych czasów, ani też zwierciadło;
 Jemu w dziale podwójne dziedzictwo przypadło:
 Z tajników wypowiedać duszę narodową,
 Odgadnąć myśl wszechmocną, przyszłości dać słowo.

JAN KOCHANOWSKI.

O Janie! jako mistrza sztuki jać nie cenię,
 Tyś wyższy nad nią; z nieba brałeś wprost natchnienie
 Ojca, obywatela, męża żywej wiary.
 O! niewiele zatknęło takie trzy sztandary.

ANTONI MALCZEWSKI.

Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu —
 W poecie jest to może najwyższy szczyt losu.
 Autorowi Maryi — napis, i dość na tem;
 Gdy Polska, jak jest cała potrząsała go kwiatem.

BOGDAN ZALESKI.

Dziecię z kolebki Rusałki wykradły,
 Poły rosą, na obłoczkach kładły,
 I kołysały śród dumek i szumek —
 Ale pieśczoszek niebity w rozumek,
 Zrobił krzyż święty — pierzchnęły złe mary —
 I chrześcianin zanucił hymn wiary.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

W zgłiszczach Kaniowa struna odgrzebana,
 Na ukraińskiej lirze nawiązana,
 Sypała pieśni jak skry, za pieśniami.
 Czemuś ją zerwał od ziemi, i czemu
 Chcesz strunę zanieść światu zaziemskiemu?
 Dopókiś ciałem — o śpiewajże z nami!

JULIUSZ SŁOWACKI.

Za ciasno twojej piersi było w naszym gwarze —
 Z razu stepy dniewprowe i puszcze w Saharze
 Leczyły swym oddechem pierś wieszczą zbolalą;
 Potem gdy już i stepów bezbrzeżnych za mało,
 Światłe kolumny duchów sprosiłeś i cienie —
 I oneś na bezdenne uniosły przestrzenie. —

SZPETNY MĄŻ.

(Z ARABSKIEGO.)

Pewnego razu beduinę cudną
 Widziałem z szpetnym małżonkiem złączoną:
 Więc ją zapytam, azal jej nie trudno
 Tak ułomnego brzydala być żoną?
 A ona: pięknym jest on, nie dla ziemi,
 Lecz Bogu piękny duszą nieskażoną —
 A ja nań patrzę oczyma bożemi.

BRODA.

Broda najdowcipniejszy wynalazek mody! —
 Blichtr i czczość tegoczesną pokrywają brody.
 Niby to senatorska powaga oblicza!
 Ogól — a wymokłego odkryjesz panicza.

DO ZNAWCY.

Zkąd wziąłem to, lub owo? — pytasz znawco biegły. —
 Gdy sklepienie związane, nie pytaj zkąd cegły.

ŁATWY I TRUDNY ŻYWOT.

Nieraz myślę: com pragnął, tego już dopiąłem!
 Aż tu naraz przeciwnem obróci się kołem.

Rozdrób swój żywot — zleci ptasim lotem;
 Skup go, a trudniej pcha się z czoła potem.

B A J K L.

BEDUIN I WĄŻ.

Beduin zbrojny kopją, jechał sobie piaskiem.
Noc była — w tem na stepie mignęło coś blaskiem —
Więc pocisnąwszy konia dotarł w oka mgnieniu,
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu;
Chciałby wyleźć, nie może, bo zewsząd go piecze.
— Ratuj mię Beduinie! dam co chcesz — wąż rzecze.
Na to Arab: złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?

— Przenigdy, na sumienie moje!
Wzruszon Arab uzdeczkę zawiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień — wąż do góry idzie
A sunąc się po drzewcu, przypelzał nieznacznie,
I skoczywszy na szyję, jeźdca dusić zaczyna.
— Co robisz? krzyknął Arab.

— Duszę.

— Och! i za co?

Taki zwyczaj; tu zawsze za dobre złem płaczą.
— Pofolguj! — rzeknie Arab — zwłoka nie zaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.
— Mniejsza oto, gad rzecze, sfolguję na razie —
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeli wiatrami palmy kołysanej.
— Słuchaj palmo! rzekł Arab — ten gad uwiązany
Na mej szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! I gdzież tu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?! —
Palma na to: — ma słusność, a ty nie masz racji.

Mój los niech ci dowiedzie; wszak co dzień przez wieki
 Pielgrzyma liściem mojem zasłaniam od spieki,
 Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
 A jednak on toporem odbiera mi życie! —

Na te słowa wąż silniej pocisnął za szyję.
 Jadą dalej, gdzie źródło z pod opoki bije;
 Arab rzecz opowiedział — a źródło po chwili
 Odmruknęło: — mój człeczko! ten wąż się nie myli.
 Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany,
 Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
 A kiedy się napiją i ludzie i stada,
 Wiesz co robią? ot każdy brud swój we mnie składa! —

Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął
 I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął.
 Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku —

W tem spostrzegają lisa: myszkował na boku
 I już, już się wynosił, gdy oni: Stój bracie!
 Na pół słówka prosimy!

— Z daleka! co macie

Mówcie do mnie; nie głuchym! — rzekł, i stanął w dali,
 A oni mu o sprawie swej opowiadali.
 Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
 I rzekł: — Oczom nie wierzę, dla tego się dziwię;
 Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
 Jak to było? —

A oni: — Rzecz najprostsza w świecie! —
 I Arab znów przywiązał uzdę do kopii,
 A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi.
 — Łap zdrajcę! krzyknął lisek. I wąż siedział w matni,
 Gdzie niewdzięcznik był zduszony. Szkoda! nie ostatni.

BAJKA KRÓLA JANA.

Mędrzec prostoty dziecięcej,
 Wcielony dowcip, wdziek szczery,
 Lafonten, co bawi więcej,
 Choć przedstawia świat zwierzęcy,
 Niż Rasyna bohaterzy —
 W jednej bajeczce dowodzi
 Na złość zdaniu Kartezjusza,
 Że się zwierz z rozumem rodzi —
 I konceptem czasem rusza
 Tak dowcipnym, niespodzianym,
 Zwłaszcza kiedy jest ściganym —
 Że nawet człowiek — nie mówię półgłówek —
 Chcąc z podobnego wybrnąć położenia,
 Nie żałowałby złotych
 Za kuropatwi rozum, lub jelenia.
 Otóż Lafonten szukając przykładów
 Śród czworonogów i ptaków i gadów,
 Między innemi co słyszał, powtarza
 Z ust północnego mocarza;
 A tym był hetman od zwycięstw kochany,
 Twierdza Chrześcijaństwa, piorun na pogany,
 Król nasz, Jan trzeci.
 (Królowie nigdy nie kłamią,
 A tylko ludzie się mamią,
 Kiedy im wierzą jak dzieci)
 Otóż Sobieski tak mu opowiadał:
 Że na granicach polskiego kraju,
 Gdzie berłem władał,
 Był rodzaj zwierza, który wciąż napadał
 Zwierzęta swego rodzaju,
 I zawsze, odkąd pamięć zapamięta,
 Wojnę na zabój wiodły te zwierzęta;
 Wierne tradycyi wyssanej wraz z mlekiem,
 Nienawidzą się gorzej niż człek z człkiem.



Zwierz ten, jak mówią, lisowi pokrewny,
 Tak ma być biegły w wojennym fortelu,
 A tak w strategii i obrotach pewny,
 Że mu w tej sztuce niewielu
 Zrówna Jominich, Frydryków —
 Nie licząc nowych kilku strategików.

Jakoż czaty i placówki,
 Straże przednie, straż tylne,
 Zasadzki i samołówki
 Szpiegi i ataki mylne
 Są mu znane — wie co użyć,
 Kiedy napaść, kiedy ztchórzyć —
 Zgoła najlepsza w praktyce taktyka:
 Jak bronić siebie, gubić przeciwnika. —

Kogo maluje powieść Króla Jana?
 Nie można wiedzieć; bo nawet myśliwym,
 Pływaczom niepowściągliwym,
 Taka zwierzyna nie znana.
 Najpewniej sens jej alegoryczny,
 Iż lud jaki pograniczny
 Przedstawia w walce z sąsiady —?
 Bardzo być może,
 Lecz się założę,
 Że w Polsce drwiono z tej rady,
 I miano ją za nic;
 Aż w końcu nie stało granic —
 Gdy nie ma granic, bajka sens traci.
 O! przepraszam panów braci —
 Została wiara i mowa:
 Święta puścizna Lechowa
 Na taką wojnę skazana
 Jak zwierzątko Króla Jana.

CHORZY I BOGINI ZDROWIA.

Trzech pacjentów — co się często zdarza,
 Przyszło się radzić lekarza;
 A że lekarz bardzo wzięty,
 Więc nieszczęsne pacjenty
 Nie zastawszy zdrowiodawcę,
 Usiedli sobie na ławce.

— Witam! witam! — Sługa! — Służka!

— Spotkać bardzo mi przyjemno.

Jakżeż zdrowie? — Ej, źle ze mną!

— Ba i ze mną. — O, i ze mną! —

— Nie opuszczam prawie łóżka. —

I jak to chorzy mają w zwyczaju

O swych defektach baju i baju;

Każdy wylicza chorób symptoma:

Ten tego nie ma, a ten znów to ma,

A stokroć taką chorobę woli,

Jaką ma sąsiad; bo to rzecz znana

Ze cudza rana

Zawsze mniej boli.

W cierpkich przymówkach zazdrość przebija,

Nawet biedaków kasa ta żmija,

I doprowadza do zwady

Dobre sąsiady.

Bo fuknął któryś: — I toż choroba,

Kiedy waść jadasz co się podoba,

A choć pod skórą rak tam gdzieś wierci,

Fraszka; z tem można żyć aż do śmierci.

I waść mój bracie

Próżno stękacie.

Cóż że paroksyzm mocny napadnie,

Uderzy o ziem, stłucze szkaradnie,

Przecież nie ciągle, i nie co doba

Trwa ta choroba.

Proszę porównać moje suchoty:
 Płuca rwą się, kaszel dusi,
 Oblewają zimne poty,
 A harować człowiek musi
 Bez siły i bez ochoty.
 To dopiero stan rozpaczy!
 Rak! konwulsye! — cóż to znaczy?!
 — Chętnie przyjmę to oboje;
 Mieniajmy się, oddam moje —
 — I ja moje — — I ja moje. —
 Wszczęła sprzeczkę trójka chora;
 A że w pokoju doktora,
 Godło medycznej nauki,
 Stała z marmuru bogini w kącie,
 Grecka Hygiea, po naszymu Zdrowie,
 Więc biedaczkę przeszło mrowie
 Po tym afroncie,
 Gdy usłyszała rzecz jej nieznaną
 Jak za chorobę, chorobę mieniano!
 Jęknęła z żalu i łza jej pociekła
 (Czasami płaczą kamienie)
 I cicho rzekła:
 — Jakież to straszne cierpienie
 U tych tam ludzi, co na ławie siedzą,
 Kiedy o mojem istnieniu nie wiedzą!
 Nawet umarli szczęśliwsi, choć leżą
 Snem nieprzespanym w grobach,
 Niż tacy żywi, co w Zdrowie nie wierzą,
 I przebierają w chorobach! —

GODNOŚĆ W NIEWOLI.

W pewnym dworze zwierzęta,
 Konie i woły, osły i cielęta,

Ponieważ o nie nie dbano,
 Rżnięto i bito i jeść nie dawano,
 Postanowiły z godnością żyć,
 To jest: dać się rżnąć i bić;
 Ale nie lizać pastuchom łapy,
 Ani całować harapy,
 Ni ogłaszać rykiem, kwikiem,
 Jak miło być niewolnikiem.

— Wszak — mówił konik — niewola mniej gniecie
 Gdy jej liberyi nie nosim na grzbiecie. —

Uczciwa rada przypadła do smaku,
 I nie było między nimi
 Słysząc o żadnym dworaku;
 Byli biednymi, ale nie podłymi.
 Lecz pan dziedzic doszedł spisku:
 I rozkazał na pastwisku
 Złapać osła na postronek:
 Ozłocił mu uszy obie,
 Kokardą upstrzył ogonek,
 I rzekł: Leib-osłem cię robię!

Osioł bryknął, i wesoły
 Wpadł pomiędzy konie, woły:
 — Czy widzicie te oznaki?
 Pan mię wyniósł nad charłaki —!
 I błyskając uchem złotem
 Tak pozawracał im głowy,
 Że o godności zwierzęcej potem
 Nie było mowy.

W miarę jak zmieniał się duch
 Nietylko uszy, lecz brzuch,
 Każdy sobie złocić dał:

 A Pan się śmiał.

I rzekł do rządcy: Waść zapisz
 Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
 Ze kiedy wróbla na plewy nie złapiesz,
 Próżnego zawsze złapiesz na pozłotę.

MĄDRY KRUCZEK.

Natura po kres pewien da się przeistoczyć:
Sroka gadać, koń może sztajera wyskoczyć;
Osioł liczyć godziny; pchła strzelać z armaty;
Zając nawet zające gonić, jak przed laty
Zdarzyło się w myślistwie sławnem Pana Paska —
Człowiek nie tylko zwierza pojmie i ugłaska,
Ale go i wyuczy mnóstwa zgrabnych sztuczek.

O tych ludzkich sposobach zasłyszał gdzieś Kruczek,
Pies z podwórza, ochłapów kuchennych amator,
Urodzony polityk i cywilizator.

Więc mu przyszło do głowy, domowym zwierzętom
Gęsiom, kaczkom, jędykom, kurom i prosiętom
Zakazać przyrodzonych gdakań, piał i kwików.
Słowem, Kruczek wystąpił jako metr języków,
I wykladał tej rzeszy co dzień, od świtania
W teorii i praktyce zacny kunszt szczekania —
Z razu tępo, lecz z czasem szła nauka gładko,
Zwłaszcza że mistrz i łajał i kąsał nierzadko.
Otóż po latach kilku — niesłychane dziwo!
Wszystek drób, nawet chlewnik, choć nieraz fałszywo,
Jednak psiemi głosami warczał, skomlał, szczekał,
Aż kto żył, słuch zatykał, i z dworu uciekał.
Jeden tylko pan Dziedzic, o którym dość jawnie
Gadano, że majątność tę nabył nieprawnie —
(A wiemy że na takim czapka zawsze gore)
Radował się z szczekania w porę i nie w porę —
I głaszcząc po łbie Kruczka, tak mówić doń raczył:
— Toś mi zuch, żeś co żyło, w zagrodzie mej spsiaczył;
Bo i prawy właściciel do niej się nie przyzna:
Gdy usłyszysz szczekanie, rzeknie: psia ojczyzna! —

Szczęściem słowik na drzewie śpiewał co rok w maju
O dźwięku brzmień wrodzonych, starym obyczaju,

Co rządzi zwierzętami od świata początku —
 O długo by snuć można jeszcze z tego wątku!
 Ale na co słów wiele, gdy jedno wystarczy:
 Gęś niech gęga, kur pieje, a Kruczek niech warczy.

KOTKI I MYSZY.

Była koteczka i kotek
 Młoda para, do pustotek,
 Igraszek, skoków, jedyna.
 Takie stworzeńka chować nie nowina;
 Więc się chowały w pańskiej komnacie —
 Miały śniadańko, obiad, kolację,
 Wszelką wygodę
 I swobodę:
 Machać koziołki
 Przez stoły, stolki,
 Wieczór i zrana
 Bawić panią i pana.
 Czyż nad wszystkie zwierzęta
 Nie najweselsze kocięta? —
 I w kochaniu kot najtkliwszy,
 Kiedy ślepki przymrużywszy,
 Koteczkę myje łapkami,
 A ona myje kocura — —
 Gołąbki za nic z swemi pieścizotami:
 U kotów tkliwsza natura.

Myszy siedząc pod podłogą,
 Z podziwienia wyjść nie mogą
 Że je teraz nikt nie straszy.
 — Kto ma straszyć? jedna rzeknie —
 Znam państwa kotów, na kaszy
 Bywam u nich; jak tam pięknie!

A jaki grzeczny jegomość!
 A jejmość jeszcze grzeczniejsza!
 Radzę zawiązać znajomość;
 Bo potwarz najnikczemniejsza,
 Że to są wrogowie odwieczne!
 Przecież wrogowie nie są grzeczni:
 Drapią, gryzą i dławiają,
 A te karmią i bawiają.
 Trzeba żyć z nimi, to nam się przyda;
 Bronić nas będą, gdy przyjdzie bieda
 Na nasze schowki i nory.
 Wszak to nie zwykłe koty — to Angory
 Z długim włosiem na nich skórka,
 U łapek nigdzie pazurka.

Ta przemowa w gronie myszek
 Dodała myszkom ochoty,
 Że wyskoczyły z komyszek
 Dzielić kocie pustoty,
 I równo z niemi
 To po stołach, to po ziemi,
 Wyprawiać bale
 Jak w karnawale.

Już ta zażyłość trwała czas długi —
 Ale że Pani myszy nie lubiła,
 Więc raz rzekła do służki:
 Czemuś koty okarmiła?
 Tyle myszy w mej sypialni —
 Zjadły mydło z gotowalni!
 Na rozkaz Pani skończyło się święto:
 Kotkom ujęto
 Kaszy i mleka —
 Kocia natura już mordem dyszy:
 Ostrzą pazurki na swych towarzyszy,
 I naraz w wirze żwawego walczyka
 Padło sto myszy!

Dwa stare szczury
 Widziały to z dziury
 I rzekły: — dobra nauka!
 Niechaj mysz kota nie szuka;
 Czy się Angorą, czy Maćkiem zwie,
 Zawsze ją zje. —

SATYR I SZTUKA GRECKA.

Pewnego razu zwykły leśny Satyr
 Na pół pjany, na pół dziki,
 Zatem nie mędrzec, ani też bohater,
 Zwiedzał ateńskie portyki.
 I bardzo go to zgorszyło,
 Gdy ujrzał przybrane ściany
 W same mędrce i hetmany,
 A satyrów nie było.
 — O zuchwalstwo! o sromoto!
 Krzyknął satyr gniewem blady —
 Precz ztąd łotry, precz hołoto,
 Temistokle, Milcyady!
 I machając w koło drągiem,
 Walił posąg za posągiem —
 Gdy narobił rumowiska,
 Przypadł ktoś będący z bliska
 I zawołał: — O szalony!
 Cóżś zrobił?! —
 — Cóżem zrobił? —
 Odparł satyr — otom pobił
 Grecką sztukę; a pomszczony,
 Zwołam wasze Pigmaliony
 I ze złota odlać każę
 Kozie nogi, małpie twarze.

Bo też zbyt rządziły długo,
 Ideał, piękność klasyczna;
 Rozpoczyna erę drugą
 Satyr i Fryne uliczna. —

Na to, ów rzeknie do leśnego bożka:
 — Żebyś miał w głowie oleju troszka,
 Wiedziałbyś o tem w ślepotcie
 Że glinę łatwo rozbić, bo krucha;
 Lecz żeby natchnienie brać w błocie,
 Trzeba rozbić Grecyi ducha. —

1858.

KRÓL LEW

I DRAPIEŻNE ZWIERZĘTA.

Król Lew w szlachetnym zapale,
 Bo zawsze myśli wspaniale,
 Wydał rozkaz urzędowy
 Takieni słowy:
 — Zważywszy, jak wiele ginie
 Zwierząt na moim dworze,
 Pozwalam wiernej zwierzynie
 Swobodnie mnożyć się w borze.
 Raz: że to szkodę przynosi,
 Gdy liczba wiernych ubywa;
 Po drugie: dzban wodę nosi,
 Póki się ucho nie zrywa —
 Więc dla przykładu odtąd nie inną
 Będziem się żywić strawą, jak roślinną. —
 Gdy rozkaz pański to zapowiada,
 Między zwierzęty radość nie lada;
 Głównie zające, sarny, jelenie,
 Co najsmaczniejszą mają pieczeńię,
 W swem uniesieniu nie znając miary
 Zeszły się razem, i pełne wiary

W święte lwie słowo, zaczęły radzić
 Jakby to pańskie serce pogłodzić,
 Wdzięczne uczucia zanieść w podzięce
 Za zaręczone życie zwierzęce;
 A przytem błagać, aby podrzędne
 Łapczywe lisy i wilki błędne
 Brzmienie rozkazu ceniły więcej,
 I nie dusiły sarni ni zajęcy. —
 Już ułożono mowę dziękczynną

Tkliwą, niewinną,
 Którą z ich grona wybrana
 Miała mieć sarna do Pana.

Kiedy tak radzą, aż tu do koła
 Psów, wilków, lisów gromada,
 Nachmurzywszy gniewne czoła,

Do nich przypada:

— Co tu robicie? Precz głupie zgraje!

Znów jakieś bunty i spiski?

Lwia mość nie dla was prawa wydaje;

Tu prawem są nasze pyski —

Lew nie usłyszy, co lis nie wysłucha,

A wilk nie włoży do brzucha — —

— Cóż to myślicie, że nam zdychać chce się?

Z lasu ten żyje, kto zamieszka w lesie. —

— Cóżbyśmy jedli, czy szyszki, korzonki?

Niech wam wylecą z głowy takie mrzonki.

Lew lwem, choć rozkaz jego nie do rzeczy

Przeciwny prawu natury;

Nas nie nakarmi, was nie ubezpieczy —

Tu prawem zęby, pazury! —

— Tak jest! wilk krzyknął — zaraz wam dowiodę —

I stante pede zjadł dwie sarny młode.

Król Lew nie miał więc racyi

W obec leśnej biurokracyi. —

KURA NA ŚMIECIU.

— Kochana kuro! zaczem to i po co?
 Grzebiesz w śmietniku zamczyska?
 Tu w dzień nie znajdzie włożyć co do pyska
 A ty coś znaleźć chcesz nocą? —
 Tak mówił Brytan spuszczonej z obróży.
 A kura na to: — praca mię nie nuży;
 Ot szukam sobie na los, na trafunek,
 Gdyż bardzo stare to śmiecie;
 Tu wygrzebała prababka pierścioneł
 I za to słyńie w gazecie. —
 — Szukajże sobie, bo ja nie mam czasu:
 Idę, by wilka przepędzić do lasu,
 Lisa z kurnika, złodziei od brogów —
 Przepędź też Brysiu i archeologów!

DRAŻLIWA KWESTYA.

— Nic nie rozumiem myśli Opatrzności,
 Na co owady dokuczliwe dała?
 Zapewne szatan utworzył je w złości
 Aby mógł niemi dręczyć nasze ciała,
 Gdy go od duszy odpędza Krzyż święty —
 Tak mówił w łóżku od stóp do głów cięty
 Gość oberżowy, męczennik dwojaki:
 Bo i krew własną dawał i pieniądze.
 Na to męczennik jak on drugi taki,
 Ozwał się z łóżka: — Ja przeciwnie sądzę:
 Nie winuj Stwórcy, ani też szatana,
 Lecz oberżystę tyrana,
 Co pisze kredką podwójną,

A cierpi czeladź niechlujną.
 Owady gubić, lub mnożyć,
 Rzecz ta ludziom zostawiona —
 Bogu chciało się je stworzyć,
 Człek je czystością pokona.
 Gdziekolwiek potworność dzika
 Bierze przewagę nad nami,
 Niedołęztwo się spotyka
 Jak w kwestyi tej z owadami.
 Podobnie, wierz przyjacielu,
 Bywa w innych kwestyach wielu
 Tak zwanych kwestyach żywotnych,
 Kiedy gnuśnych, nie obrotnych,
 Wypiera szwab pracowity,
 Albo toczą pasożyty. —

BADACZ NATURY I ŻABY.

Badacz natury, dość ciekawa sztuka,
 Bo zawsze czegoś tam szuka,
 Idąc spacerem złapał u sadzawki
 Dwie żaby, i dla zabawki
 Anatomicznej, jedną wziął pod nóż
 Rozpłatał w szerz; w dłuż,
 Odciał nogi, łeb, zdjął skórę,
 Pod szkło mikroskopu kładzie,
 I gapiącej się gromadzie
 Tłumaczy naturę.
 A nagadawszy wiele mądrych rzeczy,
 Gdy nikt nieprzeczy,
 Skończył prelekcję — że zaś dobra dusza
 Drugi egzemplarz żaby wypuścił — niech rusza!
 Żabsko szczęśliwe, bo wolność jej dał;
 Do sadzawki sunie w cwał,

I dostawszy się do wody
 Zgromadzonej żab czeredzie
 Opowiada swe przygody :
 — Och sąsiadko! och sąsiedzie!
 Na dziwne patrzałam rzeczy ;
 Słyszałam geniusz człowieczy,
 Rozprawiający przez dwie godziny
 Nad ciałem mojej kuzyny,
 A w ogólności, nad nami.
 Kiedy człowiek tak nas waży,
 Któż się poważy
 Żaby nazywać gadami ?
 O, my nie gady; my znaczymy wiele
 W stworzenia dziele;
 Pokora już nie przystoi;
 Na żabach świat stoi. —

Dziwić-że się, jeżeli lada
 Autorek, za prawdę bierze
 Co gazeciarz o nim gada
 Jakby o Homerze;
 A w osobne paragrafy
 Mieszczą go historyografy. —
 Biedna głowina wciąż roi,
 Że na niej świat stoi. —

MENAŻERYA.

W pewnem miasteczku, większem niż Słomniki,
 Pokazywano menażeryę w budzie;
 Z ciekawością biegli ludzie
 Widzieć lwy, małpy, niedźwiedzie i żbiki,
 Psy morskie, koty, cieleta,
 Papugi w różnym kolorze,

I inne jeszcze zwierzęta —
 Któż je tam zapamiętać może?
 Bardzo ten widok bawił z początku,
 Kiedy właściciel karmił je, lub droczył —
 Lecz do małej kęsy jednej, w samym kątku
 Każdy się tłoczył;
 Tak była śmieszna, i tak do człowieka
 Podobna twarzą i ruchem,
 Że i filozof, co wszystko docieka,
 Nazwał ją upadłym duchem.
 Co znowu pochwyciwszy gawieź na języki,
 Utrzymywała: że to człowiek dziki —
 Słuchał tych rozpraw figlarz zawołany
 (W każdym mieście taki bywa)
 I rzekł: — Co znowu? wszak to wykapany
 Nasz burmistrz, tylko mu piwa
 Postawcie spory antałek
 I zapisany szpargałek —
 — Ach prawda! Burmistrz! on sam, w miniaturze!
 Wtórzyła gawieź z czystym przekonaniem —
 Bo to w gawieź naturze
 Na oślep lecieć za zdaniem
 Lada figlarza, albo też filuta —
 Na tem najwięcej mądrość jej osnuta.

Początek dany — a więc na ten sposób
 Poodkrywano podobieństwa nowe
 Do różnych osób:
 Zarośniętą jak lew głowę,
 A nogi, jak u żyrafy
 Kto ma w mieście? jużcić grafy,
 Eleganty żurnalowe.
 Ten szakał — to lichwiarz faktor,
 Za lwami zwykle się włóczy —
 A ten niedźwiedź co tam mruczy,
 To niby gazet redaktor. —
 Papuga — znana dewota,
 Bo gadatliwa i szczypie —

Komendant ma znowu ślepie
 Wytrzeszczone jak u kota;
 A lis — patron trybunału —
 I tak dalej — aż pomału
 Każdy w zwierzętach poznawał
 Swego wroga, lub sąsiada —
 A gdy szukać nie przestawał,
 Na własny portret napada —
 — A, to zgroza! ten, ów krzyknie —
 Z oburzeniem podziw niknie:
 I ta, przed chwilą chychocąca tłuszcza
 Prawie się gwałtu dopuszcza
 Na biednym Włochu, właścicielu budy,
 Że takie rozwozi brudy,
 Co szczypią honor enych posesyonatów —
 — Dać mu sto batów!

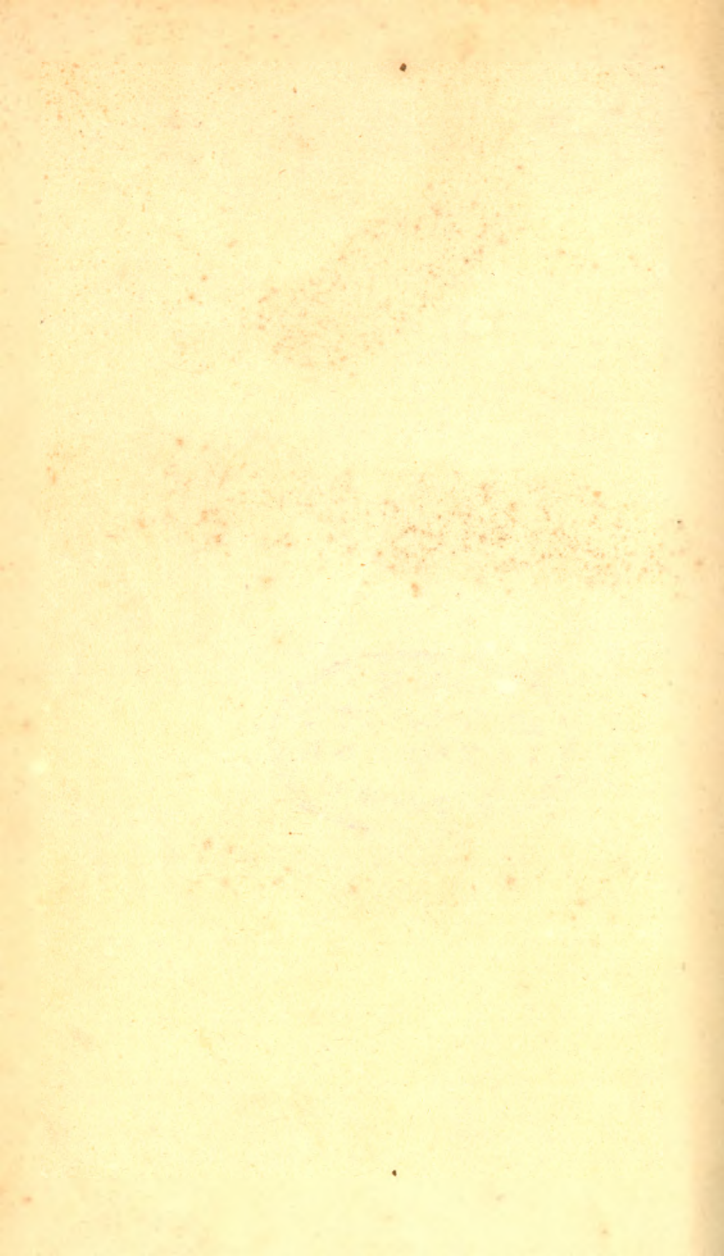
Byłaby pewnie przetrzepała Włocha
 Ta zgraja płocha,
 Gdyby nie starzec sędziwy,
 Posłyszawszy wyrok krzywy,
 Nie był się wmięszal jako rozjemca,
 Pomiędzy widzów i cudzoziemca.
 Jakoż wysłuchał strony obojej,
 I rzekł po chwili:
 — Widzowie mili!
 Usłuchajcie rady mojej
 I pójdźcie sobie jakoście przyskli;
 Ten Włoch nic złego nie miał na myśli:
 Ze zwierzętami
 Jeździ po świecie —
 Czemuż się sami
 W nich poznajecie? —

Mógłbym podobnej użyć odpowiedzi,
 Do tej gawiedzi,
 Co w tych bajeczkach znachodzi przycinki
 Bądź do drugich, bądź do siebie. —

Ja tylko chłoszczę podle uczynki,
 Godność obudzam w potrzebie.
 Strzelając na wiatr w nikogo nie mierzę —
 Kto zaś do siebie to bierze,
 Jeżeli nie jest junakiem,
 Niech się tej rady uczepli:
 Że mu lepiej siedzieć makiem,
 A poprawić się najlepiej. —







145 422 30, -
15 III 45



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226227